

ZBIGNIEW NIENACKI

**PAN SAMOCHODZIK
I TEMPLARIUSZE**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

CZY SKARB TEMPLARIUSZY ZNAJDUJE SIĘ W POLSCE? – TAJEMNICZY DOKUMENT – TOWARZYSTWO POSZUKIWACZY SKARBÓW – KAPITAN PETERSEN I JEGO PROPOZYCJA – WIELKI MISTRZ ZAKONU TEMPLARIUSZY UKRYWA SKARBY ZAKONNE – HASŁO JAKUBA DE MOLAY

Pod koniec czerwca, w samo południe, gwałtownie zaterkotał dzwonek przy moich drzwiach. Niechętnie wstałem od biurka, przy którym ślęczałem nad zawiłymi dziejami zakonu templariuszy, otworzyłem drzwi i napotkałem sympatyczne i miłe memu sercu twarze trzech harcerzy: Tella, Wiewiórki i Sokolego Oka.

- Panie Tomaszu! Panie Samochodzik! - wołali jeden przez drugiego. - Szykuje się nowa przygoda, prawda?

Ich twarze wyrażały ogromne zaaferowanie. Nie zapytali nawet, czy mam czas na rozmowę. Wpakowali się do pokoju, obsiedli fotele.

- I co pan na to? Co pan na to, panie Tomaszu? - pytał Wilhelm Tell, wymachując gazetą. Zrobiłem zdziwioną minę.

- Jeszcze nie czytałem dzisiejszej prasy...

- To niech pan czyta! Szykuje się przygoda! Nowa wyprawa po złote runo! - znowu wołali jeden przez drugiego. I wetknęli mi do rąk przyniesioną gazetę.

- Ależ ja mam bardzo pilne zajęcie... - broniłem się.

Podnieśli ogromny wrzask:

- Panie Tomaszu, co się stało?! Nie chce pan szukać przygód? Już ma pan dosyć odniesionych triumfów? A może pan się lęka nowej przygody? Przecież chyba nie zrezygnujemy ze skarbów templariuszy?

- Co takiego? - i aż zaczerwieniłem się z wrażenia. - Skarby templariuszy? Skąd wiecie o tej sprawie?

- Jak to: skąd wiemy? Z gazety, którą pan trzyma w ręku.

Rozłożyłem płachtę gazety. Natychmiast wpadł mi w oczy tytuł wydrukowany grubą czcionką:

CZY SKARBY TEMPLARIUSZY

ZNAJDUJĄ SIĘ W POLSCE?

Wyznaję, że zrobiło mi się na przemian zimno i gorąco. Potem, w miarę jak zapoznawałem się z treścią opublikowanego artykułu, narastało we mnie uczucie gniewu.

- Co za dureń! Co za bałwan! Ach, żebym go tak dostał w swoje ręce! - krzyknąłem, uderzając dłonią w rozłożoną gazetę. - Po co on to opublikował?

Chłopcy byli bardzo zdziwieni.

- Pan sądzi, że to zwykła kaczka dziennikarska? Pan przypuszcza, że nie ma w Polsce skarbów templariuszy?

Poszedłem do kuchni i napiłem się wody. Trochę ochłonałem z gniewu. Powiedziałem:

- Nie wiem, czy są w Polsce skarby zakonu templariuszy. Natomiast zdaję sobie sprawę, że tę gazetę czyta prawie pół miliona ludzi. Z tego pół miliona zapewne przynajmniej kilku lub kilkunastu zapragnie stać się posiadaczami bezcennych skarbów. I rozpocznie się takie myszskowanie za owymi skarbami, że aż zimno mi się robi na samą myśl o tym. Zaczną kuć dziury we wszystkich starych zamkach, przeorają i przekopią każdy metr ziemi. Skarbów oczywiście nie znajdą, bo być może nie ma ich u nas, ale na pewno utrudnią poszukiwania tym, którzy tą sprawą zechcą zająć się na serio. Dlatego właśnie tak rozgniewał mnie ten artykuł.

- Więc pan powątpiewa o istnieniu tych skarbów W Polsce? - spytał Tell.

- Och; aż tak nie myślę... - odrzekłem wykrętnie. - Wydaje mi się jednak, że jest to historia niezwykle skomplikowana.

Nagle odezwał się Sokole Oko, który przez dłuższą chwilę kręcił się koło mojego biurka, łypiąc swoimi bystrymi oczami na rozłożone na biurku książki i szpargały.

- Panie Tomaszu - powiedział z powagą - komu pan chce puszczać dym w oczy? Ludziom, którzy pomogli panu odnaleźć zbiory dziedzica Dunina? A co to wszystko znaczy? - wskazał ręką biurko. - Studiuje pan książki o templariuszach. Zajmuje się pan nimi od dłuższego czasu, bo na stercie szpargałów w prawym rogu biurka widzę trochę kilkudniowego kurzu - to mówiąc przejechał palcem po papierach i z triumfem wskazał długi ślad. - Jednym słowem: sprawą skarbów templariuszy interesuje się pan od dłuższego czasu i na pewno wie pan o niej bardzo wiele. Pan szykuje się do nowej wyprawy. Pozwolimy sobie być odmiennego zdania o autorze artykułu w gazecie. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się o skarbach i o tym, że zamierza pan ich szukać bez swoich dawnych współpracowników.

- To bardzo nieładnie z pana strony - obraził się Tell.

Bezradnie rozłożyłem ręce:

- Zdemaskowaliście mnie. Tak, to prawda, Od miesiąca przygotowuję się do nowej wyprawy, której celem ma być odnalezienie skarbu templariuszy. Nie wtajemniczałem was, gdyż lękałem się, że zechcecie wziąć udział w wyprawie. A ja na to nie mógłbym się zgodzić.

- A dlaczego? Jest oczywiste, że musimy wziąć udział w wyprawie - oburzył się Wiewiórka.

Pokręciłem głową.

- Nie, drodzy chłopcy. Bardzo was lubię i cenię, wiele zawdzięczam waszej przenikliwości i pomocy. Ale tym razem wyprawa jest bardzo niebezpieczna i mozolna. Wtedy, gdy szukaliśmy zbiorów dziedzica Dunina, znajdowaliście się na obozie harcerskim i pomagaliście mi, jednocześnie wypoczywając. Teraz macie wakacje, pojedziecie także na obóz, musicie nabrać sił do nowego roku szkolnego.

- Panie Samochodzik, błagamy pana, niech pan nam oszczędzi tych morałów - jęknął Wilhelm Tell.

- Panie Tomaszu - powiedział Sokole Oko. - Przewidzieliśmy wszystkie pańskie opory. Oto są pisemne zgody naszych rodziców. Pozwalają nam przebywać pod pana opieką.

I wszyscy trzej wyciągnęli z kieszeni kartki papieru z podpisanymi przez ich rodziców zezwoleniami na wzięcie udziału w tej wyprawie.

- Rodzice zadzwonią do pana w tej sprawie - zaznaczył Wiewiórka.

- Nie, chłopcy. To niemożliwe. Nie znacie dokładnie historii związanej z tymi skarbami i nie zdajecie sobie sprawy z trudności, jakie oczekują tego, co zechce rozwiązać zagadkę templariuszy. Prawdopodobnie ta wyprawa, niestety, skończy się wielkim fiaskiem. Zmarnujecie wakacje.

Nie chciałem patrzeć na ich zrozpaczone miny i sięgnąłem po przyniesioną gazetę. Tym razem trafiła do mej świadomości treść kilku ostatnich zdań z artykułu, na które przy pobieżnym czytaniu nie zwróciłem uwagi.

- Boże drogi! - zerwałem się z krzesła, - Przecież ja tam już powinienem pojechać. Zaraz! Natychmiast! Bo inaczej mnie ubiegną. A mój samochód jest w remoncie!

Drżącymi ze zdenerwowania palcami nakręciłem tarczę telefonu.

- Panie Rólka, błagam pana, niech się pan pośpieszy z przeglądem mojego wozu -

płaczliwie mówiłem do telefonu. - Muszę mieć swój samochód jeszcze dziś. Natychmiast! Co?... Dopiero na jutro rano? Wcześniej w żaden sposób pan nie zdoła przygotować samochodu?

Zrozpaczony odłożyłem słuchawkę na widełki.

- Pięknie się ta historia zaczyna – westchnąłem. - Od razu na starcie tracę kilkanaście godzin. Przecież nie tylko ja przeczytałem ten artykuł. Inni są już na pewno w drodze do Miłkokuku.

Myśli, które mnie ogarnęły, nie należały do wesołych. Chłopcy także milczeli ponuro, obrażeni moją odmową. Wreszcie odezwał się Sokole Oko:

- Gdyby nie my, być może, pański start opóźniłby się nie o kilka godzin, ale o kilka dni. Zapewne przez cały dzień ślęczałby pan przy swoim biurku i, być może, w ogóle nie przeczytałby pan dzisiejszej gazety. A my ją panu przynieśliśmy i w ten sposób dowiedział się pan, że najwyższa pora wyruszyć na wyprawę.

Miał rację. Spojrzałem na nich z wdzięcznością.

- To prawda. Postanowiłem, że dzisiaj w ogóle nie ruszę się z domu i przewertuję do końca wszystkie materiały o templariuszach. Bardzo więc jestem wam wdzięczny i dziękuję za pomoc. To bardzo przykre, lecz jednak nie mogę was zabrać ze sobą.

W tym momencie na moim biurku odezwał się telefon. Dzwonił doktor W., ojciec Tella.

- Czy rzeczywiście wybiera się pan na nową wyprawę? - spytał. - Bo mój syn, jak tylko przeczytał w gazecie o skarbie templariuszy, od razu doszedł do przekonania, że pan na pewno weźmie udział w poszukiwaniach skarbu. Wymógł na mnie, abym mu dał zezwolenie na wzięcie udziału w wyprawie. Ba, mało tego, musiałem jeszcze zadzwonić do rodziców Wiewiórki i Sokolego Oka i ich także nakłonić do udzielenia zezwolenia. Wprawdzie chłopcy mieli pojutrze wyjechać na obóz harcerski, ale pod pańską opieką...

- Waham się, czy ich zabrać, ponieważ będzie to bardzo męcząca wyprawa - przerwałem potok słów doktora.

- Męcząca? Być może - zgodził się doktor. - Ale czy pan wie, że od czasu tej słynnej historii z odnalezieniem zbiorów chłopcy, którzy nie byli w szkole najlepszymi uczniami, bardzo się podciągnęli w nauce? W tym roku otrzymali piątki z historii, zorganizowali w szkole kółko antropologiczne, dyrektor szkoły jest nimi zachwycony. Dlatego gdy mój syn

powiedział, że pan wybiera się na nową wyprawę, dość krótko się wahałem. Ostatecznie chłopcy są już duzi i bardzo samodzielni...

- Kiedy właśnie ja... - zacząłem.

- Ach, rozumiem - powiedział doktor. - Pan sądzi, że oni będą panu przeszkadzać w poszukiwaniach?

- Przeszkadzać? - oburzyłem się. - Ależ skąd! Oni bardzo mi pomogli w odnalezieniu skarbów dziedzica Dunina. A teraz...

- Tak? - ucieszył się doktor. - W takim razie bardzo bym prosił, aby mi pan powiedział, jak należy wyekwipować naszych chłopców. Mają namiot trzyosobowy, materace, kuchenkę, śpiwory, plecaki. Co jeszcze powinni zabrać? I kiedy planuje pan wyjazd?

- Jutro rano - jęknąłem. - Jutro o świcie niech zjawią się przed moim domem.

Nie słyszałem już, co powiedział doktor, bo słowa jego zagłuszył straszliwy wrzask chłopców. Wydawali z siebie głośne okrzyki triumfu i radości, klepali się po plecach i dawali sobie kuksańce, Potem skakali wokół mego biurka.. Zakończyłem więc szybko rozmowę telefoniczną.

- Skoro wszyscy są przeciw mnie, muszę zmienić swoje postanowienie - rzekłem. - Jedziemy, moi drodzy. Jutro o świcie wyruszamy szukać skarbu templariuszy.

Zapadła cisza. Roześmiane twarze chłopców raptownie spoważniały. To chyba świadczyło najlepiej, że nadają się jako współtowarzysze wyprawy. Z chwilą gdy zapadła decyzja o ich udziale, natychmiast zdali sobie sprawę, że stanęli oko w oko z niezwykle przygodą, Czekwały ich trudy i niebezpieczeństwa, których nikt nie potrafił przewidzieć. Należało być czujnym, poważnym, odpowiedzialnym.

- Czy zabrać ze sobą kuszę? - spytał cicho Wilhelm Tell. Skinąłem głową. Odezwał się Sokole Oko:

- Artykuł w gazecie nie zaskoczył pana, a tylko zirytował. To znaczy, że pan już znacznie wcześniej wiedział o skarbie. Zapewne wie pan o nim więcej, niż to zostało napisane w tej gazecie. Jeśli mamy być panu pomocni, chcielibyśmy także usłyszeć coś więcej, niż przeczytaliśmy w gazecie.

- Co to był za zakon? I skąd oni mieli skarby? - dopytywał się Wiewiórka.

- To bardzo długa historia - powiedziałem. - Słuchanie jej zajęłoby nam kilka godzin. A przecież jutro rano musimy wyjechać. Drogę będziemy mieli daleką, aż na krańce Polski. Po

drodze opowiem wam o historii skarbu templariuszy. Dzisiaj muszę spakować swoje rzeczy i odebrać samochód z remontu. Wy także powinniście przygotować się do wyprawy. Nie potrzebuję chyba wyliczać, co powinni zabrać ze sobą harcerze wybierający się na niebezpieczną przygodę. Na razie wtajemniczę was zaledwie w kilka szczegółów.

- Słuchamy! Pilnie słuchamy! - zawołali chłopcy. Zapaliłem papierosa i spacerując po pokoju, rozpocząłem opowiadanie:

- Jak wiecie, jestem autorem kilku książek o poszukiwaniach i odnalezieniu różnych skarbów na terenie Polski. Któraś z tych książek zapewne dotarła za granicę albo, co jest prawdopodobne, po prostu napisano tam o tych książkach. Pewnego dnia otrzymałem list z Paryża. Napisał go pan Chabrol, prezes Towarzystwa Poszukiwaczy Skarbów. Siedziba tego Towarzystwa znajduje się właśnie w Paryżu...

- Towarzystwo Poszukiwaczy Skarbów? - roześmiał się Sokole Oko.

- Nazwa jego brzmi trochę niepoważnie, ale zaręczam wam, że jest to bardzo poważne towarzystwo. Wpisowe kosztuje ponad sto dolarów, a składka roczna wynosi kilkadziesiąt dolarów. W towarzystwie grupują się ludzie, którzy zawodowo trudnią się poszukiwaniem skarbów. Takiego poszukiwacza wyobrażamy sobie zazwyczaj jako dziwaka uzbrojonego w łopatę i myszkującego w starych ruinach. Panowie z Towarzystwa są jednak zupełnie inni. Podczas swych ekspedycji zatrudniają wiele ludzi, stosują maszyny, specjalne urządzenia do wykrywania metali, różnego rodzaju detektory i tak dalej. Pracują u nich nurkowie, jeśli poszukiwany skarb leży na dnie jeziora lub we wraku zatopionego statku. Jeden z członków Towarzystwa, Duńczyk, kapitan Petersen, dorobił się ogromnej fortuny, wydobywając złoto z hiszpańskich galeonów zatopionych u przylądka Engano koło San Domingo. Otóż prezes tego Towarzystwa, pan Chabrol, zaproponował mi wstąpienie do swej organizacji. Podziękowałem za zaproszenie, gdyż nie stać mnie ani na tak wysokie wpisowe, ani na składki członkowskie w dolarach. A poza tym poszukiwaniem skarbów nie trudnię się zawodowo i nie czerpię z tego żadnych zysków. Robię to dla przeżycia ciekawej przygody. Odnalezione przeze mnie skarby trafiają zawsze do muzeów, ja zaś co najwyżej piszę nową książkę.

- Oglądaliśmy rozwieszone w salach muzeum odnalezione zbiory dziedzica Dunina. Wyglądają bardzo ładnie i na pewno wiele ludzi dowie się dzięki nim, jak wyglądało uzbrojenie w różnych krajach w dawnych wiekach - z powagą przyświadczył Tell.

- Zimą tego roku - ciągnąłem dalej swoje opowiadanie - pan Chabrol zwrócił się do

mnie ponownie. Tym razem w liście swym pytał, czy nie zechciałbym za odpowiednim wynagrodzeniem wziąć udziału w ekspedycji słynnego poszukiwacza skarbów, kapitana Petersena, który w lecie tego roku zamierza szukać na terenie Polski skarbu zakonu templariuszy. Szczegóły tej imprezy, jak również dokładne informacje na temat skarbu, otrzymałbym już po podpisaniu kontraktu z kapitanem Petersenem, a raczej z Chabrolem, który porozumiewał się ze mną w jego imieniu, gdyż Petersen kończył właśnie prace przy penetrowaniu starych galeonów, zatopionych w zatoce Matanzas na Kubie. Notabene, galeonów tych było jedenaście, a należały one do admirała Rodryga Farfana i wiozły ładunek złota.

- O Boże! - jęknął zdumiony Wiewiórka.

- Panu Chabrolowi udzieliłem bardzo grzecznej, ale odmownej odpowiedzi, jeszcze raz przypominając, że poszukiwaniem skarbów nie zajmuję się z chęci zysków. Zazaczyłem, że gdybym nawet odnalazł skarb templariuszy, przekazałbym go naszym władzom, a nie do rąk Petersena, a więc o jakiegokolwiek współpracy nie może być mowy. Wyraziłem także swoje przekonanie, że skarb templariuszy najprawdopodobniej znajduje się we Francji, gdzie była niegdyś główna siedziba zakonu. I na tym, zdawało mi się, sprawa się zakończyła. Wyobraźcie więc sobie moje ogromne zdumienie, gdy przed miesiącem w jednym z zagranicznych czasopism ukazał się duży artykuł na temat skarbu templariuszy. Pisano tam, że na podstawie jakichś nowo odkrytych dokumentów w bibliotece starego zamku w Szkocji można sądzić, iż, tylko część wielkiego skarbu zakonnego pozostała we Francji. Pozostałą część wielki mistrz zakonu templariuszy, Jakub de Molay, przekazał w depozyt wielkiemu mistrzowi Krzyżaków, Zygfydowi von Feuchtwangenowi, który w tym czasie miał swoją siedzibę w Wenecji. Wkrótce zresztą Zygfyd von Feuchtwangen przeniósł stolicę Krzyżaków do Malborka, być może zabierając z sobą skarb templariuszy. Prawdopodobne jest, że bezcenny skarb, a w każdym razie poważna jego część ukryta została nie we Francji, lecz w którymś z krzyżackich zamków na terenie Polski.

- A dlaczego wielki mistrz zakonu templariuszy przekazał skarb swego zakonu w ręce Krzyżaków? - spytał Sokole Oko.

- To długa historia, zrozumiecie ją, gdy dokładnie opowiem wam dzieje zakonu. Na razie niech wam wystarczy informacja, że Jakub de Molay zdawał sobie sprawę z grożącego mu wówczas niebezpieczeństwa ze strony króla Francji, Filipa IV, zwanego Pięknym. Ów król

dążył do rozwiązania tego zakonu i zawładnięcia ich skarbami. Wkrótce zresztą dopiął swego. Zakon templariuszy rozwiązano, a de Molaya uwięziono i spalono na stosie. Skarbów jednak zakonnych nie znaleziono. Przewidując grożące niebezpieczeństwo, Jakub de Molay część skarbów zakonnych ukrył, a część przekazał innemu zakonowi rycerskiemu, oczywiście w depozyt.

- I po tym artykule zajął się pan sprawą skarbu templariuszy - stwierdził Tell.

- Tak. Zabrałem się do studiowania historii zakonu templariuszy oraz historii zakonu Najświętszej Marii Panny, czyli Krzyżaków. Innymi słowy, zacząłem przygotowywać się do poszukiwań. A tu masz! Także i w naszej prasie ukazał się artykuł o skarbie, prawdopodobnie opracowany na podstawie tej zagranicznej publikacji. Po prostu jakiś dziennikarz przeczytał tamten artykuł i napisał szeroką informację dla naszej gazety. Czy zdawał sobie sprawę, że wydrukowanie jej skieruje do zamków krzyżackich dziesiątki amatorów odnalezienia skarbów? Posłuchajcie uważnie końcowych zdań jego artykułu.

Chwyciłem gazetę i przeczytałem głośno:

Trudno oczywiście stwierdzić z całą pewnością, czy rzeczywiście skarb zakonu templariuszy znajduje się w któryś z zamków Krzyżackich na ziemiach Polski. Faktem jest jednak, że autorowi niniejszego artykułu dane było oglądać stary dokument o bardzo tajemniczej treści. Dokument ten nosi pieczęć zakonu templariuszy. Jest on w rękach pewnego nauczyciela wiejskiego, który mieszka w powiecie Sejny nad jeziorem Miłkokuk. Nauczyciel ów posiada bardzo bogate i ciekawe zbiory różnego rodzaju pamiątek i starożytności, które odnalazł w czasie swych wakacyjnych wędrówek po Suwalszczyźnie, po Warmii i Mazurach. Czy jednak dokument ten pomoże rozwiązać zagadkę ukrytego skarbu? Jak do tej pory, jedynym drogowskazem jest zdanie wyryte na złotym krzyżu, który wielki mistrz Krzyżaków, Zygfryd von Feuchtwangen, darował Jakabowi de Molay. A zdanie to brzmi: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. Kto zrozumie znaczenie tych słów, ten odnajdzie bezcenny skarb.

Chłopcom rozgorzały oczy.

- A więc istnieje hasło do odnalezienia skarbu? „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”.
Panie Tomaszu, czy pan się już domyśla, co znaczą te słowa?

Niecierpliwie machnąłem ręką.

- W tej chwili stokroć ważniejsze jest, aby ów dokument, który posiada nauczyciel nad jeziora Miłkokuk, nie wpadł w niepowołane ręce. Rozumiecie? Nie wiem, czy zdajecie sobie

sprawę, że być może kapitan Petersen znajduje się w tej chwili w naszym kraju i że ktoś wskazał mu już ten właśnie artykuł w gazecie. I Petersen w tej chwili pędzi samochodem po tajemniczy dokument. Równocześnie pędzą po niego dziesiątki innych amatorów skarbu. A my? - złapałem się za głowę. - A my tu siedzimy i prowadzimy towarzyską pogawędkę. Dopiero jutro rano będziemy mogli pośpieszyć nad Miłkokuk. Czy teraz już rozumiecie moją złość i moją rozpacz?

Milczeli. Teraz oczywiście także i oni pojmowali mój gniew na autora artykułu. Podzielali chyba także i moje uczucie bezsilności.

- Może ten dokument nie okaże się aż tak ważny? - nieśmiało powiedział Wiewiórka.

- Miejmy nadzieję - westchnąłem. - A na razie powiedzmy sobie szczerze, że zostaliśmy zdystansowani już na starcie.

Na tym smutnym stwierdzeniu zakończyła się pierwsza moja rozmowa z chłopcami. Po krótkiej chwili trzech harcerze pożegnali się i rozeszli do domów, aby poczynić przygotowania do jutrzejszej podróży. Ja także zacząłem pakować swoje rzeczy, a potem odwiedziłem warsztat mechanika. Chciałem upewnić się, że mój samochód będzie jutro rano gotów do drogi,

Nadszedł ranek. Wilhelm Tell, Sokole Oko i Wiewiórka, ubrani w swe mundury harcerskie i objuczeni ogromnymi plecakami, zjawili się punktualnie przed moim domem. Tell ponadto dźwigał na ramieniu swoją kuszę. Przed domem gotów do drogi stał już mój samochód. To z racji posiadania przeze mnie tego dziwnego pojazdu chłopcy przezwali mnie: pan Samochodzik. Mój wehikuł, mimo że dałem go do polakierowania na ładny stalowy kolor, pozostał wciąż pojazdem budzącym drwiny, zdumienie i litość. Nie było bowiem sposobu, aby odmienić kształt karoserii wykonanej przez zapoznanego wynalazcę. W dalszym ciągu samochód przypominał obrzydliwą larwę z wybałuszonymi oczami reflektorów, stanowił oś w rodzaju starego czółna na czterech kółkach. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że posiadał silnik Ferrari 410 i był jednym z najszybszych samochodów świata. Potrafił nie tylko szybko jeździć, ale i pływać po wodzie jak łódź motorowa.

Załadowaliśmy bagaże, zajęliśmy w wehikule miejsca. Ranek był piękny, słoneczny, zapowiadał się dzień bardzo pogodny. Mieliśmy ostatni dzień czerwca, PIHM przepowiadał piękną pogodę na pierwszą dekadę lipca. Wyruszyliśmy więc ze świadomością, że czeka nas wiele pięknych dni i wiele ciekawych przygód. Nie zastanawialiśmy się, czy uda się nam rzeczywiście odnaleźć skarby templariuszy. Chodziło przecież tylko o przeżycie pięknej

przygody. Dlatego też zaraz po wyruszeniu w drogę poprawiły nam się humory.

Za miastem, na szosie wiodącej w stronę północno-wschodniego krańca Polski, zaśpiewaliśmy chórem naszą ulubioną piosenkę:

Wśród dolin, wśród lasów

I jezior, i kniej

Ktoś szukał przygody.

Nie znalazł tam jej

I morze przepłynął,

Przemierzył wzdłuż świat,

Nie znalazł przygody,

Zagubił jej ślad.

I marzył: czy dzień to,

Czy wieczór i mrok

Przygodę jak druha

Spotykać co krok!

Przygodo, gdzie jesteś?

O sobie daj znać!

Przygodo, gdzie jesteś?

Przyjdź, imię swe zdradź!

ROZDZIAŁ DRUGI

ZAKONNICY Z MIECZAMI – „NIE DLA NAS, PANIE” – MISTRZOWIE TAJNYCH SZYFRÓW – FILIP PIĘKNY I JEGO KNOWANIA – UPADEK TEMPLARIUSZY – ZABÓJSTWO WIELKIEGO MISTRZA – TAJEMNICZY JACWINGOWIE

Od Warszawy pojechaliśmy w kierunku Białegostoku szeroką, betonową autostradą. Można było na niej bezpiecznie rozwinąć dużą szybkość, a jednocześnie rozmawiać o oczekujących nas zadaniach, Czułem się w obowiązku wtajemniczenia trzech mych przyjaciół w historię zakonu templariuszy i Krzyżaków, gdyż tam właśnie należało szukać rozwiązania zagadki ukrycia zakonnego skarbu. Wydawało mi się, że dopiero gdy zrozumieją wydarzenia poprzedzające ukrycie skarbu, łatwiej będzie snuć przypuszczenia co do jego dalszych losów.

- Było to na początku XII wieku - opowiadałem. - W czasach gdy w wyniku znanych wam z historii słynnych wypraw krzyżowych powstało w Palestynie tak zwane Królestwo Jerozolimskie powołane do obrony miejsca grobu Chrystusa. Państwa chrześcijańskie na Ziemi Świętej ciągle jednak cierpiały na brak ludzi, gdyż krzyżowcy, rekrutujący się z rycerzy ochotników, po odbyciu krucjaty zazwyczaj wracali do swych ojczystych krajów w Europie. Muzułmanom niekiedy nie miał kto stawiać czoła i wówczas to, w czasie takiego właśnie niespodziewanego napadu muzułmanów, do walki z nimi wystąpili także zakonnicy opiekujący się w Jerozolimie szpitalem Św. Jana. Muzułmanów odparto, ale zakonnicy na wszelki wypadek nie rozstawali się już z mieczami, byli jednocześnie zakonnikami i rycerzami. I tak zrodził się pierwszy na świecie zakon rycerski szpitalników Św. Jana, czyli jak ich nazywano: joannitów. Oprócz opieki nad szpitalem zajęli się oni odprowadzaniem pielgrzymów z portów do miejsc świętych i ochroną ich przed napaściami Saracenów. Wkrótce, bo w roku 1118, powstał inny zakon rycerski o podobnym charakterze. Król jerozolimski Baldwin II przeznaczył nowemu zakonowi jako miejsce zamieszkania budynek w pobliżu ruin świątyni Salomona. Świątynia po łacinie nazywa się templum i stąd, od nazwy miejsca zamieszkania, ów zakon rycerski otrzymał nazwę templariuszy. W niedługim czasie ilość zakonnych rycerzy znacznie wzrosła, a liczne przywileje i majątki, jakie otrzymali od papieża Innocentego II i jego następców, przyczyniły się do wzrostu ich potęgi. Trzeba bowiem wiedzieć, że na obronę Ziemi Świętej

łożyła niemal cała chrześcijańska Europa i wiele sum na ten cel zebranych trafiło do templariuszy. Oprócz normalnych zakonnych ślubów, a więc ślubu posłuszeństwa, czystości i ubóstwa, rycerze zakonni musieli także przyjmować obowiązek walki z muzułmanami. Wstąpić zaś do zakonu templariuszy mógł tylko człowiek pochodzący ze stanu rycerskiego, z małżeństwa prawego; stanu wolnego, wolny od zarzutu ciężkiego przestępstwa, a także człowiek nie ułomny, jako że zakonników oczekiwano walka. Bracia zakonni, czyli rycerze zakonu templariuszy, nosili białe płaszcze z czerwonym ośmiokątnym krzyżem. Chorągiew zakonna była czarno-biała. Wypisana na niej została dewiza: Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam, co znaczy: Nie dla nas, Panie, nie dla nas, lecz dla chwały Twego imienia.

- Czy Polacy również mogli wstępować do rycerskich zakonów? - spytał Tell.

- Naturalnie. Zakony rycerskie miały mieć charakter ponadnarodowy. Mało kto o tym wie, ale faktem jest, że aż do końca XIV wieku w szeregach Krzyżaków na przykład przebywali także rycerze polscy, dopóki konflikt Polski z Zakonem nie ujawnił się wyraźnie. Niemniej jednak w zakonie joannitów większość stanowili Francuzi i Włosi, podobnie było także i w zakonie templariuszy. Ze względu właśnie na ów romański charakter obydwu zakonów niechętnie wstępowali do nich rycerze niemieccy. Gdy zdarzyła się ku temu okazja, a było to podczas oblężenia twierdzy Akkon w czasie wojen krzyżowych, niemieccy szpitalnicy założyli własny zakon, pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Z początku rycerze tego zakonu pozostawali w zależności od joannitów, potem zaś od templariuszy, od których przyjęli strój: biały płaszcz, tylko że krzyże na płaszczach nosili nie czerwone, lecz czarne. Wkrótce zresztą usamodzielnili się, a w okresie rządów ich czwartego wielkiego mistrza Hermana von Salza, w latach 1210-1239, wzrosli w siłę. Lecz stosunkowo najszybciej rozwijał się zakon templariuszy. Dla tych, którzy walczyli o Ziemię Świętą, płynęły szczerze pieniądze, a także przywileje, które nadawali im papież, królowie i książęta, aby zakon był dostatecznie bogaty i mógł sprostać zadaniom walki z muzułmanami. W XIII wieku templariusze bardzo rozprzestrzenili się na Bliskim Wschodzie. Mieli swe posiadłości i zamki także na Półwyspie Apenińskim i Pirenejskim, w Brytanii, Irlandii, w Niemczech, we Francji, Czechach, Austrii, na Morawach, a także w Polsce, dokąd w 1156 roku, po powrocie z wyprawy krzyżowej, sprowadził templariuszy książę Henryk Sandomierski. Templariusze bogacili się nie tylko dzięki nadaniom, ale także zajmując się przewozem pielgrzymów do Palestyny i przesyłką ich pieniędzy. W ten sposób podejmowali oni wielkie operacje bankowe i

znakomicie zarabiali. W XIII wieku templariusze nagromadzili ogromne bogactwa, które tylko w części wydatkowali na walkę o Ziemię Świętą, dokąd posyłali rycerzy własnych i najemnych. Resztę swych dochodów używali na dostatnie życie na Zachodzie, a także na prowadzenie własnej polityki, czym budzili nienawiść i strach u ówczesnych władców. Wyobraźcie sobie bowiem organizację, posiadającą swych ludzi i swe siedziby niemal we wszystkich krajach chrześcijańskiej Europy. Organizację liczną a bogatą, mającą wszędzie ogromne wpływy i stosunki, własną dobrze zbudowaną sieć szpiegowską. Za pomocą bogactw, tajnych informacji, sieci intryg i spisków starali się wpływać na przebieg wypadków politycznych w poszczególnych krajach. Te ich tajne zamysły wymagały oczywiście tajnych środków. Templariusze stali się mistrzami w układaniu szyfrów, którymi się porozumiewali. Zamki ich pełne były tajemnych przejść, skrytek, zapadni, przemyślnych mechanizmów otwierających i zamykających drzwi do podziemnych przejść. Nie dziwcie się więc, że choć znane są dokumenty wskazujące domniemane miejsce ukrycia legendarnych bogactw zakonu, nikt jeszcze nie trafił do skarbcza templariuszy. A skarbiec i zawarte w nim przeogromne bogactwa były faktem niezbitym.

Owych bogactw, a także wpływów i potęgi, zazdrościli templariuszom przede wszystkim joannici jako zakon konkurencyjny. Bo jeśli chodzi o rycerzy zakonu Najświętszej Marii Panny, czyli Krzyżaków, to oni dość szybko zrezygnowali - wobec potęgi joannitów i templariuszy - z rozpościerania swych wpływów na Zachód, lecz skierowali swe zainteresowania na Wschód, budując w Prusach swe krzyżackie państwo. Ale najzacieklejszym, a jednocześnie najsprytniejszym przeciwnikiem templariuszy okazał się król francuski Filip Piękny, który od dawna marzył o zawładnięciu bogactwami zakonu, a tym samym o wzmocnieniu własnej potęgi. Legenda mówi, że ów sprytny król porozumiał się z Klemensem V, zanim ten jeszcze został papieżem, i obiecał mu poparcie przy jego wyborach na papieża, pod warunkiem jednak, że potem pomoże mu on rozprawić się z templariuszami. W pomoc Filipowi szła opinia społeczna coraz mniej przychylna idei zakonów rycerskich, a w szczególności wroga zakonowi templariuszy. Chrześcijanie utracili w końcu Ziemię Świętą i przyczynę tej straty upatrywano w tym, że zakony rycerskie, zamiast wojować z muzułmanami, zajmowały się budowaniem własnej potęgi w Europie, a ponadto nieustannie kłóciły się i swarzyły, lekceważąc władzę królów i książąt, a nawet zwierzchność papieża. Po cichu szeptano, że w zakonie templariuszy w ogóle przestano wierzyć w Chrystusa, a zaczęto czcić diabła,

oddawano się niecnym i zakazanym praktykom czarnej i białej magii. W tej sytuacji, za cichą zgodą papieża, król Filip Piękny polecił uwięzić templariuszy, a stało się to w nocy z 12 na 13 października 1307 roku. Pod zarzutem herezji i oddawania się nieczystym i bezbożnym praktykom wszczęto śledztwo przeciw najwyższym władzom zakonu - na czele z wielkim mistrzem, Jakubem de Molay. W śledztwie poddano ich wyszukany i okrutnym torturom, ale nie wydobyto z nich najważniejszego: nie udało się ujawnić, gdzie podziały się ogromne skarby zakonne. Albowiem wojska Filipa, które wkroczyły do zamków templariuszy, znalazły je ogołocone z bogactw. Jakuba de Molay spalono na stosie pod zarzutem herezji. Z paryskiego więzienia udało się jednak uciec najbliższemu współpracownikowi wielkiego mistrza, Piotrowi z Bolonii, który przedostał się do Szkocji, unosząc z sobą, jak powiada legenda, „testament Jakuba de Molay”, a także tajemnicę ukrycia skarbów zakonnych. Tam, w Szkocji, Piotr z Bolonii założył tajną organizację wymierzoną przeciw władzy papieża i głoszącą hasło zemsty za rozprawę z zakonem templariuszy.

- A dlaczego Piotr z Bolonii nie wydobył z ukrycia skarbów swego zakonu? - spytał Sokole Oko. - Przecież chyba bardzo potrzebne były mu pieniądze dla nowej tajnej organizacji?

- Bardzo mądre pytanie - skinąłem głową. - Są w tej sprawie dwie hipotezy. Jedni uważają, że Piotr z Bolonii zdołał przy pomocy swych emisariuszy wydobyć z ukrycia bogactwa zakonu i dzięki tym zasobom jego organizacja rozwinęła się, uzyskując wielkie polityczne wpływy. Dlatego też nie sposób odnaleźć skarbu templariuszy, bo go już dawno nie ma, przejęła go owa organizacja i wykorzystwała do swych celów. Lecz według drugiej hipotezy Piotr z Bolonii, aczkolwiek uratował „testament de Molaya”, nigdy nie zdołał go do końca rozszyfrować, a sam miejsca ukrycia skarbu nie znał. Tak więc skarb templariuszy istnieje nadal i jest prawdopodobnie ukryty w którymś z zamków na terenie Francji. Teraz przybyła trzecia hipoteza, a zrodziła się ona na podstawie starego dokumentu, odnalezionego w jednym z zamków szkockich. Wedle tej hipotezy Piotr z Bolonii rzeczywiście zdołał wydobyć z ukrycia w jednym z zamków francuskich skarb templariuszy i przeznaczył go na rozbudowę tajnej organizacji. Jednak nie był to cały skarb. Jego druga część, w postaci kosztowności, leżała jako depozyt u rycerzy zakonnych Najświętszej Marii Panny, czyli u Krzyżaków. Jak informował artykuł, który ukazał się za granicą, odnaleziono pochodzącą z 1339 roku kopię listu skierowanego do wielkiego mistrza Krzyżaków, Warnera von Orseln. Kopia listu nie jest

podpisana, ale wynika z niej, że list pisał albo sam Piotr z Bolonii, albo któryś z jego najbliższych współpracowników. Zwracał się on listownie do Wenera von Orseln o zwrot danych jego zakonowi w deppzyt kosztowności templariuszy. Autor listu powołuje się na tajną umowę między Jakubem de Molay a ówczesnym wielkim mistrzem Krzyżaków, Zygfydem von Feuchtwangenem. Na mocy tej umowy zakon Krzyżaków obowiązany był zwrócić depozyt temu, kto przedstawi hasło: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”.

- I Werner von Orseln zwrócił kosztowności nowym templariuszom? - pytali chłopcy.

- Nie wiadomo. W kilka miesięcy później został zamordowany...

- Co takiego?

- Wielki mistrz Krzyżaków zamordowany?

- Zamordowano go przy wejściu do kościoła na zamku w Malborku. Stało się to w roku 1330.

- Niech pan nam o tym opowie, panie Tomaszu! Błagamy pana! - wołali chłopcy. Ale ja nle chciałem dalej opowiadać.

- Zaszło mi w gardle - stwierdziłem. - Dojedziemy do Białegostoku, tam zjemy obiad i napiję się kawy. Potem będzie jeszcze dość czasu na opowiadanie o historii zabójstwa wielkiego mistrza. Teraz oglądajcie krajobraz, przyda się to wam do lekcji geografii. Pomyślcie także nad hasłem „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. Prawdopodobnie jest to przecież klucz do odnalezienia skarbów.

- Przecież pan mówił, że to było tylko hasło - przypomniał Tell.

- Nie, nie tylko. Poszukiwaczom skarbu templariuszy dobrze znany jest fakt, że w chwili swego aresztowania wielki mistrz Jakub de Molay miał na piersiach weneckiej roboty krzyż ze złota. Na ramionach tego krzyża widniał napis po łacinie: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. W Wenecji trafiono na dokumenty wielkich mistrzów krzyżackich. Okazuje się, że Zygfyd Feuchtwangen w 1306 roku zamówił u weneckiego złotnika krzyż z formułą „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”, cytatem z Ewangelii św. Mateusza. Ten sam krzyż znalazł się w rok później na piersiach de Molaya. Nie ma innego wyjaśnienia tego faktu, jak to, że najprawdopodobniej krzyż. ten przesłał mu Zygfyd von Feuchtwangen. Przypuszczać należy, że napis na krzyżu zawierał zrozumiałą dla Molaya wskazówkę, gdzie został ukryty skarb Templariuszy. W dwa lata później Feuchtwangen przeniósł siedzibę swoją z Wenrcji do Malborka. Być może, że właśnie w Malborku ukryty jest skarb Templariuszy.

- Więc dlaczego nie jedziemy do Malborka? - zdumiał się Wiewiórka.

- Czy oglądałeś kiedy zamek w Malborku? To potężna budowla, posiadająca setki zakamarków. Zresztą przerabiana wielokrotnie. Szukać w niej skarbu to prawie to samo, co szukać igły w stogu siana. Trzeba nam jeszcze jakiejś dodatkowej wskazówki. Może ma ją ów nauczyciel znad Miłkokuku?

- „Tam skarb twój, gdzie serce twoje” - powtórzył Sokole Oko. - Może to tylko najzwyczajniejszy pobożny cytat?

- A właśnie. W tym sęk, że nic nie wiadomo. Gdyby było inaczej, już dawno skarb zostałby odnaleziony. Dość było spryciarzy, którzy próbowali zgłębić to pobożne zdanie. W każdym razie jedno jest pewne: po otrzymaniu tego krzyża Jakub de Molay uspokoił się co do losu skarbu i nie dopominał się u Feuchtwangena o żadne dalsze wyjaśnienia, A poza tym...

- Poza tym? - podchwycili chłopcy.

- Nie jest to dosłowny cytat. U Mateusza w rozdziale VI czytamy: „Gdzie jest skarb twój, tam i serce twoje”. A napis na krzyżu brzmi: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. Niby to samo, a jednocześnie nie to samo. Trudno przypuszczać, aby wielki mistrz zakonu Krzyżaków pomylił cytat. Musiał to zrobić celowo. Prawdopodobnie za pomocą nieco zmienionej pobożnej formuły przekazał de Molayowi wskazówkę, co do miejsca ukrycia skarbu...

Urwałem. Mój samochód zaczęło ściągać gwałtownie na prawą stronę szosy. Silniej chwyciłem kierownicę i zwolniłem biegu, a potem wóz zatrzymałem. Okazało się, że z prawej tylnej opony uszło mi powietrze. Miałem ze sobą zapasowe koło, więc tylko kilkanaście minut zajęła nam wymiana. Ale bez zapasowego koła bałem się ruszać w daleką i pełną niespodzianek wyprawę. Zdecydowałem, że przedziurawioną dętkę dam w Białymstoku do wulkanizacji.

- A to pech! Znowu mnie pech prześladowuje - powiedziałem ze złością.

Ale złość niewiele mogła pomóc. Zanim znalazłem w Białymstoku zakład wulkanizacyjny, gdzie zreperowali dętkę, upłynęło przeszło dwie godziny. Czekać na reperację zjedliśmy obiad i dopiero o trzeciej po południu wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Między Grajewem i Rajgrodem pokazałem chłopcom słynne Kuwasy, krainę bagien. Rozległy, bo obejmujący ponad pięć tysięcy hektarów teren pokrywały kępy wątlej roślinności, karłowate krzewy, jeziorka stojącej wody, szuwary i połacie trawy uginającej się pod stopami i grożącej śmiercią każdemu, kto by się odważył na nią wstąpić.

- Jedziemy przez krainę, którą Krzyżacy nazywali: Wildnis, czyli Dzicz - powiedziałem

chłopców. - Po wytepieniu pogańskich Prusów i mieszkańców tych ziem, bitnego plemienia Jaćwingów, Krzyżacy pozostawili tu ziemie bezludne, porastające puszcza. Na granicy swego państwa, na przesmykach wielkich mazurskich jezior, wybudowali mocne zamki, a te tereny uczynili bezludnymi, zabezpieczając się w ten sposób przed najazdami Litwinów i Żmudzinów. Dopiero pod koniec XIII wieku pociągnęli w te strony chłopcy - osadnicy z Mazowsza, tworząc tu z czasem rdzenną polską ludność. Po dawnych właścicielach tych ziem - Jaćwingach - przetrwały tylko po lasach stare kurhany, które rozkopują dziś archeologowie. Po Jaćwingach pozostały także niektóre nazwy rzek i miejscowości, dlatego brzmią one tak dziwnie dla naszego ucha.

Z Augustowa pomknęliśmy asfaltową szosą na Przewięż, przez przesmyk między jeziorem Białym i Studzienicznym. Rozpoczęła się Puszcza Augustowska, lasy i lasy, ciągnące się po obu stronach drogi. Raz po raz wyprzedzaliśmy samochody osobowe załadowane walizkami, sprzętem turystycznym, namiotami. Nastąpił już sezon urlopowy, turyści ciągnęli nad Wigry, jeziora Augustowskie, na Pojezierze Suwalskie, w puszcze i nad wody przepięknej krainy. Był już wieczór, gdy dojechaliśmy do Gib, małej miejscowości nad jeziorem Gieret. Znałem trochę te strony, o pięć kilometrów stąd przebywałem kiedyś w ośrodku campingowym Stowarzyszenia Dziennikarzy, położonym nad jeziorem Pomorze. Odbyłem nawet stamtąd wycieczkę nad małe, leśne jeziorko Miłkokuk. Przypuszczałem, że właśnie podobną wycieczkę uczynił kiedyś ów dziennikarz, który wykorzystał dla swojej gazety ten nieszczęsny artykuł. Podczas pobytu nad Miłkokukiem spotkał nauczyciela posiadającego zbiory miejscowych ciekawostek i starożytności - stąd właśnie znalazła się wzmianka w jego informacji.

Z Gib należało skręcić w leśną drogę omijającą jezioro Pomorze. Po dziesięciu kilometrach podróży przez lasy powinienem przedostać się nad przesmyk oddzielający jezioro Zelwa od jeziora Miłkokuk. Nieco dalej znajdowała się wioska o tej samej nazwie. To tam trzeba było szukać nauczyciela.

Powoli zapadał zmierzch. Chłopcy zmęczeni podróżą zasnęli na tylnym siedzeniu samochodu. Ostrożnie prowadziłem wehikuł po wyboistej, leśnej drodze i nie zdałem sobie sprawy, że o kilkaset metrów przede mną, tuż za zakrętem, czeka nas pierwsza z wielkiej serii przygód.

ROZDZIAŁ TRZECI

JASNOWŁOSA PIĘKNOŚĆ – „CZY JEST PAN MOŻE PANEM MALINOWSKIM” –
KAPITAN PETERSEN NA TROPIE SKARBU – ANGIELSKIE ROZMÓWKI – CZY POMÓC
SWYM WROGOM? – WEHIKUŁ RATUJE LINCOLNA – KTO NAS ŚLEDZI – PODSTĘP

Był wieczór. Jechaliśmy przez wysokopienny, sosnowy bór. W górze widziało się niebo poczerwieniałe od zachodzącego słońca, dołem panował już mrok. Droga raz po raz skręcała nagle w lewo, to znów w prawo, niekiedy wspinała się na niewielkie pagórki, potem opadała w dół po łagodnych pochyłościach lub zbiegała wyrytym przez deszcze jarem. I właśnie tuż za następnym zakrętem, na dnie niegłębokiego jaru przegrodzonego przez płytki, ale szeroko rozlany nurt leśnej rzeczulki - zobaczyłem tył dużej samochodowej przyczepy campingowej na dwóch kołach. Tuż przed nią, w mulistym dnie strumienia tkwił w wodzie wszystkimi czterema kołami ogromny lincoln. Miał nisko osadzone podwozie, był ciężki i zapadł się w wodę aż po osie.

Przyczepa i samochód zatarasowały mi drogę, musiałem więc zatrzymać swój wehikuł. Wsiadłem z auta i zobaczyłem siedzącą przy drodze - młodą i niezwykle piękną dziewczynę. Nieco dalej, nad brzegiem strumienia, medytowali dwaj mężczyźni. Jeden z nich - niski, barczysty, o bujnych siwych włosach - ubrany był w kraciatą, kolorową koszulę i wyświechtane spodnie. Drugi, znacznie młodszy, miał na sobie elegancki, świetnie skrojony jasny garnitur i białą koszulę. Starannie przyczesane czarne włosy świadczyły, że ów człowiek w każdej sytuacji pamięta o zachowaniu wytwornej sylwetki.

- Dobry wieczór - powiedziałem do dziewczyny.

Obojętnie kiwnęła mi głową. Paliła papierosa i jej twarz wyrażała znudzenie. Przez krótki moment wydawało się, że przedziwny kształt mego wozu, jak również moje niespodziewane zjawienie się na leśnej drodze wzbudziły w jej oczach błysk zainteresowania. Ale, jak powiadam, trwało to niezmiernie krótko. Po chwili obojętnie spoglądała w niebo i paliła papierosa, jakby zupełnie nie obchodził jej lincoln, który tkwił w strumieniu.

Ubrana była w obcisłe spodnie i sweterek bez rękawów. Miała jasne, długie włosy i twarz o urodzie amerykańskich aktorek filmowych. Ale jej cała postawa zdawała się wyrażać: „Wiem, że jestem bardzo piękna, przyzwyczaiałam się do zachwyty nad swoją urodą. Jestem piękna, bogata, nic mnie nie może zdziwić i niczemu się nie dziwię”.

- Nie należy palić papierosów w lesie, bo może być pożar - zwróciłem jej uwagę. Wyznaję, że ta jej pełna znużenia postawa bardzo mnie zirytowała.

Wzruszyła ramionami i nawet nie raczyła na mnie spojrzeć.

Pośpiesznie nadszedł elegancki, młody człowiek.

- Ta pani jest cudzoziemką i nie rozumie po polsku - wyjaśnił i jednocześnie obrzucił mnie dość krytycznym spojrzeniem. Na widok mego samochodu na jego ustach pojawił się ironiczny uśmiezek.

- W takim razie - powiedziałem - może pan będzie łaskaw zwrócić jej uwagę, że w lesie nie należy palić papierosów.

- Pan jest leśniczym? - ucieszył się młody człowiek. - Świetnie się składa. Trzeba nam koni do wyciągnięcia z błota samochodu.

- Nie jestem leśniczym - rzekłem. Młody człowiek wzruszył ramionami. Przestał być uprzejmy i rzekł pogardliwie:

- Więc czego się pan wtrąca w nic swoje sprawy?

- O, przepraszam. To jest las państwowy, a ja jestem obywatelem tego państwa, czyli w pewnym sensie ten las jest także i pod moją opieką.

Młody człowiek popatrzył na mnie ironicznie, tak jak się patrzy na jakiegoś nieszkodliwego dziwaka. Potem znowu wzruszył ramionami i pokazał mi plecy. Nadszedł jednak ów barczysty, siwy mężczyzna w kraciastej koszuli. Chwycił za guzik mej skórzanej marynarki i zapytał po angielsku:

- Are you perhaps Mr Malinowski?

Znam angielski. Jego pytanie brzmiało: „Czy jest pan może panem Malinowskim?”. Ale nie chciałem ujawniać swej znajomości tego języka. Cudzoziemcy, których spotkałem na drodze do Miłkokuku, nie budzili mego zaufania. Wzruszyłem więc tylko ramionami, podobnie, jak to zrobiła dziewczyna, gdy zwróciłem się do niej po polsku.

Młody człowiek usłużnie pośpieszył z tłumaczeniem:

- Ten pan zapytał, czy nie jest pan Malinowskim?

- Co takiego? - zrobiłem zdumioną minę. - Oczywiście, że nie jestem Malinowskim.

Młody człowiek zwrócił się do swego mężczyzny i powiedział po angielsku:

- On twierdzi, że nie jest Malinowskim.

Cudzoziemiec aż poczorwieniał ze złości, zacisnął pięści i gniewnie wymachiwał rękami,

powtarzając po angielsku:

- Ach, ten Malinowski, Malinowski! Już ja go urządzę! Ze skóry go obedrę! Młoda dziewczyna zaczęła uspokajać siwego mężczyznę.

- Znowu się złościysz? Papa, daj spokój tej sprawie. Mamy ważniejsze kłopoty. Przecież musimy się jakoś dostać do tej dziury.

Odezwałem się do młodego człowieka:

- Zatarasowaliście mi drogę, a ja muszę jechać dalej. Mnie się śpieszy.

- Nam też się śpieszy. Przecież pan widzi, co się stało - burknął. - Niech pan jedzie inną drogą.

- Tu nie ma innej drogi. Dookoła lasy i bagna.

- W takim razie musi pan czekać, aż wydostaniemy nasz wóz z błota.

Tymczasem obudzili się harcerze i jeden za drugim poziewując wyłazili z mego wehikułu. Wyglądało to dość śmiesznie, bo najpierw z auta wyjrzała ciekawie kudłata głowa Wilhelma Tella. Potem zaś wysunęła się figurka chłopaka. A po chwili wyjrzała znowu inna głowa. To był Wiewiórka. I znowu ukazała się trzecia głowa, zaopatrzona w długi nos Sokolego Oka. Cudzoziemcy zdumieni się, nawet młoda dziewczyna zgubiła wyraz swej zwykłej obojętności. Gdy na drodze leśnej stanął trzeci chłopiec, dziewczyna parsknęła śmiechem i powiedziała po angielsku:

- Dużo on jeszcze ma ich w swym wozie? Całą klasę chyba wiezie.

Odezwałem się do harcerzy:

- Mamy zatarasowaną drogę. Rozejdźcie się po lesie i poszukajcie, czy nie ma tu gdzieś jakiegoś innego przejazdu przez strumień.

Chłopcy rozbiegli się, a piękna dziewczyna zwróciła się do młodego mężczyzny:

- Niech pan powie temu człowiekowi, że go chcemy wynająć, Niech pojedzie do wsi i sprowadzi tu konie.

Młody człowiek powtórzył po polsku jej propozycję.

- Nie jestem do wynajęcia - odrzekłem. Przekazał jej odpowiedź.

- Nicch mu pan powie, że dobrze zapłacimy - dodała.

- Niech jej pan powie, że jestem bogatym człowiekiem. Kupię od niej tę przyczepę campingową. Dobrze zapłacę - powiedziałem, gdy przetłumaczył jej słowa.

Gadałem głupstwa, nie miałem pieniędzy. Byłem skromnie zarabiającym

pracownikiem muzeum, naukowcem z odrobiną ambicji literackich. Kilkakrotnie powierzono mi zadanie odnalezienia zaginionych podczas wojny cennych zbiorów muzealnych i swe przygody opisałem potem w książkach. Lubiłem także rozwiązywanie zagadek historycznych, a to przecież nie przynosiło mi żadnych dodatkowych dochodów, pochłaniało tylko wolne od pracy godziny i wypełniało moje urlopy. Ci zaś ludzie byli zapewne bardzo zamożni. Ale złościły mnie tak obcesowo stawiane pytania i propozycje. Nie lubię zarozumiałych i pewnych siebie bogaczy.

- Nie wygłupiaj się pan! - zawołał młody człowiek, - Na pewno nie mu pan grosza przy duszy, swój samochód wy dostał pan z magazynu ze złomem. A wie pan, kim są ci ludzie? To bogacze. I w ogóle, zachowuje się pan bardzo niewłaściwie. Oni przyjechali zwiedzać nasz kraj, płacą za to dolarami, które są nam potrzebne. Jestem przydzielony, aby im ułatwiać zwiedzanie, bo oni nie znają języka. Muszą dojechać do tego swojego Miłkokuku. Każdy polski obywatel powinien im pomóc.

Udałem lekko speszzonego.

- Ale czegoż oni szukają tu, na tych bezdrożach?

- Och, cudzoziemcy mają najdziwniejsze zachcianki - wyjaśnił. - Ale teraz skoro już pan wie, z kim ma pan do czynienia, proszę zawiadomić chłopów z najbliższej wsi. Niech przyjdą z końmi. Dobrze im zapłacimy.

Tymczasem wrócili chłopcy. Okazało się, że tuż obok jest takie miejsce, gdzie między drzewami pozostała wystarczająca przestrzeń na przejazd samo chodem.

- Świetnie się składa - rzekłem. - Pojadę do Miłkokuku i zawiadomię tamtejszych rolników. Jestem pewien, że wam pomogą.

- Co takiego? Pan jedzie do Miłkokuku? - zdziwił się młody człowiek.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ja już wsiadłem do swego wozu. Wraz ze mną wskoczyli do niego moi przyjaciele. Cofnąłem swój wóz do tyłu, potem skręciłem w las i oświetlając drogę reflektorami wymijałem pnie drzew. Podczas przejazdu przez strumień mój wóz spisał się doskonale. Znowu znalazłem się na leśnej drodze, ale już powyżej ugrzęźniętego w błocie lincolna.

Tu oczekiwała mnie dziewczyna, a wraz z nią młody człowiek. Oświadczył mi:

- Panna Petersen zapytuje pana, czy nie zechciałby pan przy pomocy liny wyciągnąć swoim wozem ich wozu?

- Panna Petersen? - aż się zachłysnąłem. A harcerze, którzy siedzieli za moimi plecami, zasycieli ze złości. Że też od razu nie domyśliłem się, kim jest ów krępy mężczyzna w kraciastej koszuli. To kapitan Petersen, słynny poszukiwacz skarbów. Oczywiście, przyjechał jednak szukać skarbu templariuszy. Dowiedział się z gazety o tajemniczym dokumencie, który posiadał nauczyciel z Miłkokuku, i, podobnie jak ja, śpieszył, żeby się z nim zapoznać.

Pomyślałem, że oto mam w tej chwili jedyną szansę, aby wyprzedzić swoich przeciwników. Niech tkwią w błocie, a ja w tym czasie dojadę do Miłkokuku.

Czułem jednak niesmak na myśl o takim załatwieniu tej sprawy. Przecież Petersen nie ma pojęcia, że jestem jego przeciwnikiem i moje zachowanie przyjmie jako grubiaństwo ze strony Polaka, który mógł im pomóc, a nie chciał. Więc należało albo wprost powiedzieć Petersenowi, że jest on moim konkurentem i wówczas zupełnie otwarcie odjechać do Miłkokuku, albo też okazać mu pomoc, nie mówiąc mu, kim jestem.

- Dobrze. Postaram się państwu pomóc - powiedziałem po chwili wahania. I zacząłem swój wóz cofać do tyłu.

- Co pan wyrabia? - szeptali za moimi plecami harcerze. - Chce pan pomóc swoim wrogom? Oburzyłem się:

- Zawsze prowadziłem uczciwą grę. Bez tej uczciwości nie ma prawdziwej przygody. Jeśli Petersen potrzebuje mojej pomocy, to muszę ją mu okazać.

- A czy on panu pomoże, jeśli znajdzie się pan w podobnej sytuacji? - spytał Wilhelm Tell.

- Nie wiem - powiedziałem. - I nic mnie to nie obchodzi, Ale wiem, że inaczej mi postąpić nie wolno.

Po sekundzie wpadła mi do głowy świetna myśl:

- Weźcie elektryczne latarki i pomaszerujecie do Miłkokuku. To jeszcze ze cztery kilometry. Odnajdziecie nauczyciela i powiecie mu, żeby w żadnym wypadku nie pokazywał nikomu dokumentu templariuszy. Aż do mego przyjazdu, rozumiecie? A Ja w tym czasie postaram się wyciągnąć z błota wóz Petersenów.

W lesie było już niemal zupełnie ciemno. Chłopcy niepostrzeżenie wymknęli się z auta i przepadli w nocnym mroku. A ja podjechałem tyłem na brzeg strumienia. Wtedy panna Petersen zapaliła światła reflektorów lincolna tkwiącego w błocie. Zrobiło się jasno i można było przystąpić do akcji ratunkowej.

Młody człowiek, który był tłumaczem Petersenów, poklepał mnie po plecach.

- No, nareszcie pan zmądrzał. Pomoże pan wyciągnąć ich auto i zarobi co nieco. Panie - pochylił się do mego ucha - od nich można kupę forsy wyciągnąć. Poniekąd będzie to bardzo patriotyczne, bo zostawią u nas trochę dolarów.

Panna Petersen wzięła w swoje ręce kierowniczą rolę w akcji ratunkowej. Odłączyła przyczepę od lincolna, aby było mi lżej wyciągać z błota. Potem wyjęła z bagażnika mocną linę. Podwinęła wysoko nogawki swoich spodni, weszła do wody i linę uczepiła do haka na przodzie swego wozu.

- Proszę drugi koniec uczepić do tyłu swojego auta - komenderowała po angielsku, a ja bezwiednie wykonywałem jej rozkazy.

Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że miałem udawać nieznamość angielskiego. Więc natychmiast zacząłem rozkazy wykonywać na opak, co bardzo ją rozgniewało. Odwołała się do młodego człowieka, który z rękami w kieszeniach stał nad brzegiem strumienia i ani myślał nam pomagać, lękając się zabrudzić błotem swój jasny garnitur. Petersen palił fajkę i od czasu do czasu mruczał coś pod nosem.

Panna Petersen robiła na mnie coraz większe wrażenie - podobają mi się dziewczyny o jasnych włosach i smukłych sylwetkach. Jej obojętność i znudzenie okazało się tylko pozorne, umiała być energiczna. Z przyjemnością patrzyłem, jak raz po raz wchodziła do wody, poprawiała umocowaną linę, wiązała ja w podwójne węzły, żeby nie pękła.

- Niech pan jej zapyta, jak ma na imię? - zwróciłem się do młodego człowieka.

Powtórzył jej pytanie. Roześmiała się.

- Karen. Na imię mam Karen. Podoba się panu moje imię?

Powiedziałem, że bardzo mi się podoba.

- A ja mam na imię Tomasz - rzekłem.

- Thomas? - powtórzyła. I znowu się roześmiała. Zapytałem młodego człowieka:

- Z czego ona się śmieje?

Odpowiedziała mu, że jej się podobam, bo mam taki dziwaczny i zarazem śmieszny samochód. I razem z tym samochodem tworzę dość zabawną parę. Ale młody człowiek przetłumaczył to zupełnie inaczej.

- Ona mówi, że pan jest śmieszny.

„Jestem śmieszny? - pomyślałem. - Poczekaj no, już ja cię urządzę”.

Nawet nie zauważył, kiedy wokół jego nóg oplątałem linę. Drugi koniec liny uczepiłem do tyłu samochodu. Potem wsiadłem do wehikułu i wolniutko ruszyłem z miejsca. Lina, która dotąd leżała luźno, zaczęła się wyprężać. Wtedy szybko puściłem pedał sprzęgła i dodałem gazu. Wozem szarpnęło, elegant pociągnięty przez linę - przewrócił się w błoto, a lina pękła od gwałtownego szarpnięcia.

Młody człowiek przeklinał gramoląc się z błota, panna Petersen krzyczała na mnie, że nie powinienem był tak gwałtownie ruszać wozem.

Wysiadłem z auta pełen skruchy i związałem pękniętą linę.

- Boże drogi, jak ja wyglądam? - jęczał młodzieniec.

Gdy pojawił się w strudze światła reflektorów, panna Petersen parsknęła głośnym śmiechem. Po jego jasnym garniturku spływały strugi brudnej wody. Miał na piersiach wielką plamę czarnego błota i pomazaną twarz. Nawet we włosach czerniały mu skrzepy mułu.

- Pięknie mnie pan urządził, nie ma co mówić - wściekał się na mnie.

Panna Petersen odprowadziła go na bok i chusteczką ścierała błoto z jego ubrania. Coś mu przy tym cicho klarowała, ale treści nie mogłem zrozumieć.

Tym razem linę złożyłem podwójnie i dopiero teraz ją uczepiłem do samochodu Petersenów i własnego. Nie spieszyło mi się jednak z wyciąganiem auta. Obliczałem w myślach, czy harcerze zdążyli już dojść do Miłkokuku i czy odnaleźli dom nauczyciela. Raz po raz znajdowałem więc jakiś nowy pretekst uniemożliwiający akcję ratunkową. To lina była, moim zdaniem, zbyt słabo uwiązana, to znowu zacząłem grzebać pod maską mojego wozu.

Panna Karen złościła się, a jej złość przekazywał mi po polsku młody człowiek w wybrudzonym garniturze.

- Panie, nie może się pan pośpieszyć? Panna Petersen twierdzi, że pański samochód to jeden wielki szmelc.

- Szmelc? - powtórzyłem. I natychmiast odczepiłem linę udając, że czuję się obrażony.

Nastąpiły przeprosiny, a ja przez jakiś czas certowałem się. W końcu z głupia frant zapytałem:

— Dokąd się wam tak śpieszy?

Zaniepokoił się. Z odpowiedzią pośpieszyła panna Petersen.

- Jeździmy po Polsce w celach turystycznych. Wcale się nam nie śpieszy, tylko nie chcemy nocować w lesie. A pan, co pan tutaj robi?

- Ja jestem tutejszy — wyjaśniłem.

- Tutejszy? — ironizował młody człowiek. - Samochód pana, jeśli ten pojazd można nazwać samochodem, ma łódzką rejestrację.

- Co, co on mówi? - Zwrócił się pan Petersen do swego tłumacza.

Chcąc uniknąć kłopotliwych pytań spojrzałem na zegarek i wsiałem do wehikułu. Stwierdziłem, że jest jedenasta wieczorem, harcerze z całą pewnością są już od dawna w Miłkokuku. Tym razem powoli ruszyłem z miejsca. Naprężyła się lina, dodałem gazu i wóz Petersenów centymetr za centymetrem wydostawał się z błota. Silnik mój aż wył, lecz jeszcze kilka sekund i przednie koła lincolna znalazły twardy grunt. Wtedy dodała gazu także panna Petersen, siedząca za kierownicą, swej maszyny. Po chwili ich wóz znalazł się po drugiej stronie strumienia.

Po tamtej stronie pozostała jednak przyczepa campingowa.

- Przeciągnę ją swoim wozem - ofiarowałem się.

Lincoln pojechał nieco do przodu, a ja tyłem wróciłem przez strumień do przyczepy. Panna Petersen przeszła przez strumień, aby mi pomóc połączyć przyczepę z wehikułem.

Raptem krzyknęła przestraszona.

- Ktoś tam się ukrywa! O, tam, za drzewami! - zawołała, wskazując las po prawej stronie drogi.

- Może to jakieś zwierzę? - rzekł Petersen.

- Nie. To była twarz! Ludzka twarz. Ktoś nas śledzi - mówiła bardzo przejęta swym odkryciem. - Panie Kozłowski - zwróciła się do młodego człowieka - niech pan pójdzie ze mną. Przekonamy się, kto nas śledzi. Ty, papa - zawołała do swego ojca - też chodź z nami. Jesteś bardzo silny.

Ale pan Petersen nie okazał zainteresowania.

- Daj spokój, Karen - powiedział, - Co cię obchodzi, kto się tam skrada po leśnie? Nie mam zamiaru dostać pałą po głowie.

Karen aż zatupała nogami na leśnej drodze.

- Och, tchórze! Tchórze! - krzyknęła. - Jeśli nie chcecie iść ze mną, to ja pójdę sama. Młody człowiek uśmiechnął się do mnie złośliwie.

- Może pan będzie odważniejszy? Pan zapewne nie boi się ciemności leśnych.

Karen patrzyła na mnie wyczekująco. Zobaczyłem jej piękne, zielone oczy i pomyślałem,

że dla niej warto by całą noc krążyć po lesie, pośród dzikich zwierząt i opryszków ukrytych za pniami drzew.

Ramię przy ramieniu zagłębiliśmy się w las po prawej stronie drogi. Światła reflektorów samochodowych zniknęły za naszymi plecami. Otoczyła nas zupełna ciemność, szliśmy niemal po omacku. Dopiero po jakimś czasie, gdy oczy nasze przywykły do ciemności, rozróżnialiśmy wyraźniej pnie drzew. Potykaliśmy się o wystające z ziemi korzenie, wpadaliśmy na krzaki, nogi grzęzły nam w liściach i igliwiu.

- Cicho - syknęła panna Petersen i ścisnęła mnie za ramię.

Przystanęliśmy z przytępienymi w piersiach oddechami. W pewnej chwili wydało mi się, że od strony, gdzie pozostawiliśmy nasze wozy, słyszę szum silnika samochodowego. Ale znowu nastała cisza. I cisza była dookoła nas.

Nagle panna Petersen odezwała się:

- No, teraz możemy już wracać,

Puściła moje ramię i pomaszerowała w kierunku drogi. Szedłem za nią krok w krok, a w głowie mojej rodziło się niejasne podejrzenie. Jeszcze kilkanaście kroków i podejrzenie przerodziło się w pewność.

Na ścieżce leśnej nie było już samochodu Petersenów. Stała tylko ich przyczepa i mój wehikuł. Z przednich kół miał wypuszczone powietrze.

Spojrzałem na Karen. Uśmiechnęła się przeprasząco.

- Panie Tomaszu - powiedziała po angielsku. - Czy pan nas uważał za głupców? Pan sądzi, że damy sobie sprzątać przed nosa ten dokument?

- Pani mnie oszukała...

- Tak? - udała zdumienie. - A pan to nas nie próbował oszukać? Od razu domyśliłam się, że pan doskonale rozumie po angielsku. Żle pan się maskuje, panie Tomaszu. Chabrol właśnie do Łodzi pisał do pana, aby nam pan pomógł w poszukiwaniach skarbu templariuszy. Gdy Kozłowski powiedział mi, że ma pan łódzką rejestrację, natychmiast domyśliłam się, z kim mamy do czynienia. Nie jesteśmy naiwni.

Byłem wściekły. Aż gotowało się we mnie ze złości. Harcerze mieli rację, ostrzegając mnie przed okazaniem pomocy Petersenom. Pięknie odplacili mi się za grzeczność.

- Niech się pan nie gniewa, panie Tomaszu - panna Petersen nieoczekiwanie pogłaskała mnie po policzku. - Wypuściliśmy powietrze tylko z dwóch kół. Pomogę panu i za godzinę

będzie pan mógł ruszyć w dalszą drogę. Właśnie ta godzina była nam potrzebna.

- Owszem. Ruszę w dalszą drogę, ale pani tu zostanie ze swoją przyczepą. Uśmiechnęła się.

- Pan tego nie zrobi. Pan jest dżentelmenem. Nie zostawi pan w lesie samotnej dziewczyny. Prawdziwego mężczyznę poznać po tym, że nie tylko umie wygrywać, ale potrafi zachować twarz podczas klęski.

Roześmiałem się.

- Klęska? Dlaczego pani mówi o klęsce? Czy nie zwróciła pani uwagi, że raptem zniknęli moi trzej młodzi przyjaciele?

- A właśnie? Gdzie są ci chłopcy? - zaniepokoiła się, - Myślałam, że śpią w wozie.

- Nie, oni są w Miłkokuku. Być może, mają już w swych rękach tajemniczy dokument. A w każdym razie z całą pewnością pokrzyżują plany pani ojca i Kozłowskiego.

Zacisnęła usta. Przestała się uśmiechać. Teraz ja patrzyłem na nią triumfująco.

I ona jednak umiała przegrywać. Po chwili powiedziała:

- Pan mi imponuje. Cieszę się, że mam w panu przeciwnika. To czyni naszą wyprawę bardziej interesującą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

OSZUST W PARYŻU – KIM JEST KOZŁOWSKI? – POKÓJ CZY WOJNA? – CO SPOTKAŁO HARCERZY W MIŁKOKUKU – TAJEMNICZA CZARNA PANI – GDZIE JEST NAUCZYCIEL? – ROZDZIELMY NASZE SIŁY

Prawie godzinę zajęło mi pompowanie powietrza do przednich kół. Zresztą nie śpieszyłem się zbytnio. Petersen i Kozłowski już od dawna byli w Miłkokuku. Jeśli więc harcerze nie okazali się dostatecznie sprytni, to i mój pośpiech niewiele by zmienił.

Panna Petersen próbowała wielu środków, byle bym tylko przestał się gniewać na nią, Kozłowskiego i jej ojca. Uśmiechała się urzekająco, potem, gdy zmęczyłem się pompowaniem, przyniosła z przyczepy jakiś świetny cytrynowy napój.

- Bardzo chciałabym, żeby pan zrozumiał mego ojca - tłumaczyła. - Jest wściekły, bo już na początku tej wyprawy został wystrychnięty na dudka przez niejakiego Malinowskiego.

- Ach, to on dlatego ciągle wypytuje o Malinowskiego?

- Tak. To wszystko stało się z mojej winy. W Londynie dowiedziałam się o odnalezieniu dokumentu, który pozwalał się domyślać, że część skarbu templariuszy znajduje się w Polsce. Myślę o liście Piotra z Bolonii do wielkiego mistrza Krzyżaków, Wenera von Orseln. Za zgodą ojca, który w tym czasie penetrował wraki galeonów w zatoce Matanzas na Kubie, kupiłam ten dokument za dość dużą sumę pieniędzy. Wyznaję, że bardzo chciałam podjąć poszukiwania skarbu templariuszy. Nigdy nie smakowałam w wydobywaniu złota ze starych wraków, to jest zajęcie przede wszystkim dla nurków. Co innego szukanie skarbu templariuszy. Myślałam, że będę mogła wypróbować swoją inteligencję. Bo tu trzeba sprytu i wiedzy, przede wszystkim znajomości historii. A ja właśnie w Londynie studiuje historię. Więc namówiłam ojca, żeby po zakończeniu prac w zatoce Matanzas podjął wyprawę do Polski. Trzeba nam było jednak znaleźć kogoś, kto już wcześniej zająłby się tą sprawą i zrobiłby rekonesans po krzyżackich zamkach w Polsce. Prezes Towarzystwa Poszukiwaczy Skarbów, pan Chabrol, podjął się znalezienia odpowiedniego człowieka.

- Napisał do mnie w tej sprawie, ale ja odmówiłam.

- Wielka szkoda. W tej chwili chyba najbardziej tego żałuję. A może jednak teraz przystąpi pan z nami do spółki?

- Nie. To niemożliwe - stwierdziłem.

- Jak pan uważa - wzruszyła ramionami. - Pan Chabrol w końcu znalazł jakiegoś człowieka. To był rzekomo ktoś z Polski, który tylko na krótki okres przyjechał do Paryża. Przedstawił się jako Malinowski. Wyciągnął od Chabrola trochę informacji na temat skarbu i o nas. Miał z panem Chabrolem podpisać umowę na współpracę z nami, ale tego nie zrobił. Ciągłe wykręcał się pod różnymi pretekstami. A w międzyczasie napisał list do mego ojca na Kubę i powiadomił go, że zawarł już umowę z Chabrolem, teraz zaś potrzebuje jeszcze dodatkowych informacji na temat skarbu oraz około czterystu dolarów na rozpoczęcie poszukiwań w Polsce.

Ojciec mój, którego Chabrol powiadomił, że znalazł właściwego człowieka do poszukiwań, dał się nabrać na list Malinowskiego. Przysłał mu informacje i czterysta dolarów na poste restante w Paryżu. I wtedy po Malinowskim wszelki ślad zginął. Ba, żeby tak tylko było. Ale ten łobuz sprzedał jakiemuś dziennikarzowi informację o skarbie templariuszy i w ten sposób ukazał się artykuł w naszej prasie. Wtedy okazało się, że pan Chabrol jeszcze nie podpisał umowy z Malinowskim, a więc tym samym nie miał w ręku jego paszportu, w ogóle nie wiedział, co to za jeden i gdzie go szukać. To był najzwyklejszy oszust. Ojciec mój bardzo się rozgniewał, ale jednocześnie obudziła się w nim ambicja. Postanowił, że mimo oszustwa nie zrezygnuje z poszukiwań. Musi te skarby odnaleźć. Bo ten nasz przyjazd tutaj nie bardzo się opłaca. Według polskich przepisów znalazca skarbu ma prawo tylko do znaleźnego w wysokości dziesięciu procent całej wartości skarbu, resztę zaś musi przekazać państwu. Ojciec zgodził się na to, podpisał z waszymi władzami umowę: dziesięć procent dla nas, a dziewięćdziesiąt dla państwa, z tym, że państwo pokryje część naszych wydatków związanych z poszukiwaniami, jeżeli te poszukiwania okażą się owocne. Ale, jak powiadam, w tym wypadku na pieniądzech przestało nam zależeć. Podejrzewam, że ojciec mój wcale nie przyjechał tutaj, aby szukać skarbu, tylko po to, żeby odnaleźć Malinowskiego i wpakować go do więzienia..

- Państwo mają więc umowę na poszukiwania skarbow – zastanawiałem się. - Robicie to legalnie za zgodą władz. To oczywiście zmienia nieco postać rzeczy.

- Moze więc jednak zgodzi się pan na współpracę z nami?

- Pracuję zawsze na swój rachunek - rzekłem.

- Odprawimy Kozłowskiego, a przyjmimy pana. Zresztą pan Kozłowski również mógłby zostać z nami.

- Co to za człowiek?

- Bardzo sympatyczny. Zna perfektnie francuski i angielski. Przystojny - zaśmiała się.

- A kim jest z zawodu?

- Pracuje, zdaje się, w polskim biurze podróży. Poznaliśmy go w Warszawie, gdzie też szukaliśmy tłumacza na cały okres naszego pobytu w Polsce. On sam się zaoferował i wziął nawet urlop z pracy.

- Nie dziwię mu się. Być tłumaczem takiej ładnej dziewczyny...

Wypiliśmy jeszcze po szklance cytrynowego napoju. Była już dwunasta w nocy. Podłączyłem przyczepę do wehikułu i powoli ruszyłem w stronę Miłkokuku. Wkrótce minęliśmy leśniczówkę stojącą na skraju lasu, potem - obok drewnianego mostka nad rzeczką łączącą Jezioro Zelwa z jeziorem Miłkokuk - napotkaliśmy lincolna Petersenów. Ani Petersen, ani Kozłowski nie podeszli do mego samochodu. Wyglądało na to, że woleli pozostawać w ciemności. Nie szukałem ich także - wspomnienie o oszustwie, którego padłem ofiarą, znowu obudziło we mnie gniew. „Niech wybiją sobie z głowy, że przystąpię do współpracy” - pomyślałem.

Odłączyłem przyczepę i chłodno pożegnałem się z panną Karen.

- Czy można wiedzieć, dokąd pan jedzie? - spytała.

- Och, świat jest taki duży...

- Więc nie chce pan współdziałać z nami? Między nami pokój czy wojna?

- Wojna - burknąłem.

Wsiadłem do swego wozu i pojechałem w stronę wsi. Najważniejsze było dla mnie dowiedzieć się, jak moi trzej przyjaciele załatwili sprawę tajemniczego dokumentu. Bardzo chciałem, aby Petersenowie i Kozłowski zostali wykiwani w tej historii. Właśnie dlatego, że uciekli się do oszustwa.

Przejechałem chyba z pół kilometra, gdy na drodze błysnęła czerwona latarka Wilhelma Tella i w światłach reflektorów zobaczyłem całą trójkę siedzącą w przydrożnym rowie.

- Czekaliście tu na pana - powiedział Sokole Oko. - Najpierw jednak przyjechał Petersen. Dlaczego?

- Zaraz wam to wyjaśnię. Teraz chcę wiedzieć, co z dokumentem? Bezradnie rozłożyli ręce.

- Nic nie uzyskaliśmy.

- Co? Dokument wpadł w ręce Petersena?! - krzyknąłem.

- Nauczyciel wyjechał. A raczej poszedł z grupą chłopców szkolnych na krajoznawczą wycieczkę kilkudniową. Jego domek jest zamknięty na cztery spusty. Nauczyciel nawet nie wie, że napisano o nim w gazetach i do jego domku dobijają się tłumy ludzi.

- Co wy mówicie? Tłumy?

- No, trochę przesadzamy - roześmiał się Sokole Oko. - Ale od wczoraj nad brzegiem jeziora rozbili namiot jacyś państwo, którzy tu przyjechali niebieską skodą. Podobno oni pierwsi dopytywali się o nauczyciela. Potem przyjechał jakiś mężczyzna na junaku. On także rozpytywał, gdzie jest nauczyciel. W pobliżu domku nauczyciela spotkaliśmy dość podejrzaną młodą panią, bardzo sprytną. Od razu nas zdemaskowała.

- Zdemaskowała?!

- A tak opowiadał Wiewiórka, - Zapukaliśmy do drzwi domku i z ciemności nocnej wyszła ta właśnie pani. Zapytała: „A wy, chłopcy, w sprawie tajemniczego dokumentu?”. Nie wiedzieliśmy, co jej odpowiedzieć, po prostu zapomnieliśmy języka w gębie. Wtedy ona rzekła: „Nie macie się co trudzić. Lepiej poszukajcie noclegu”. I wyjaśniła nam, że nauczyciel jest na kilkudniowej wycieczce.

- To bardzo dobra osoba - rzekł Tell. - Niepokoiła się, że po nocy samotrzeć kręcimy się po okolicy. Ciągle się martwiła: „A czy coś jedliście? A gdzie będziecie spali? Może pójdziecie na siano do stodoły?” Pytała też, kto nas tu przywiózł...

- A wy, oczywiście, powiedzieliście - stwierdziłem ironicznie.

- Nie - zająknął się Tell. Sokole Oko powiedział ponuro:

- O mało nie zdradziliśmy się, że jesteśmy z panem. Ona jest bardzo sprytna i daje takie podchwytliwe pytania, że człowiek ani się spostrzeże, jak zdradzi prawdę. Zapytała mnie na przykład: „Długo się jedzie przez las furmanką?”. Więc ja jej mówię: „Nie wiem, bo my jechaliśmy samochodem”. „A czym samochodem?” - spytała. Tego oczywiście już nie powiedziałem. Na szczęście nadjechał Petersen, ona wdała się z nim w rozmowę i zdołaliśmy niepostrzeżenie wymknąć się. Dlatego czekamy na pana tutaj, a nie we wsi. Idąc tutaj wstąpiliśmy do jednej z chałup, żeby napić się wody. Nie chodziło, rzecz jasna, o wodę.

Chcieliśmy przeprowadzić mały wywiad. I to właśnie w tej chałupie dowiedzieliśmy się o tych niezwykłych turystach, co to od wczoraj przyjechali do Miłkokuku. Do tej pory turyści raczej rzadko tutaj zaglądali. A tu jednego dnia aż tylu. Wszystkie to są amatorzy skarbu.

- Uff, nie lubię tłoku. Jak pan Zagłoba - mruknął Wiewiórka.

Teraz opowiedziałem im o swej przygodzie z Petersenem i o brzydkim kawale, jaki mi wyrządzili. Chłopcy byli oburzeni.

- Ma pan za swoje, panie Tomaszu. Chciał pan być dżentelmenem.

- Petersenówna jest żmiją! - zawołał Sokole Oko.

- Karen? - zdumiałem się.

- Przewraca do pana oczami, a pan daje się nabrać - rzekł zdecydowanie Sokole Oko.

Chrząknąłem z zażenowaniem. To prawda, że panna Petersen bardzo mi się podobała. Ale nie wydawało mi się, że jest to temat do rozmowy z chłopcami.

- Spać! - zawołałem. - Najwyższa pora, żebyście leżeli w namiocie! Wtem w ciemności nocnej zabrzmiał kobiecy głos:

- A pewnie, że już od dawna powinni spać. Bardzo się dziwię, że pan pozwala trzem młodym ludziom buszować po nocy.

- To ona - szepnął Tell. - Ta, co nas spotkała koło domku nauczyciela,

Rozmowa z chłopcami odbywała się w pobliżu mego auta, które ze zgaszonymi światłami stało na skraju wsi. Nie miałem pojęcia, od jak dawna ta dziwna kobieta pozostawała w ciemności nie zauważona przez nas. Być może słyszała całą naszą rozmowę.

- Nie jest ładnie podsłuchiwać - powiedziałem w stronę nadchodzącej.

- Mówiliście tak głośno, że słyhać was było na kilometr - zaśmiała się.

Była to wysoka dziewczyna o ciemnych, krótko przystrzyżonych włosach. Miała na sobie czarne spodnie i czarny, gruby sweter. W nocy jej czarna sylwetka nie rzucała się w oczy.

- Wszyscy poszukiwacze skarbów rozłożyli sję obozem na brzegu jeziora Miłkokuk - odezwała sję drwiąco, - Chcą być jak najbliżej domku nauczyciela. Za lasem jest droga do jeziora - wskazała kierunek.

Niepotrzebnie zresztą, bo właśnie dostrzegliśmy na tej drodze potężne światła lincolna Petersenów. Zapewne i oni pojechali nad jezioro, aby spędzić tam noc.

- Znam lepsze miejsce na biwak - rzekłem.

- Pan już był w tych stronach? Udałem, że nie dosłyszałem pytania.

- Siadajcie, chłopcy, jedziemy - rzuciłem rozkaz.

I wtedy znowu zobaczyliśmy światła reflektorów samochodowych. Z lasu wyjechało jakieś auto i zmierzało do Miłkokuku. Po chwili minęła nas Warszawa, zmierzająca do wsi.

- Znowu jacyś zapóźnieni poszukiwacze skarbów - westchnęła czarna dziewczyna. - Muszę wrócić do wsi, żeby ich poinformować o nieobecności nauczyciela.

- Kim pani jest, do licha? - spytałem. - Informatorką opłacaną przez zakon templariuszy?

- Być może - skinęła głową. Nagle zmieniła zdanie: - W którą stronę jedziecie? Być może, zabiorę się z wami. Mam dosyć udzielania informacji. Tym bardziej, że nikt mi za to nie płaci.

Wtrącił się Wilhelm Tell:

- To wcale nie będzie rozsądne, jeśli rozbijemy biwak daleko od domku nauczyciela. A jeśli nauczyciel niespodziewanie powróci z wycieczki?

Odciągnął mnie na bok i szeptem zaczął klarować, że ich trójka rozstawi namiot w sąsiedztwie domku nauczyciela i że nie ma najmniejszego sensu, abyśmy wszyscy działali w jednym i tym samym miejscu. Powinniśmy rozdzielić między siebie zadania i obowiązki. Oni będą obserwować domek nauczyciela i czekać na jego powrót, a ja zajmę się obserwowaniem naszych konkurentów, przede wszystkim Petersenów.

Było to mądrze pomyślane, więc uległem argumentacji Tella. Rozdzieliliśmy między siebie śpiwory, koce, żywność.

- Gdyby się stało coś ważnego, szukajcie mnie nad jeziorem Pomorze. Dwa kilometry stąd. Od leśniczówki drogą w prawo traficie nad małą zatoczkę ogromnego jeziora. Tam rozłożę się obozem - tłumaczyłem chłopcom na pożegnanie.

Odezwała się czarno ubrana dziewczyna:

- W takim razie ja zabiorę się z panem Samochodzikiem.

- Nie jestem dla pani żadnym panem Samochodzikiem - oburzyłem się.

- Bardzo przepraszam. Wydaje mi się jednak, ta to dość sympatyczne przezwisko.

- Owszem, lubię je, ale tylko wtedy gdy słyszę je od swoich przyjaciół.

- Sądzi pan, że nie zostaniemy przyjaciółmi? Bardzo polubiłam pańskich chłopców.

- Niech pani siada. Proszę uprzejmie – uciałem rozmowę.

Pojechaliśmy leśną drogą nad jezioro Pomorze. Przez całą podróż - niedługą zresztą - wymieniliśmy zaledwie kilka zdań na temat okolicy: że jest bardzo piękna, bogata w lasy i jeziora. Wyznaję, że moja towarzyszka bardzo mnie intrygowała i rad byłbym dowiedzieć się,

kim jest i co robi w tych stronach.

Zrobiło się nieco widniej, gdyż przez chiny przedarł się księżyc. Droga zbliżyła się do jeziora - zobaczyłem ogromną połąć wody, marszczącej się jakby od dotknięcia blasku księżycowego światła. Głęboko w ład wrzynała się wąska zatoka zarośnięta przy brzegu trzcinami.

- To tutaj - powiedziałem, skręcając na łagodną pochyłość terenu obniżającego się do jeziora.

W tym miejscu skraj lasu dzieliła od wody nieduża łączka o wysokiej, puszystej trawie. Właśnie tu zamierzałem nocować.

- A pani? Gdzie pani pójdzie? Przecież od tego miejsca w promieniu przynajmniej trzech kilometrów nie ma żadnej chałupy.

- Dam sobie radę. Do zobaczenia!

Wyskoczyła z wehikułu i pobiegła przez łączkę aż nad wodę. Na krótką chwilę zniknęła mi z oczu w trzcinach przybrzeżnych. Potem, na ogromnej połąci jeziora, w strudze księżycowego światła, zobaczyłem podłużny kształt kajaka sunącego w stronę przeciwległego brzegu.

A więc w trzcinach miała ukryty kajak.

Płynęła szybko, równo pracując wiosłami. Przypomniałem sobie, że ja także - będąc w tej okolicy na urlopie - kilkakrotnie w tych samych trzcinach zostawiałem kajak. Miejsce świetnie się nadawało do tego celu, bo trzciny były bardzo gęste. Stąd właśnie robiłem najmiłsze wycieczki po okolicy.

Śledziłem wzrokiem kajak, dopóki nie uciekł ze strugi światła i nie rozpląnął się w nocnej ciemności, która pokrywała drugi brzeg. Nie chciało mi się już rozbijać namiotu. Umyłem się w chłodnej wodzie jeziora i rozłożyłem siedzenia w aucie. Mimo zmęczenia i senności długo nie mogłem zasnąć.

Minął dopiero pierwszy dzień wyprawy po skarb templariuszy, a ileż przeżyłem wrażeń. Złościłem się na wspomnienie podłego postępku Kozłowskiego i Petersenów, myślałem o oczach Karen. Nią kierowała przede wszystkim chęć przeżycia ciekawej przygody i sprawdzenia własnych zdolności. I to budziło we mnie sympatię do niej. Lecz Petersen? Kozłowski? A turyści, którzy nagle przyjechali nad jezioro? Kim się okażą? Może właśnie spośród nich wyłoni się wkrótce mój najzacieklejszy przeciwnik? Wreszcie pozostawała jeszcze owa dziewczyna ubrana

w czarne spodnie i czarny sweter. Cemu zachowuje się tak tajemniczo? Mozo jej informacje o nauczycielu, którymi tak szczodrze wszystkich obdziela, to po prostu sprytny wybieg, zmierzający do tego, abyśmy z założonymi rękami oczekiwali jego powrotu, gdy w tym czasie właśnie ona zdobędzie tajemnlczy dokument?

Pytań nasuwało mi się bardzo wiele. Ale na żadne z nich nie znalazłem odpowiedzi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

DO CZEGO POTRZEBNA JEST WYOBRAŹNIA? – CO POCZAĆ Z
OBIEKTYWNYM OBSERWATOREM? – OPRYSZKI I MYSIKRÓLIK – PODRÓŻ PALCEM
PO MAPIE – KOZI RYNEK

— O Boże, cóż to za poczwara?

Taki okrzyk obudził mnie po nocy spędzonej w wehikule nad jeziorem. Podniosłem głowę. ze swego posłania i przez szybę zobaczyłem czarno ubraną panią, która oglądając mój samochód głośno wydziwiała. Za dnia czarno ubrana osóbką nie wyglądała na „panią”, a raczej na młodą dziewczynę w wieku panny Petersen. Była także bardzo ładna, ale inaczej. Jej uroda mniej rzucała się w oczy, lecz jednocześnie nie sposób było nie zwrócić na nią uwagi. Oczy miała wesołe, z odrobiną ironicznego błysku. Dostrzegłem sympatyczne dołeczki na jej buzi. Jednym słowem, ta dziewczyna musiała się każdemu podobać.

- Gdzie pan wynalazł tę pokrakę? - zastanawiała się, obchodząc dookoła samochód i oglądając go uważnie. - Ni to pies, ni to bies. Nie do wiary, że to c o s się porusza. Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdybym wczoraj nim nie jechała.

Nudziły mnie tego rodzaju okrzyki na widok mego samochodu, Ziewnąłem, przekręciłem się na drugi bok i nasunąłem koc na głowę. Byłem wciąż jeszcze śpiący.

- Ej, panie! - zapukała w szybę. - Czy wie pan, która godzina? Dwunasta w południe. Przyjechał pan na wczasy czy szukać skarbów? Panie Samochodzik, pora wstawać!

Znowu podniosłem głowę.

- Wypraszam sobie nazywanie mnie panem Samochodzikiem.

- Więc jcszcze nie jesteście przyjaciółmi?

- Nie znam pani, Nic o pani nie wiem.

- Przedstawię się panu. Nazywam się Anna W., ale może pan do mnie mówić: Anka. Pracuję jako dziennikarka. Teraz przebywam na urlopie w ośrodku dziennikarskim po drugiej stronie jeziora.

- Ach - poderwałem się z posłania. - Pani zapewne zna tego bałwana, tego... no, już nie wiem, jak go nazwać, który opublikował w gazecie wiadomość o skarbie templariuszy. I na dokładkę

napomknął o tajemniczym dokumencie, który jest u nauczyciela w Miłkokuku.

Zaśmiała się.

- Nie znam osobiście tego pana. Co do mnie, to mam zamiar napisać reportaż o wariatach, którzy po przeczytaniu artykułu przyjechali szukać skarbów. Czy można z panem przeprowadzić wywiad?

W pidzanie wyskoczyłem z samochodu.

- Pani chce mnie obsmarować w gazecie, tak?

- Uważam pana za bardzo sympatycznego wariata - powiedziała. - Także i pańscy trzej przyjaciele są przemili.

- Najlepiej będzie, jeżeli swe uczucia skieruje pani na Kozłowskiego.

- Kto to taki?

- No, ten, co przyjechał z cudzoziemcami. Zapewniam panią, że jest to człowiek bardzo trzeźwo myślący, nie żaden wariat,

- Wolę wariatów - stwierdziła zdecydowanie. - Czy nie jest pan głodny? Pan wygląda na takiego, co jak jest głodny, to gotów do kłótni. Przyrządzić panu śniadanie?

Machnąłem ręką. Zabrałem z wozu przybory do golenia, mydło i ręcznik. Z odległości dwudziestu kroków - bo tyle przestrzeni dzieliło brzeg jeziora od samochodu stojącego na łączce - gołąc się, ze zgrozą i oburzeniem patrzyłem, jak Anka penetrowała wśród moich rzeczy w wozie. Wyciągnęła pudełko z jajkami, chleb, masło, maszynkę spirytusową, patelnię i zaczęła smażyć jajecznicę na boczku. Doleciał do mnie smakowity zapach tej potrawy, odczułem ogromną czczość w żołądku. Gdyby nie groźba, że obsmaruje mnie w gazecie, dziewczyna wydałaby się zupełnie miła.

- Czy można otworzyć puszkę ze skondensowanym mlekiem?! - zawołała w moją stronę.

Kiwnąłem głową. Śniadanko zapowiadało się znakomite.

- Mogę panią wziąć do spótki - powiedziałem, zasiadając do śniadania. - Ja z chłopakami będę szukał skarbu, a pani powierzemy funkcję kucharki.

Wzruszyła ramionami:

- Skarby? Jestem rozsądną dziewczyną.

- Tak, tak, to widać - przytaknąłem ironicznie. - Ale czy nie sądzi pani, że o wiele rozsądniej byłoby jednak wypoczywać na leżaku lub pływać kajakiem po jeziorze niż kręcić się po Miłkokuku i obserwować szaleńców? Co będzie z pani rozsądkiem, jeśli jednak wbrew

rozsądkowi, któremuś z nas uda się odnaleźć legendarny skarb templariuszy? Ogromną, ciężką skrzynię klejnotów, wartości kilkuset milionów złotych?

- Przypuszcza pan, że tak wielki był ów skarb?

- A tak, proszę pani - rzekłem z satysfakcją, - Ta wielka suma, zdaje się, również przemówiła do pani rozsądku.

- W takim razie będę także szukała skarbów - stwierdziła wesoło.

- A może pani już nawet domyśla się, gdzie jest skarb?

- Mam nadzieję, że pan mi to zdradzi.

- Ja? Przecież zupełnie nic nie wiem - zaśmiałem się. - Być może, nieco więcej informacji mają Petersenowie, którzy tu przyjechali aż zza granicy. Niech pani uda się do nich po dodatkowe wskazówki.

Skończyłem jeść śniadanie. Myłem naczynia, a dziewczyna siedziała na trawie i mówiła:

- Wspomniał pan, że mogłabym przystąpić do spółki...

- Przed chwilą zmieniłem zdanie. Pani się nie nadaje na współnika.

- Dlaczego? Co się stało?

- Grzeszy pani rozsądkiem. To nie jest impreza dla ludzi rozsądnych. Trzeba mieć dużo fantazji i wyobraźni.

- Wyobraźnia jest potrzebna po to, aby sobie wyobrazić, gdzie jest skarb. A fantazja przyda się, żeby wyobrazić sobie, że się ten skarb odnalazło - rzekła złośliwie.

- Pani się myli. Wyobraźnia i fantazja są potrzebne do tego, aby sobie przedstawić sposób myślenia ludzi z tamtej epoki i wtedy zastanowić się, gdzie ukryłaby pani skarb, gdyby znajdowała się pani na ich miejscu. Na przykład niech pani sobie wyobrazi, że jest pani wielkim mistrzem Krzyżaków, Zygfydem von Feuchtwangen...

- To niemożliwe. Nic takiego nie potrafię sobie wyobrazić.

- Przeprowadzę na pani pewien test psychologiczny. Proszę mi powiedzieć, jak pani rozumie zdanie: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”?

- Och, to bardzo proste. Słowa te należy rozumieć: jeśli się w kimś zakochałeś, to posiadasz największy skarb.

Machnąłem ręką.

- Powinna pani wyjść za mąż i mieć troje dzieci. Zdaje się, że ku temu najwyższa pora. Czy pani naprawdę przypuszcza, że Zygfyd von Feuchtwangen to był jakiś kochliwy bubek?

Pani zapomniała, że on pełnił funkcję wielkiego mistrza zakonu rycerskiego Najświętszej Marii Panny, zakonu słynnego z okrucieństwa i bezwzględności w realizowaniu swych podbojów terytorialnych. Te słowa zostały wyryte na krzyżu. Uwzględniając jednak fakt, że stanowią przekreśloną cytata z Ewangelii Mateusza, można przypuszczać, że zawierają wskazówkę ukrycia skarbów, gdyż skierowane zostały do Jakuba de Molaya. A czy pani wie, kto to był de Molay?

Obraziła się:

- Czytałam ów słynny artykuł o skarbie templariuszy. Nie musi mnie pan uczyć historii.

Naczynia były już umyte i sprzątnięte, ustawiłem siedzenia w aucie w ich właściwej pozycji, zwinąłem koc, pod którym spałem.

- Teraz jadę odwiedzić moich przyjaciół - powiedziałem.

Bez słowa, ciągle jeszcze na mnie obrażona, zajęła miejsce w samochodzie i pojechaliśmy do Miłkokuku.

Dzień był znowu pogodny, o niebie czystym i słonecznym - podobnie jak wczoraj. Tylko na horyzoncie niebo wydawało się jakby odrobinę zamglone - byłem pewien, że z tej lekkiej mgielki ku wieczorowi zrobią się chmury i nastąpi burza. Na razie jednak głośno i wesoło śpiewały ptaki, a potoki słońca spływające między drzewami wypełniały las zapachem żywicy.

Za zakrętem wyłoniła się wioska Miłkokuk - kilkanaście drewnianych i słomą krytych zagród. Nieco z boku stała samotna chałupa, w której mieściła się wiejska szkoła. Dom nauczyciela znajdował się za szkołą - drewniany, mały, ogrodzony niskim żywopłotem.

W sadzie zagrody sąsiadującej z domem nauczyciela, pod jabłonką o rozległej koronie, gospodarzyli moi trzej przyjaciele. Gdy nadjechałem, właśnie skończyli poranny posiłek. Sokole Oko mył menażki w pożyczonej od gospodarza cynkowej wanience. Omyliłem się jednak, przypuszczając, że, podobnie jak ja, trzej chłopcy zaspali. Okazało się, że od samego rana zajęci byli „pracą wywiadowczą” i dlatego opóźniło się ich śniadanie.

- Zobacz pan, że oni schudną - roztkliwiała się nad nimi dziennikarka.

- Służba nie drużba - odpowiedział jej Wilhelm Tell. - Mieliśmy ważniejsze sprawy niż śniadanie. Służbowe.

- Tak jest - stwierdziłem. - Czekam na wasz raport,

Dziennikarka westchnęła z udanym ubolewaniem.

- Chciałam wstąpić na służbę do pana Samochodzika, lecz nie chce mnie przyjąć.

Może się za mną wstawicie?

Powiedziałem z oburzeniem:

- Czy wiecie, że ta pani jest z gazety? Zamierza nas wszystkich opisać.

- Naprawdę? Chce nas pani opisać? — chłopcy nie wydawali się oburzeni. Przeciwnie, to im nawet pochlebiało.

Pośpieszyłem więc z wyjaśnieniem:

- Zapytajcie, jak chce nas opisać. Jako wariatów! Bo uważa, że tylko ludzie pomyleni mogą się zajmować puszukiwaniem skarbów templariuszy, Ona tak nas opisze, że potem cała Polska będzie się z nas śmiała. A przede wszystkim wyśmieją was koledzy w szkole.

- W takim razie musimy być wobec tej pani bardzo ostrożni! — zawołał Wiewiórka.

- A tak - przyświadczył Tell. - Ani pary z ust. Dziewczyna roześmiała się. Bawiło ją oburzenie hnrceży. W końcu jednak aż nogą tupnęła:

- Cicho, chłopaki. Składajcie raport służbowy. Chcę wiedzieć, co się tutaj dzieło.

Wtrąciłem się:

- Co to, to nie, proszę pani. Nic się pani od nas nie dowie. Żadnych informacji prasie nie udzielamy.

- A właśnie - przytaknęli harcerze. - Po czyjej jest pani stronie? Naszej czy tamtych? Proszę się opowiedzieć.

- Po żadnej stronie - odrzekła. - Pozostaję tylko obserwatorem. Obiektywnym obserwatorem, rozumiecie?

Nie bardzo wiedziałem, jak się zachować wobec tak obiektywnej i neutralnej osoby. Sprawa wymagała dokładnych namysłów i narady z chłopcami.

- Może odejdziemy gdzieś na bok i tam sobie pogadamy - zaproponował mi Tell.

Ale Anka zaprotestowała, robiąc znowu obrażoną minę:

- O, bardzo przepraszam. Wydaje mi się, że zasługuję na zaufanie. Możecie być pewni, że otrzymanych od was wiadomości nie przekażę waszym przeciwnikom, a co najwyżej zachowam dla siebie i dla swojej gazety. Pierwszy ustąpił Wiewiórka:

- Ja chciałbym być dziennikarzem - powiedział. - Wydaje mi się, że prasie trzeba pomagać.

- Dziennikarzem? - zaśmiał się Tell. - Podczas ubiegłorocznych wakacji chciałeś zostać antropologiem.

- Zmieniłem poglądy - rozgniewał się Wiewiórka.

Rozpoczęli sprzeczkę na temat, czy powinno się tak szybko zmieniać poglądy na wybór zawodu. Przerwałem tę dysputę i poprosiłem, aby jednak, mimo obecności dziennikarki, złożyli relację o tym, co zauważyli w wiosce.

- Późną nocą - rozpoczął opowiadanie Sokole Oko - przyjechało warszawą trzech opryszków.

- Widzieliśmy warszawę na drodze do Miłkokuku - przypomniałem dziennikarce.

- Nazwaliśmy ich opryszkami, bo mają bardzo nieprzyjemne gęby, a zachowują się jeszcze okropniej. Zaczęli dobijać się do domku nauczyciela, walili pięściami w zamknięte drzwi i okiennice. Podeszliśmy do nich i powiedzieliśmy, że nauczyciel poszedł na kilkudniową wycieczkę. Bardzo ich to rozjuszyło, przeklinali głośno; wyzywali nas od pętaków i smarkaczy. Śmierdziało od nich wódką. Wreszcie dali spokój waleniu w okiennice i pojechali nocować nad jezioro. Tam także musieli nieźle rozrabiać, skoro o świtaniu Petersenowie i Kozłowski zlikwidowali swój obóz nad jeziorem i zjawili się w wiosce. Gdy upewnili się, że nauczyciel jeszcze nie wrócił, zapytali przechodzącego przez wieś chłopaka, dokąd udała się wycieczka, którą prowadził nauczyciel. Rozmawialiśmy potem z tym chłopcem. Poinformował Petersenów, że nie wie dokładnie, w jakim kierunku poszedł nauczyciel, ale słyszał, że wycieczka miała odwiedzić miejsce bitwy powstańców z 1863 roku na terenie Suwalszczyzny. Uzyskawszy tę informację, Petersenowie opuścili wioskę i zniknęli za zakrętem drogi w stronę Gib. Zapewne pojechali szukać nauczyciela.

- My także powinniśmy to zrobić — stwierdziłem.

Potem przyjechał na junaku pan Mysikrólik.

Kto?

Młody człowiek ubrany w skórzany strój motocyklisty. Ma twarz podobną do mysikrólika. Zapukał do drzwi nauczyciela i upewniwszy się, że go nie ma w domu, rozejrzał się na wszystkie strony i zaczął podważać nożem zamkniętą okiennicę. Nas nie zauważył, bo siedzieliśmy w krzakach żywopłotu.

- To jakiś podejrzany typ! - zawołałem.

- Najpewniej. Tylko że zrezygnował z wyłamania okiennicy, schował nóż do kieszeni i odjechał. Także w stronę Gib. Później zaś zjawiła się niebieska skoda, a w niej jakieś małżeństwo w średnim wieku, Zorientowali się, że nauczyciela wciąż jeszcze nie ma w domu, i natychmiast odjechali.

- Także w stronę Gib?

- Nie. Nad jezioro Zelwa. On zaczął tam łowić ryby, a ona opalała się na kocu.

W tej właśnie chwili zobaczyliśmy tuman kurzu na drodze. Od strony jeziora Miłkokuk jechała warszawa. Ale nie skręciła do domku nauczyciela, tylko w lewo, w stronę lasu i leśniczówki. Zniknęła za zakrętem drogi do Gib.

- Wyspali się, a teraz pewnie pojechali po wódkę - rzekła Anka. Ja jednak byłem innego zdania.

- Oni wszyscy popędzili szukać nauczyciela. I mają rację. Siedzieć tutaj i czekać na jego powrót jest tylko niepotrzebną stratą czasu. Ten dokument może nic nie jest wart, więc trzeba się co do tego jak najszybciej upewnić. My także powinniśmy wyruszyć na poszukiwanie wycieczki.

- Ba, ale gdzie ich znaleźć - wzruszył ramionami Tell.

W walizce z książkami, którą miałem w samochodzie, wyszukałem przewodnik po Suwalszczyźnie. Przewertowałem kilkanaście kartek zawierających zupełnie dla mnie nieprzydatne informacje na temat struktury geologicznej tych ziem, gdy wreszcie trafiłem na: „Krótki rys historyczny dziejów Suwalszczyzny”.

Przeczytałem głośno:

W okresie powstań, w latach 1831 i 1863, na ziemiach augustowskich toczyły się liczne walki, w których brały udział wojska powstańcze i miejscowa partyzantka, a największym sukcesem było zdobycie przez powstańców Rajgrodu. Akcję powstańczą prowadzili generałowie: Giełgud, Dembiński i Sierakowski. Przygotowanie i wybuch powstania styczniowego przygotowali: były oficer rosyjski Karol Jastrzębski, emisariusz Komitetu Narodowego Chądzyński oraz Wawer-Ramotowski. Ten ostatni jako były uczestnik powstania listopadowego i oficer pułku „czwartaków” stoczył w Puszczy Augustowskiej kilka bitew i potyczek: w kwietniu 1863 roku między Lipskiem i Jastrzębną, między Balinką i Czarnym Brodem, w maju zaś pod Kadyszem i Czarną Hańczą oraz zwycięską bitwę pod Gruszkami i wiele innych. Ślady bitew i potyczek znajdzie turysta bądź w nazwach miejscowości, bądź też w mogiłach do dziś zachowanych, jak również w opowiadaniach miejscowego ludu...

- Masz, babo, placek - westchnąłem - „i wiele innych” bitew...

Na szczęście przypomniałem sobie, że dysponuję także niewielką mapką, na której zaznaczone zostały rezerваты przyrody oraz pola bitew i tym podobne miejsca godne uwagi

turysty.

Po zapoznaniu się z mapą stwierdziłem:

- Miejscowościami upamiętnionymi przez bitwy powstańców z 63 roku są przede wszystkim: wieś Gruszki, gdzie oddział „Wawra” stoczył zwycięską bitwę z wojskiem carskim. Dalej leży uroczysko Kozi Rynek, gdzie znajdują się mogiły powstańców. Nieco w innej stronie położona jest wieś Powstańce, w której to nazwie upamiętniony jest fakt, że w tym właśnie miejscu znajdowało się obozowisko powstańców, korzystających z kuźni polowej zbudowanej nad brzegiem pobliskiej rzeki.

- Ale gdzie jest teraz wycieczka? - mruknął Wiewiórka.

Zastanawiałem się głośno:

- Nauczyciel poszedł pieszo, prawda?

- A tak - przyświadczyli chłopcy.

- Nie musiał więc kierować się bitymi drogami, ale leśnymi drożynami i ścieżkami.

Gdybym był na jego miejscu, to najpierw ruszylibym przez lasy w stronę wsi Gruszki. Stamtąd poszedłbym na Kozi Uynck, a dopiero z Koziego Rynku wyruszylibym do miejscowości Powstańce. W ten sposób zatoczylibym koło i wróciłbym do Miłkokuku. Oczywiście, on mógł uczynić odwrotnie: najpierw pójść do Powstańców, potem na Kozi Rynek, a w końcu do wsi Gruszki. Jak dawno wyruszył nauczyciel?

- Przed dwoma dniami - odpowiedzieli harcerze.

- W takim razie w tej chwili, według moich wyliczeń, powinien się znajdować na Kozim Rynku. I to niezależnie od tego, czy najpierw ruszył do Powstańców, czy do wsi Gruszki.

- Brawo, brawo! - klasnęła w ręce Anka. - Dopiero teraz widzę, że Sherlock Holmes mógłby się przy was niejednego nauczyć.

Nie zwracałem uwagi na jej docinki. Zdecydowałem:

- Jedziemy na Kozi Rynek. I to zaraz, moi drodzy.

- Kozi Rynek? Strasznie śmiesznie się nazywa ta miejscowość - zauważył Sokole Oko.

Jeszcze raz zajrzałem do przewodnika.

- Kozi Rynek - wyjaśniłem - to uroczysko leśne, obecnie rezerwat przyrody wielkości stu czterdziestu sześciu hektarów. Na uroczysku znajdują się groby powstańców oraz siedlisko łośi. Dostęp do tego miejsca jest utrudniony, zwłaszcza w okresie mokrej pory roku, kiedy teren jest bagnisty i podmokły. Można się tam dostać, skręcając obok specjalnego drogowskazu w leśną

drogę z szosy Augustów-Lipsk. Albo też, pozostawiając wóz na szosie, należy przedrzeć się bezpośrednio przez puszcę. Uroczysko znajduje się w odległości około dwóch kilometrów od szosy.

- Jedziemy. Jedziemy na Kozi Rynek - cieszył się Wiewiórka. - Nigdy nie byłem na leśnym uroczysku. Tam są najpewniej bardzo wysokie drzewa. Rad bym wejść na sam czubek takiego drzewa.

- To jest rezerwat przyrody - przypomniał mu Tell - Tam należy zachowywać się bardzo kulturalnie, a nie jak małpa skakać po drzewach. Nie wolno płoszyć zwierzyny, palić ognisk, w ogóle nie należy w niczym naruszać wyglądu puszczy.

- A może zobaczymy łosia na wolności? - marzył Sokole Oko.

Chcieliśmy wyruszyć od razu, tak się zapaliliśmy do myśli zobaczenia Kozi Rynek. Powstrzymała nas jedna rozsądna uwaga Anki:

- A co będzie, jeśli wasze obliczenia okażą się błędne? Jakież ciężarowe auto podwiozło wycieczkę i nauczyciel jeszcze dziś pojawi się z powrotem w wiosce? I tajemniczy dokument znajdzie się nie w waszych rękach, ale u tej pary małżeńskiej, która tu pozostała i teraz wyppczywa nad jeziorem Zelwa?

Przytaknąłem.

- Ktoś z nas musi tu pozostać. Pani ma rację. Nasze obliczenia mogą okazać się zawodne.

Było oczywiste, że ja muszę prowadzić auto. W rachubę wchodzili tylko trzej harcerze, a w każdym razie któryś z nich.

Moi przyjaciele zrobili bardzo smutne miny. Przecież wszyscy tak bardzo pragnęli zwiedzić Kozi Rynek.

I wtedy dziennikarka powiedziała:

- Ja pozostanę. Przekonacie się, że można do mnie mieć zaufanie. Zaręczam wam, że tajemniczy dokument zaczeka tutaj aż do waszego powrotu.

To był bardzo piękny postępek. Podziękowaliśmy jej bardzo serdecznie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

NAPAD ŻÓŁTYCH MUCH – WĘDRÓWKA PRZEZ PUSZCZĘ – WOŁANIE O POMOC – TAJNE ZNAKI TEMPLARIUSZY – OPOWIEŚĆ O STARYCH ZAMCZYSKACH – LEŚNE SPOTKANIE

Obiad zjedliśmy w Augustowie. O piątej po południu wyruszyliśmy do Koziego Rynku. Mimo popołudniowej pory w powietrzu panował ciągle wielki skwar i duchota, której nie łagodził nawet najśłabszy wiaterek. Niebo było mgliste, jakby ktoś rozlał po nim wodniste mleko. Zbierało się na burzę.

Jechaliśmy przez ogromne lasy Puszczy Augustowskiej. Po osiemnastu kilometrach zobaczyliśmy drogowskaz - desczczką z napisem: Kozi Rynek. Dookoła rozciągał się gęsty las, nigdzie ani śladu domku czy leśniczówki. Prawdziwa puszcza pełna... gzów. A może wielkich, złośliwych much, które zaatakowały nas, gdy tylko znaleźliśmy się na leśnej drożynie.

Zapewne trwała teraz właśnie pora wyroju, a bagnisty teren Koziego Rynku stanowił ich siedlisko. Otoczyły nas miliardy tych ogromnych owadów, wielkich na pół palca, złośliwie brzęczących, o żółto-złotym odwłoku i wielkich, boleśnie kłujących żądłach. Wypełniły auto głośnym bzykaniem, obijały się o szyby i o naszo nosy. Jakby oślepte od upału tłukły się w pudle sumochodu, zderzały się z sobą tłustymi ciałami, wpadały na nasze twarze.

Na chwilę aż zaniewidziałem. Rozpędzona mucha z impetem uderzyła mnie w prawe oko. Czulem na szyi drugą wielką muchę, która wbijała we mnie żądło. Ruszyłem szybko naprzód, ale i tak mnóstwo gzów pozostało w aucie, a po zamknięciu okien zrobiło się strasznie duszno. Brzęczenie wzmogło się, chłopcy wymachiwali gazetą, odpędzając od siebie owady. Z trudem łapałem powietrze otwartymi ustami.

Tymczasem dojechaliśmy do rozstaju dróg. Znajdował się tu drugi drogowskaz z napisem Kozi Rynek. Ale jego strzałka prowadziła do... nieba.

- Komuś zachciało się głupich kawałów - powiedziałem. - Zawracamy, bo zbłądzimy i pożrą nas te wściekłe owady. Do Koziego Rynku dojdziemy pieszo od strony szosy.

Gzy jakby na chwilę przycichły. Ale potem pojedynczo wyskakiwały gdzieś z dolnych części auta i pędziły z brzęczeniem od szyby do szyby, przysiadły na naszych rękach, szyjach,

na twarzach, po których ściekał pot. Zapach potu zapewne jeszcze bardziej je podrażniał. Gdzie usiadły - wbijały żądła i ginęły od naszych uderzeń.

Wreszcie wydostaliśmy się na szosę. Nad samochodem wirował żółtawy obłok wielkich much. Rozpędziłem wóz i gzy pozostały daleko za nami. A wtedy otworzyłem okna i odetchnęliśmy strumieniem świeżego powietrza.

O dwa kilometry dalej skręciłem samochodem w leśną przesiekę i pozostawiłem go na małej polance, zewsząd otoczonej krzakami i drzewami. Wehikułu nie było widać z szosy, bo osłaniała go gęsta ściana liści i zarośli. Ale i tutaj szalały także roje gzów - cały las zdawał się drzeć od nieustannego brzęczenia wielkich owadów. Zabraliśmy więc z wozu każdy po brezentowej pałatce i nakrywszy nimi głowy, zagłębiliśmy się w leśną gęstwinę.

Przedzieraliśmy się przez krzaki, nogi zapadały się w puszyste mchy pokrywające torfiastą glebę. Brnęliśmy przez ogromne polany pełne wysokich do pasa paproci. W tej wędrówce towarzyszyło nam nieustanne brzęczenie i ponawiające się ataki żółtych much. Przestaliśmy się już od nich oganiać, a tylko kuliliśmy się pod brezentowymi płachtami, szczelnie okrywając nimi twarze.

Raz tylko, uchyliwszy nieco kaptura, spojrzałem w niebo, ponad wysokie wierzchołki drzew. Aż przestraszyłem się - niebo bowiem było barwy purpurowej, jakby rozpływał się po nim odblask ogromnego pożaru.

Zerknąłem na kompas, który miałem w pasku od zegarka. Szliśmy we właściwym kierunku, lecz ciągle jeszcze nie było widać Koziego Rynku. Nie miałem zresztą pojęcia, jak wygląda ta miejscowość. Czy stanowiła jakąś polanę w lesie? A może po prostu było to także zalesione miejsce, tyle tylko, że wyróżniające się grobami powstańców zaznaczonych krzyżami? W gęstwinie leśnej dość łatwo mogliśmy ominąć te groby nawet w odległości kilkunastu kroków.

- Odpocznijmy - sapnął Wilhelm Tell. Dźwigał na ramieniu swoją ogromną kuszę, nic dziwnego, że on właśnie najbardziej się zmęczył.

Dałem hasło do krótkiego odpoczynku. Usiedliśmy na polance porośniętej paprociami.

- Uff - sapałem udręczony upałem. - Nie dziwię się, że dawni mieszkańcy tych ziem, Jaćwingowie, przez tyle lat potrafili skutecznie opierać się nawale Krzyżaków. Zakuty w stal rycerz niewiele był wart w leśnej gęstwinie.

- Proszę nam opowiedzieć o Jaćwingach...

- Teraz? Przecież ja ledwie żyję... - stęknąłem. Drgnęliśmy. Nad lasem przetoczył się

raptownie donośny łoskot gromu.

- Wstawać, chłopcy! - zakomenderowałem. - Kozi Rynek powinien być blisko. Musimy odnaleźć wycieczkę, zanim w tej puszczy rozpęta się burza.

Niechętnie podnieśli się ze swoich miejsc. W lesie panowała taka duchota, jakby wypompowano powietrze. Zbliżająca się burza jeszcze bardziej rozjuszyła gzy. Natarły na nas ze zdwojoną wściekłością, na głowach i ramionach okrytych pelerynami odczuwaliśmy nieustanne stuknięcia. To rozbijały się o nas pędzące na oślep muchy. Oczy zalewał nam pot, każdy krok wydawał się czymś ponad siły. Gdy przystawaliśmy dla złapania oddechu, słyszeliśmy to wznoszące się, to opadające głośnie brzęczenie owadów.

A las wokół nas ciągle zamykał się nieprzeniknioną gęstwą liści i splątanych krzaków, pni drzewnych i nisko zwieszonych gałęzi. Niebo z purpurowego stało się brunatne, a potem czarne.

Znowu uderzył grom i jego łoskot przetoczył się nad lasem. Ucichł i wtedy usłyszeliśmy wołanie:

- Help!... Help!... Help!...

Kobięcy głos wołał po angielsku: „na pomoc!”. To krzyczała panna Petersen!

- Heeelp!... - usłyszeliśmy ponownie.

Krzyk dziewczyny dochodził gdzieś z boku, z prawej strony. Rzuciłem się w tym kierunku, a za mną pobiegli chłopcy.

Przestałem odczuwać upał, nie zwracałem uwagi na rozwścieczone gzy. Biegłem przedzierając się przez krzaki, łamiąc gałęzie i roztrącając liście. Wcale nie byłem zdumiony, że znalazła się tutaj panna Petersen. Poszukując nauczyciela musiała trafić właśnie tutaj. Tylko dlaczego wołała o pomoc?

Ukazała się przede mną nieduża polana. Karen stała na środku otoczona przez trzech mężczyzn. Gdy wybiegłem z lasu, jeden z nich wyrywał jej z rąk torbę podróżną, którą Karen nosiła na ramieniu.

Niemal równocześnie - ona i oni - usłyszeli trzask tratowanych przeze mnie gałęzi i szelest liści. Trzej mężczyźni spojrzeli na siebie niepewnie, panna Petersen podbiegła w moim kierunku.

- Na pomoc, panie Tomaszu! Na pomoc! - wołała. - Chcą mnie obrabować!

Za moimi plecami ukazali się harcerze. Wilhelm Tell nałożył strzałę na swoją kuszę i

wymierzył ją groźnie w kierunku mężczyzn.

Krzyknąłem:

- Czego chcecie od tej pani?!

Nie od razu dali odpowiedź. Przyjrzeni się bacznie najpierw mnie, a potem trzem harcerzom. Wydawało mi się, że oceniają nasze i swoje siły. Było oczywiste, że oni są silniejsi.

- Ja ich znam! - zawołał nagle Sokole Oko. - Oni są z Warszawy. I mają samochód warszawę.

Tu wymienił numer samochodu. I to - jak mi się zdaje - uratowało nas przed bójką, w której zapewne otrzymalibyśmy solidne cięgi. Świadomość, że znamy numer ich samochodu, powstrzymała wojenne kroki.

Jeden z opryszków, chudy i wysoki, wzruszył ramionami.

- Ta pani nie umie po polsku. Nie wiadomo, dlaczego się przestraszyła. Myśleliśmy, że zbłądziła w lesie i chcieliśmy ją zaprowadzić na właściwą drogę...

- A ta torba? - wskazałem palcem.

- Torba? - zdumiał się wysoki i chudy. - A tak, torba. Chcieliśmy pomóc ją nieść.

Drugi przyszedł mu w sukurs. A zaraz i trzeci. Mówili na przemian:

- Ona nie zna naszej mowy. Zobaczyła trzech mężczyzn w środku lasu i narobiła krzyku. Nikt z nas, broń Boże, krzywdy jej nie myślał zrobić.

Położyli torbę na trawie. Wysoki i chudy spojrział w niebo i powiedział:

- Chłopaki, zaraz będzie burza. Zwiewajmy stąd, póki czas.

Panna Petersen opowiadała głosem zdławionym przez strach:

- Otoczyli mnie w lesie. Chcieli wyrwać torbę. Broniałam się i zaczęłam wołać o pomoc. Wiewiórka szepnął mi do ucha:

- To są ci trzej, którzy dobijali się do domku nauczyciela.

Nad naszymi głowami jakby niebo się rozerwało. Na krótką chwilę oszołomił nas okropny łoskot. Potężny grzmot długo rozbrzmiewał po lesie.

- Zwiewamy, panowie - rozkazał chudy. - Uciekajmy do samochodu.

I pierwszy zniknął w gęstwinie leśnej po drugiej stronie polany. Za nim natychmiast pobiegli dwaj pozostali. Na środku polany leżała tylko porzucona przez nich torba panny Petersen. Harcerze podnieśli torbę i oddali ją Karen.

Ogromną puszcza jakby wstrząsnął dreszcz. Zaszleściły liście, najpierw cicho, a potem głośniejsze. Uderzył potężny podmuch wiatru, wokół nas zrobiło się raptownie ciemno, zawirowały w powietrzu suche trawki i zeschnięte liście. Czarne niebo przecięła złocista zygza błyskawicy i zaraz uderzył piorun. Raz, drugi, trzeci. Padły pierwsze grube krople deszczu...

Wiedziałem, że nie zdążymy wrócić przed burzą do pozostawionego w lesie samochodu.

- Ułamać dwie gałęzie. Postawić namioty - podjąłem decyzję.

Namioty? To było ładnie powiedziane. Mieliśmy ze sobą cztery pałatki. Z dwóch pałatek teoretycznie robi się bardzo zgrabny namiocik. Ale czy kiedykolwiek próbowaliście zbudować z nich namiot, gdy smaga wiatr i leją potoki deszczu?

Zanim zwała się najsilniejsza ulewa, mieliśmy już dwa grube kije, na których uczepiliśmy brezentowe peleryny. Zaraz wleźliśmy pod nie, kryjąc się przed deszczem. Na umocowanie peleryn nie było już czasu. Rozszalała się ulewa i siedząc pod płachtami mieliśmy wrażenie, że nad naszymi głowami ktoś odkręcił kran z wodą. W tych zaimprovizowanych namiocikach było ciasno i ciemno, nawet nie widzieliśmy wzajemnie swych twarzy. Nie dostawała się tam jednak spływająca z chmur woda.

- Gdzie pani ojciec? Gdzie Kozłowski? - pytałem panny Karen.

- Ojciec pozostał w Gibach. W ośrodku wypoczynkowym dziennikarzy. Wynajął tam kajak i motorówkę.

- Czeka na powrót nauczyciela - domyśliłem się.

- Przyjechałam tu z panem Kozłowskim. Ktoś jednak poprzekręcał drogowskazy. Zabłądziliśmy w lesie i na rozstaju dróg zdecydowaliśmy, że Kozłowski pójdzie szukać Koziego Rynku na lewo, a ja na prawo. I tak oto trafiłam na polanę, gdzie mnie te typy napadły.

- To zapewne oni poprzekręcaли drogowskazy - domyśliłem się. - Oni także szukają skarbu templariuszy. Tego się właśnie obawiałem, gdy ukazał się artykuł o skarbach. Przewidywałem, że może on zachęcić do poszukiwań różnego rodzaju indywidua spod ciemnej gwiazdy. Zdaje się, że będziemy mieli jeszcze z nimi niejednego kłopot.

- Nie sądzę - rzekła. - Myślę, że już zrezygnowali z poszukiwań. W tej sprawie trzeba mieć nie tylko dobre chęci, ale i przede wszystkim pewną wiedzę. Brutalnością i siłą nic się tu nie działo. Oni już chyba doszli do tego wniosku, skoro zdecydowali się mnie obrabować. Sądzili, że mam w torbie pieniądze i w ten sposób zrekompensują sobie dotychczasowe trudy poszukiwań. Przecież wiedzieli, że potem nie będą mogli się już więcej pokazać w Miłkokuku.

- Ja także chyba zrezygnuję z poszukiwań - powiedziałem nieoczekiwanie nawet dla samego siebie.

- Pan? - zdumiała się. - Pan żartuje.

- Nie mam pojęcia, jak się zabrać do tej sprawy. Dotychczas przy tego rodzaju poszukiwaniach miałem jakiś swój plan działania, jakiś jeden, choćby najskromniejszy punkt zaczepienia. A teraz nic. Zupełnie nic.

- Przecież już pan zaczął - zaśmiała się.

- Miłe złego początki, zna pani takie powiedzenie? Nasza działalność doprowadziła nas tylko do tego, że siedzimy pod brezentową płachtą podczas burzy.

- Bardzo przyjemna przygoda – stwierdziła.

- Owszem. Tylko że nie posuwa nas ona ani o krok naprzód. Skarb jest w którymś z krzyżackich zamków. Rzecz w tym, w którym? Przecież zamków jest bardzo dużo...

- Bardzo liczę na ten tajemniczy dokument, który jest u nauczyciela.

- Nie ma żadnej pewności, że dokument zawiera najdrobniejszą wskazówkę dotyczącą ukrycia skarbów. Wydaje mi się, że niepotrzebnie tutaj tracę czas.

- Więc czemu pan nie szuka w zamkach krzyżackich?

- Przecież mówilem, że nie wiem, do którego zamku jechać.

Urwaliśmy rozmowę. Wciąż lał deszcz, choć już nie tak mocny, jak na początku burzy. Łoskot gromów oddalił się, ale na brezentowych płachtach głośno szemrały krople deszczu. Gdy na chwilę wysunąłem, głowę z namiociku, zobaczyłem, że niebo ciągle jeszcze jest zasnuwane chmurami, a las tonie w półmroku zbliżającego się wieczoru. Dął zimny wiatr, raz po raz nadchodziły nowe fale dżdżu. W namiociku było dość ciepło i postanowiliśmy przeczekać, aż burza zupełnie ucichnie.

- Może warto zapytać panny Petersen - rzekł do mnie Wilhelm Tell - czy próbowała szukać we Francji skarbu templariuszy?

Powtórzyłem jej pytanie chłopca.

- Nie - odpowiedziała. - Ale wiem o tych poszukiwaniach, ponieważ dokonywali ich znajomi mego ojca, członkowie Towarzystwa. Zresztą pan Chabrol także szukał skarbu templariuszy. Gdy przed kilkoma laty przebywałam z ojcem w Paryżu w gościnie u pana Chabrola, w jego domu sporo się mówiło o tej sprawie. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiły na mnie próby rozszyfrowania tajnego pisma templariuszy. Oni pozostawili na murach

swych zamków dużo przedziwnych znaków. Pan Chabrol zebrał je i przy pomocy fachowców usiłował ustalić ich znaczenie.

- Niech pan poprosi, żeby je narysowała. Przydadzą się do zabaw harcerskich - powiedział Sokole Oko.

Zapaliłem latarkę elektryczną. Podsunąłem pannie Petersen mój notes i ołówek.

Karen zaczęła rysować, jednocześnie wyjaśniając znaczenie rysunku.

- Ten duży krzyż wskazuje drogę do kilku skrytek ze skarbami. Ten zaś znak dotyczy tylko dwóch skarbów. Oto znak określający ukryte złoto, a to symbolizuje monety ułożone warstwami pod ziemią. Tutaj nakreśliłam znak mówiący: „Skręć w lewo”. A oto znak wyrażający: „Dziewięć metrów od skarbu”. Znak ów pochodzi z murów zamku w Arginy. Te dwa nachodzące na siebie kręgi mówią: „Idź wprost przed siebie”. Oto symbol niebezpieczeństwa. Tarcza przedstawia wyobrażenie ukrytych kosztowności, a ten znak mówi o ukrytych dokumentach. Oto znak symbolizujący, że należy szukać na poziomie ziemi. Te trzy ostatnie znaki pochodzą z murów zamkowych w Charroux, gdzie mieszkali templariusze...

Zgasilem elektryczną latarkę i schowałem notes z rysunkami. W namiocikach znowu zapadła ciemność. Ale właśnie ów mrok i deszcz szemrzący na brezentowych pałatkach sprzyjał opowiadaniu o starych zamkach i poszukiwaniach skarbów. Panna Petersen opowiadała, a ja z angielskiego przekładałem na polski, aby ją mogli zrozumieć harcerze:

- Pan Chabrol pochodzi z dość starej francuskiej rodziny, bardzo zresztą zamożnej. W bibliotece jego dziadka odnaleziono kiedyś stary modlitewnik, a w nim zapisaną na marginesie nieznaną ręką notatkę: „Szukaj skarbu templariuszy w kaplicy zamkowej. Święty i Prawda wskażą ci drogę”. To właśnie ta mała notatka tak podziałała na wyobraźnię młodego Chabrola, że po ukończeniu studiów, mając dość pieniędzy na swoje utrzymanie, zajął się kolekcjonowaniem pamiątek po templariuszach oraz poszukiwaniem ich legendarnego skarbu. Przez długi czas pan Chabrol podróżował po Francji zwiedzając dawne zamki templariuszy. I właśnie w miejscowości Montcroix trafił w zrujnowanym zamku na ocalałą kaplicę, w której wisiał stary obraz przedstawiający jakiegoś świętego adorowanego przez alegoryczną postać symbolizującą Prawdę. Zresztą, pod obrazem był napis: Veritas, co znaczy: Prawda, Pan Chabrol rozpoczął poszukiwania i udało mu się stwierdzić, że pod ruinami zamku kryją się podziemne sale i korytarze, lecz skrytki ze skarbami nie odnalazł. Trzeba pamiętać, że templariusze byli

mistrzami w budowaniu tajnych skrytek. Nie tak łatwo dotrzeć do ich bogactw. Zresztą zapiszek znaleziony w modlitewniku, jak również ów obraz w kaplicy zamkowej, pochodzą z czasów znacznie późniejszych niż zakon templariuszy. Najprawdopodobniej notatkę tę zrobił ktoś, kto domyślał się, gdzie się znajduje skarb. Ale czy dotarł do niego? Raczej bardzo wątpliwe.

W pobliżu rzeki Rodan wznosi się romańskie zamczysko Arginy - opowiadała dalej panna Petersen. - Już w samej nazwie Arginy etymologowie doszukują się pierwotnego brzmienia Argine, które jest anagramem słowa Regina, czyli królowa. Symbolem ukrytych skarbów była kiedyś „królowa trefl”, czyli, jak to się dziś mówi, „dama treflowa”. W każdym bądź razie w tym to zamku miejscowa ludność dopatruje się miejsca ukrycia legendarnego skarbu templariuszy. Jak dotychczas poszukiwania nie dały jednak żadnego rezultatu.

W miejscowości Die, w departamencie Drôme, Jeden ze znajomych mego ojca jest posiadaczem dość dużego kawałka ziemi, a na nim części murów obronnych dawnego zamku templariuszy zburzonego przez Filipa Pięknego. Znajomy mego ojca domyśla się nawet, w której części muru należy szukać skarbu, gdyż na murach zachowały się tajne znaki. Ale skarbu nie znalazł mimo żmudnych poszukiwań. Istnieje wiarygodny dokument z roku 1737 stwierdzający, że przy rozbijaniu sklepienia w budowli przytykającej do murów znaleziono dwie urny ważące po dwa kwintale i kasetkę o trzech zamkach. W urnach były złote monety, w kasecie zaś złote i srebrne talerze. Lecz nasz znajomy uważa, że główna część skarbów jeszcze nie została odkryta. Kiedyś udało mu się odkryć statuetkę przedstawiającą modlącego się mnicha i dzban zawierający monety. Rzeczy te pochodzą z XII wieku. Nie było to jednak wielkie znalezisko i nasz znajomy nie ustaje w swych poszukiwaniach...

W pobliżu nas rozległ się głośny i zarazem jak gdyby żaloszny ryk, a potem usłyszeliśmy ciężki tupot.

Przerażeni, wyskoczyliśmy z namiotu. Deszcz już prawie nie padał. Niebo oczyszczało się z chmur. Zobaczyliśmy ogromnego łosia, który biegł przez polanę leśną. Wielkie, płowe zwierzę wysoko niosło swój rogaty łeb. Na nasz widok obróciło ku nam pysk, jego oczy na chwilę załśniły groźnie. Lecz zaraz w kilku ogromnych susach przebyło polanę i z szelestem gałęzi zniknęło w gęstwinie.

- Warto było tu przyjechać, żeby zobaczyć coś takiego - powiedziała zachwycona Karen. Skinąłem głową.

- O, tak! Tym bardziej że nasze poszukiwania nauczyciela skończyły się fiaskiem.

Wracamy, prawda? — spytałem.

Pomogliśmy dziewczynie odnaleźć pozostawionego w lesie lincolna. W jego zacisznym wnętrzu zastaliśmy pana Kozłowskiego, jak zwykle ubranego z wielką elegancją.

- Boże, jak ja się o panią martwiłem! - zawołał zobaczywszy Karen. - Była okropna burza, a pani nie wracała do samochodu. Właśnie zamierzałem wyruszyć na poszukiwanie...

- Tak? Jak to ładnie z pana strony. Ale zbyt późno. Odnalazł mnie pan Tomasz i skryłam się przed ulewą.

Kozłowski zmierzył mnie wrogim spojrzeniem. Wsiadliśmy wszyscy do olbrzymiego lincolna i wyjechaliśmy na szosę. Karen podwiozła nas aż do miejsca, gdzie był ukryty mój wehikuł. Przesiedliśmy się do niego, a ona i Kozłowski ruszyli do Augustowa. Oni przodem, a my za nimi.

Celowo nie przyśpieszałem biegu i jechałem bardzo powoli. Panna Karen z początku starała się trzymać razem z nami, ale wkrótce zirytowała ją wolna jazda. Dodała gazu i lincoln zaczął się od nas oddalać.

- Panie Tomaszu - złościł się chłopcy - dlaczego pan się daje wyprzedzić. Pan ma najszybszy samochód na świecie. Niech im pan pokaże, co on potrafi.

Przecząco pokręciłem głową.

- Nie, moi drodzy. Nie będę ujawniał wszystkich swoich mocnych kart. Chciałbym, aby myśleli, że mój samochód to bezwartościowy rupieć. Może mi się to kiedyś bardzo przydać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

CO SIE STAŁO Z DZIENNIKARKĄ? – ZABAWA W KLUBIE – PROPONUJĘ
UTOPIENIE KOZŁOWSKIEGO – ZIELONA RACA – WYŚCIG NA JEZIORZE – GDZIE
JEST TAJEMNICZY DOKUMENT?

Zapadła już noc. W Miłkokuku zastaliśmy domek nauczyciela zamknięty na głucho. Obok domku, a także w najbliższym jego sąsiedztwie, nie napotkaliśmy dziennikarki. Jej nieobecność trochę mnie zaniepokoiła.

- Pozostaniecie tutaj na straży, tak jak wczoraj - rozporządziłem. - W sadzie za żywoplotem rozbijecie namiot. Zróbcie kolację, a potem na przemian obserwujcie domek. Ja zaś pojedę do ośrodka dziennikarzy, po drugiej stronie jeziora Pomorze. Drogą jest tam z dziesięć kilometrów, przez jezioro byłoby zupełnie blisko. Ale nie chciałbym, aby ktoś zobaczył, że mój samochód potrafi pływać jak motorówka.

Pożegnałem chłopców i wskoczyłem do wozu.

- Ach, Tellu - przypomniałem sobie coś i zawołałem chłopca. - Czy umiesz obchodzić się z raketnicą?

- No pewnie. Każdy z nas potrafi strzelać z raketnicy - Tell niemal obraził się, że go posądzam o brak umiejętności w tej dziedzinie. - Na obozie harcerskim i podczas harcerskich ćwiczeń przeszliśmy odpowiednie przeszkolenie.

Wyjąłem raketnicę z walizki i podałem Tellowi.

- Tylko pamiętaj, broń Boże nie strzelaj z niej do nikogo. Mógłbyś straszliwie poparzyć.

- Za kogo nas pan uważa! Za dzieci? - oburzył się. - Wystrzelę tylko w razie potrzeby, i to w górę, ponad pola, żeby nie spowodować pożaru.

- Jest nabita zieloną racą - powiedziałem. - Gdyby stało się tu coś bardzo ważnego, wystrzel z niej, a ja na pewno zobaczę raketę. I natychmiast przyjadę.

Zasalutował po harcersku, a ja pojechałem okrężną drogą wokół jeziora Pomorze.

Ośrodek wypoczynkowy dziennikarzy mieścił się na krótkim cyplu wrzynającym się w jezioro. Brzeg był dość wysoki, porośnięty sosnowym lasem. Między drzewami stały kolorowe domki campingowe, a u szczytu cypla zbudowano dość duży murowany budynek. Na dole

mieściła się w nim przechowalnia kajaków i motorówek, na górze była stołówka i sala klubowa z wielkimi oknami, przez które widziało się wspaniałą panoramę jeziora i przeciwległy wysoki brzeg.

Na skraju ośrodka zobaczyłem między drzewami lincolna Petersenów i ich przyczepę. Okna sali klubowej jarzyły się światłami, bo ośrodek był zelektryfikowany. Stamtąd płynęły dźwięki muzyki i przez okna widziało się tańczących. W klubie odbywała się zabawa.

Po drewnianych schodkach wszedłem na taras okalający salę klubową. Właśnie ucichła na chwilę muzyka i przez szeroko otwarte drzwi kilka osób wymknęło się na taras, aby odpocząć po tańcu.

- Ładnie pani pilnowała domku nauczyciela - odezwałem się z przekąsem do Anki. Ubrana w gustowną sukienkę, z włosami rozwichrzonymi podczas tańca natknęła się na mnie wychodząc z klubu w towarzystwie Kozłowskiego.

- Och, to pan? - zdziwiła się. - Bardzo długo nie wracaliście z Koziego Rynku. Nie mogłam na was czekać, bo tutaj odbywa się zabawa.

- No jasne - skinąłem głową. - Zabawa okazała się ważniejsza. Z pani jest niezawodny sojusznik. Zakłopotana się. A Kozłowski powiedział:

- Nie wiedziałem, że pani jest sojuszniczką mister Samochodzika - rzekł z przekąsem, a jednocześnie z lekceważeniem. - Mister Samochodzik - dodał - dość szybko, zdaje się, umie sobie zjednywać sojuszników. To jest, chciałem rzec, sojuszniczki.

To mówiąc spojrział w stronę drzwi, w których stanęła panna Petersen.

- O, przybył również mój wybawca! - zawołała Karen. - To świetnie. Zatańczymy, prawda? - zwróciła się do mnie.

Anka wzruszyła ramionami.

- Miałam siedzieć w Miłkokuku i bez końca czekać na powrót nauczyciela, kiedy pan zajmował się wybawianiem pięknych dziewcząt. Na tym chciał pan zbudować nasz sojusz? I tak widział pan podział naszych zadań?

Z sali klubowej wyszedł Petersen. Kozłowski rzekł do niego po angielsku:

- Z nas wszystkich tylko mister Samochodzik zmierza prosto do celu. On wie, gdzie leży największy skarb, i chce go dostać. Ale jemu nie chodzi wcale o skarb templariuszy. On wie, że największy skarb, nawet w dolarach, to pańska córka.

- Co? - zdumiał się Petersen.

- Tak? - roześmiała się Karen. Anka dość dobrze mówiła po angielsku i zrozumiała słowa Kozłowskiego. Wtrąciła ironicznie:

- „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. Pan Samochodzik już w odpowiednim miejscu ulokował swoje serce.

Miałem ochotę zrobić coś takiego, żeby pan Kozłowski przekoziółkował przez balustradę tarasu i znalazł się na dole, gdzie o długi pomost biegnący w wodę rozbijały się fale jeziora. Byłem jednak człowiekiem dobrze wychowanym i nie pozostawało mi nic innego, jak odpowiedzieć uprzejmym tonem:

- Pan Kozłowski ma rację. Odkąd poznałem pannę Karen, wyżej zacząłem cenić skarby uczuć nad klejnoty templariuszy. Mam nadzieję, że na drodze po skarby duchowe pan Kozłowski nie będzie musiał uciekać się do wypuszczania powietrza z kół mego wehikułu.

- Więc po te skarby takżo wybiera się pan swym samochodem? - spytała ironicznie Anka.

Kapitan Petersen zwrócił się do mnie z udaną powagą:

- Niech pan nam zdradzi pewną tajemnicę, równą tajemnicy templariuszy. Czy pan sam budował swój samochód?

- Nie - odpowiedziałem z całkowitym spokojem. - Mój wujek.

Nie wiem, co w tym było komicznego. Ale wszyscy, łącznie z Anką, Petersenem, Karen i kilku dziennikarzami, którzy wyszli na taras, aż pokładali się ze śmiechu.

- Czy można wiedzieć, kim był pański wuj? - spytał Petersen.

- Wynalazcą.

- Jakimś znanym wynalazcą?

- Nie, zupełnie nieznanym.

- Ten samochód to zapewne jego jedyny wynalazek...

I zaczęły słę sypać docinki na temat mego nieszczęsnego samochodu, który stał między drzewami i łypał na nas oczami swych reflektorów. Przyzwyczaiłem się już do jego brzydoty, nie robiła na mnie żadnego wrażenia. Ale zdawałem sobie sprawę, że widok mego samochodu mógł wyzwać w ludziach odruchy złośliwości.

- Za granicą aresztowano by pana za nieustanne zakłócanie spokoju publicznego i obrażanie dobrego smaku.

- Różne bywają gusta - wtrąciłem. Ale oni dalej dowcipkowali:

- Można by go za pieniądze pokazywać w wesołym miasteczku zamiast beczki śmiechu - śmiał się jeden ze stojących obok nas dziennikarzy.

- A może właśnie tak pan robi? W zimie pański wehikuł służy jako beczka śmiechu, a latem odbywa pan nim wojaże? - dodał drugi.

W sali klubowej zabrzmiały dźwięki sentymentalnego slowfoxa. Urwały się drwiny, wszyscy niemal bowiem poszli tańczyć i pozostawili mnie samego na tarasie. Karen zapomniała, że zaproponowała mi taniec, i bawiła się w towarzystwie Kozłowskiego. Kapitan Petersen poprosił do tańca Ankę. Zrobiło mi się przykro i niechętnym okiem spojrzałem na stojący w lesie wehikuł. Co z tego, że był szybki i niezawodny, posiadał mnóstwo przeróżnych wspaniałych zalet, skoro mnie ośmieszał. Nie stać mnie było na piękny samochód, ten przecież otrzymałem w podarunku, ale może lepiej by było nie mieć w ogóle samochodu niż takie brzydactwo?

Przez okna sali klubowej zobaczyłem, że panna Petersen nagle przerwała taniec. A po chwili wyszła do mnie na taras.

- Przecież to my mieliśmy zatańczyć, prawda?

Uśmiechała się przy tym tak pięknie, a jej wielkie, zielone oczy patrzyły na mnie z przyjaźnią.

- Zatańczymy? - powiedziała, biorąc mnie za rękę. - Chyba nie obraziły pana te dowcipy?

- Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje ostatni - mruknąłem.

I poszedłem tańczyć z Karen. Obok mnie kapitan Petersen tańczył z Anką.

- Jutro wrzuci pan swój samochód do jeziora - szeptała mi Karen do ucha. - Będzie pan pracował dla nas. Dostanie pan zaliczkę, za którą kupi pan nowe, ładne auto. Pan mnie wyratował z rąk opryszków w lesie. Nigdy panu tego nie zapomnę...

Aż wstrząsnęła mną myśl, że mógłbym wehikuł swój wrzucić do jeziora. Nie, nie zasługiwał na taki los.

- To jest zupełnie dobry samochód - broniłem go.

- Znowu pan zaczyna? Przecież on pana ośmiesza. Czy pan tego nie rozumie?

- Nie boję się śmieszności.

- Ja jednak boję się śmieszności. I mój ojciec również.

- Przepraszam, lecz nie widzę żadnego związku między mną i wami.

- Więc pan Kozłowski mówił nieprawdę? I ja też źle rozumiałam pana słowa? - pytała, zalotnie zaglądając mi w twarz. - Zrozumiałam, że podobam się panu...

- Och, panno Karen... - powiedziałem i strasznie się zarumieniłem.

- Pan też mi się podoba. Nie chcę jednak, żeby pan był śmieszny. Chciałabym mieć obok siebie mężczyznę odważnego i... No, niechże pan nie żąda ode mnie, abym się panu oświadczała... Słyszałam od pana Chabrola, że potrafi pan okazać wielki spryt w poszukiwaniach zaginionych zbiorów. Jestem pewna, że dzięki panu uda się nam odnaleźć skarb templariuszy. Będzle pan pomagał memu ojcu w wydobywaniu złota z galeonów. Będzie pan bogatym człowiekiem. Przecież chyba domyśla się pan, w którym zamku krzyżackim zostały ukryte skarby templariuszy...

I te słowa nagle mnie otrzeźwiły. Przypomniałem sobie chwilę, gdy trzymając się za rękę weszliśmy w las, a w tym czasie Kozłowski i Petersen odjechali do Miłkokuku, wypuściwszy powietrze z dwóch kół mego samochodu. Byli bezwzględni. Zdałem sobie sprawę, że jestem w oczach tej dziewczyny tylko jakimś śmiesznym, młodym człowiekiem, który może się przydać w poszukiwaniach skarbów.

- Dla pani, Karen - szepnąłem - jestem gotów zrobić wszystko. Złożę u pani stóp skarby templariuszy. Uczynię wszystko, co pani zechce. Oprócz jednego.

- Oprócz czego?

- Oprócz pozbycia się wehikułu. Kocham i panią, i jego.

- Pan zwariował - syknęła z wściekłością. Aż poczerwieniała z gniewu. Ale patrząc na moją niewinną i zachwyconą minę, starała się znowu być słodką. - No dobrze. Niech pan zachowa sobie swój wehikuł, jeśli aż tak bardzo jest pan do niego przywiązany. To będzie ofiara z mej strony. Ofiara w imię naszej sympatii.

Zrobiłem w tańcu skomplikowane „pas” i zobaczyłem oczy Anki zerkające ku mnie z ironicznym uśmiechem. Zapewne wyglądaliśmy z Karen komicznie. Mogło się wydawać, że panna Petersen szepcze mi do ucha miłosne zaklęcia, a ja miałem minę, jakbym znajdował się u progu raju i wiecznej szczęśliwości.

- Odnajdę skarby templariuszy i złożę je u pani stóp - powtarzałem w zachwycie.

- Będziemy ich szukać razem - sprostowała.

- O, nie! - zaprzeczyłem gwałtownie. - Muszę to zrobić sam. I tylko sam. Wtedy ten fakt będzie miał znaczenie.

- Dlaczego? To będzie bardzo piękne, jeśli odnajdziemy skarb razem. Pan i ja... - mówiła, choć wyczuwałem, że znowu wzbiera w niej złość.

- Jestem gotów na wszystko. Tak, na wszystko - szepnąłem. - Nawet gotów jestem utopić swój wehikuł.

- Tak? - szepnęła.

- Ale pod jednym warunkiem.

- Pod jakim?

- Utopię swój samochód, a pani Kozłowskiego. Zrobi to pani o rannej godzinie, przywiązawszy mu do szyi ogromny kamień młyński...

Przerwała taniec.

- Pan szydzi sobie ze mnie?

- A pani? - spytałem.

Nie otrzymałem odpowiedzi. Obraziła się na mnie i wyszła na taras, pozostawiając mnie na środku sali, potrącanego przez tańczące pary. „A jużci - pomyślałem mściwie. - Ja mam dla ciebie szukać skarbów templariuszy, a ty mnie tak urządzisz, jak wtedy gdy ci pomogłem wyciągnąć z błota lincolna. Nie ma głupich, moja piękna panno”.

Raptem - przez ogromne okna klubowej sali - zobaczyliśmy wzbijającą się w niebo zieloną racę. Wyskoczyła zza porośniętych lasem wzgórz na drugim brzegu jeziora, poszybowała wysoko w górę widoczna wyraźnie na tle czarnego nieba. I rozprysnęła się w tysiące iskier, które wolno opadały w dół, jak gdyby w mroczną taflę jeziora.

- Och, jakie to śliczne! - zawołała Anka. - Któż to strzela z raketnicy? Prawda, że to gdzieś w okolicy Miłkokuku?

Skoczyłem ku drzwiom, gdzie o mało nie wpadłem z impetem na powracającą z tarasu pannę Karen.

- To jakiś znak! - krzyknęła Karen do Kozłowskiego. - Wypuszczono raketę w Miłkokuku. Może powrócił już nauczyciel i ktoś się z kimś porozumiewa?

Dalszego ciągu już nie słyszałem. Pobiegiłem między drzewa do swego wehikułu. Zasiadłem za kierownicą, zapuściłem silnik. Dość długo trwało, zanim odnalazłem dogodny zjazd do jeziora. A wtedy mój wehikuł z ogromnym pluskiem wtoczył się do wody, rozbryzgując ją na wszystkie strony. Zdawało mi się, że ktoś wołał do mnie z tarasu sali klubowej, ale nie zwracałem na to uwagi, gdyż wielka fala na chwilę zalała mi przednią

szybę. Dopiero potem zobaczyłem, że od pomostu odbijają dwie motorówki. W jednej siedziała Karen i Kozłowski, a w drugiej - Anka i kapitan Petersen.

Dodałem gazu. Wehikuł zakotłosał się na falach i przyśpieszył biegu, napirając wodę swym tęnym, szerokim przodem. Motorówki, mimo że posiadały kształty przystosowane do pływania po wodzie i ostrymi dziobami zdolne były łatwiej rozbijać fale - pozostawały w tyle za wehikułem. Dwanaście cylindrów Ferrari 410 Super Amerika puszczały w ruch turbinę z taką siłą, że samochód przełamywał opór wody i sunął po jeziorze prawie jak ślizgacz. Cóż znaczyły przy nim jedno- lub nawet dwu-cylindrowe silniki motorówek?

Drugi brzeg jeziora zbliżał się z każdą chwilą, dojrzałem zatoczkę, nad którą wczoraj nocowałem. Ominąłem las trzciny, nie chcąc, aby wkręciły się w turbinę, i wyjechałem na łączkę ciągnącą się wzdłuż brzegu. Motorówki były za mną przynajmniej o pięćdziesiąt metrów, ale to nie miało żadnego znaczenia. Musieli i tak zostawić je przy brzegu i przejść pieszo dwa kilometry dzielące jezioro od wioski. A ja tę drogę mogłem przebyć swoim samochodem w ciągu minuty.

Zanim dobili do brzegu, ja już wjeżdżałem w las oświetlając drogę reflektorami. Drażył mnie niepokój o chłopców w Miłkokuku. Może jednak zielona rakietka wcale nie oznaczała niebezpieczeństwa, a tylko jakieś bardzo ważne wydarzenie? Przecież właśnie tak umówiłem się z chłopcami, „Zapewne powrócił nauczyciel” - pocieszałem się.

Lecz oto reflektory wyłowiły w mroku nocy zarys pierwszej zagrody. Potem w szybkim pędzie minąłem jeszcze kilka zagród po jednej i po drugiej stronie drogi i dojrzałem żywo płot okalający dom nauczyciela. W bramie przy wejściu na podwórze stali trzej moi przyjaciele.

- Co się stało? - spytałem wyskakując z wozu. Dopiero teraz zauważyłem, że cała trójka ma bardzo niewyraźne miny.

- Mówcie wreszcie!

- Pokpiłszy sprawę - westchnął Tell. - Pilnowaliśmy domku od frontu, a tymczasem ktoś włamał się do środka przez tylne, kuchenne okno. Być może, ukradł tajemniczy dokument. Sprzątnął go na naszych oczach.

- I nie zauważyliście niczego podejrzanego?

- Najpierw przyjechał Mysikrólik na junaku. Zapukał do drzwi i przekonawszy się, że nauczyciela jeszcze nie ma, odjechał. Po jakimś czasie przybyło matżeństwo niebieską skodą. Zapukali i też po chwili odjechali nad jezioro. Odtąd nikt się tutaj nie pojawił, nie słyszeliśmy

żadnych szmerów. Przed piętnastoma minutami zdecydowaliśmy zrobić obchód wokół domku. Właśnie wtedy zauważyliśmy, że okiennica jest wyłamana, a szyba wyjęta.

- Może to stało się przed naszym powrotem z Koziego Rynku?

- Nie - zaprzeczyli. - Gdy pan odjechał do ośrodka dziennikarzy, także zrobiliśmy obchód. Wówczas z całą pewnością okiennica nie była wyłamana.

Poszliśmy na tyły domku, gdzie znajdowało się kuchenne okno. Ktoś wyrwał zawiasy w skrzydle okiennicy, następnie wyjął szybę i zapewne wszedł przez okno do środka. Czego szukał w domku? Nietrudno było zgadnąć. Zrobił to ktoś, kogo zniecierpliwilo oczekiwanie na powrót nauczyciela i zapragnął posiąść tajemniczy dokument. Może zresztą obawiał się, że po powrocie nauczyciela dokument trafi nie do jego rąk, a do moich lub Petersenów? Bo jedno w tym wszystkim wydawało mi się pewne: włamania nie dokonali ani Petersenowie, ani Kozłowski. W tym czasie byli wraz ze mną w ośrodku.

Jeszcze przez jakiś czas dyskutowaliśmy w sprawie włamania, a potem usłyszeliśmy szybkie kroki. To nadbiegały Karen i Anka, a w chwilę po nich - Kozłowski i kapitan Petersen. Pokazałem im wyłamaną okiennicę i wyjaśniłem zdarzenie.

- Sądzę pan, że dokument został skradziony? - pytała Karen.

- Ktoś wszedł tam, aby go ukraść. Ale czy udało mu się to? Nie wiem, jak wygląda wnętrze mieszkania i czy dokument leżał na wierzchu. Tajemniczy włamywacz nie miał zbyt wiele czasu na poszukiwania.

- A może złodziej siedzi tam nadal? - powiedziała Anka.

Zajrzałem przez wybitą szybę i wnętrze kuchni oświetliłem latarką elektryczną. Zobaczyłem kilka sprzętów kuchennych i półotwarte drzwi do pokoju.

- Trzeba się tam dostać - zdecydował Kozłowski. Zaprotestowałem:

- Tak nie wolno. Należy zawiadomić milicję. Właząc tam, możemy zatrzeć ślady po włamywaczu.

Poprosiłem Tella, aby przyniósł z mego wozu skrzynkę z narzędziami. Zabiłem gwoździem wyrwaną okiennicę.

- Tak będzie najlepiej - powiedziałem, - W ten sposób zabezpieczyliśmy ślady i mieszkanie. Reszta już należy do milicji w Gibach. W ośrodku dziennikarzy znajduje się telefon. Po powrocie tam zadzwońcie do milicji.

Tymczasem kapitan Petersen, wezwawszy do pomocy Kozłowskiego jako tłumacza,

rozpytywał harcerzy:

- Kochani chłopcy, czy nie znacie niejakiego Malinowskiego?

Tell najpierw niegrzecznie parsknął śmiechem, a dopiero potem wyjaśnił:

- Każdy z nas zna jakiegoś Malinowskiego. W Polsce jest dużo Malinowskich. To zależy, o jakiego Malinowskiego pan pyta.

- O łobuza! O oszusta! Chcę mu porachować kości! - wykrzykiwał kapitan Petersen.

Odezwał się Sokole Oko:

- Może włamania dokonał właśnie Malinowski, którego pan szuka?

- Malinowski? - zdumiał się Petersen. - To prawdopodobne. On jest zdolny do wszystkiego. Wyłudził ode mnie czterysta dolarów i tajemnicę skarbu templariuszy. Mógł przyjechać tutaj także szukać skarbów.

Panna Karen przysunęła się do mnie.

- Czy gniewa się pan jeszcze? To nie ja, to Kozłowski i inni wyśmiewali się z pańskiego wehikułu.

— Już drugi raz powtarzam pani przysłowie: ten się śmieje najlepiej, kto się ostatni śmieje. Kapitan Petersen rubaszenie poklepał mnie po plecach:

- Kupię od pana ten śmieszny samochodzik. Dam tysiąc dolarów.

- Co takiego? - oburzyłem się.

- Mało? No, to dam półtora tysiąca...

— Nie sprzedam go.

Kozłowski odciągnął mnie na bok i szepnął do ucha:

- Nie wygłupiaj się pan. Bierz pan forszę i kup pan sobie simcę. Jak się znajduje wariat, co chce kupić ten pański wehikuł, to przynajmniej pan nie bądź wariatem.

- Nie! - warknąłem.

Miałem dość Kozłowskiego. Wyczuł to, bo natychmiast przerwał swoje namowy i zaproponował powrót do motorówek.

Odeszli. A ja wjechałem samochodem do sadu i zaparkowałem go w pobliżu namiociku chłopców. Położyliśmy się zaraz spać, oni w namiocie, a ja w wehikule.

Tej nocy nie było już czego pilnować. Miałem przekonanie, że tajemniczy dokument znajdował się w obcych rękach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

CO UKRADŁ WŁAMYWACZ? – MILICJA – WIEWIÓRKA DOKONUJE
CIEKAWYCH OBSERWACJI – KTO MIESZKA NA WYSPIE? – ŚLADY TAJEMNICZEGO
DOKUMENTU

Zapadła już noc. W Miłkokuku zastaliśmy domek nauczyciela zamknięty na głucho. Rankiem następnego dnia przyjechało do Miłkokuku dwóch milicjantów na rowerach. Ośrodek dziennikarzy miał telefoniczne połączenie ze światem przez pocztę w Gibach, która nocą była nieczynna. Powiadomiono więc posterunek MO dopiero wczesnym rankiem i temu przypisać należało tak późne zjawienie się milicji na miejscu przestępstwa.

Zdaliśmy milicjantom dokładną relację z tego, co się wydarzyło w Miłkokuku, ale byli to ludzie nie nazbyt zorientowani w historii, toteż sprawa skarbu templariuszy nie spotkała się u nich ze zrozumieniem. Przypuszczam, że także moja osoba, jak również mój dziwny wehikuł nie budziły w milicjantach wielkiego zaufania. Natomiast przejęli się bardzo włamaniami. Skończyło się jednak na tym, że postanowili poczekać na powrót nauczyciela, aby ten stwierdził, jakie szkody spowodował włamywacz.

W godzinę później zjawił się nauczyciel. Dopiero ode mnie dowiedział się o artykule w gazecie i o zamieszaniu, jakie spowodowała wiadomość, że w jego posiadaniu znajduje się tajemniczy dokument.

- Boże drogi, a ja nic nie wiedziałem! Tyłe osób tu na mnie czeka - dziwił się nauczyciel. - Poszliśmy szlakiem powstania styczniewego, a potem chłopcy namówili mnie, aby jeszcze zejść nad Wigry. Nie miałem pojęcia, że jestem potrzebny. I pan sądzi, że ten włamywacz chciał wykraść stary dokument?

- Jestem tego pewien - powiedziałem.

- Obawiam się, że będzie rozczarowany. Nie znam zupełnie łaciny, jestem matematykiem. Ale lubię zbierać różne starocie. Ten dokument jest po łacinie i ktoś mi nawet go kiedyś przetłumaczył. Zdaje się, że dotyczył jakichś spraw gospodarczych zakonu templariuszy. Bo z całą pewnością była na nim pieczęć templariuszy: dwóch rycerzy na jednym koniu.

Nauczyciel bardzo się zafrasował i podreptał do swego mieszkania, żeby stwierdzić, czego szukał u niego włamywacz. Niski, szczupły staruszek stanowił uosobienie skromności i dobroci. Odnosiło się wrażenie, że w historii, która się wydarzyła, martwiło go nie to, że został okradziony, ale że włamywacz, być może, doznał rozczarowania, przekonawszy się o bezwartościowości skradzionego dokumentu. Żenowała staruszka świadomość, że gdy przebywał na wycieczce z uczniami, tyle ludzi, a wśród nich i cudzoziemcy, traciło czas oczekując jego powrotu.

Jego mieszkanie przypominało graciarnię pełną najdziwniejszych przedmiotów. Na półkach zawieszonych wzdłuż ścian leżały kamienie zebrane podczas szkolnych wycieczek geologicznych, gdyż wiejska szkółka nie była w stanie pomieścić tego rodzaju eksponatów. Po kątach stały gliniane naczynia miejscowego ludowego wyrobu, kilka drewnianych rzeźb wykonanych przez ludowych artystów. Spod łóżka wyglądała rączka starego radła, które nie było w użyciu chyba od stu lat. Na ścianach zauważyłem dwa trumienne portrety szlacheckie i oprawione w ramki różnego rodzaju dokumenty: stare akty nadania ziemi z okresu uwłaszczenia chłopów, groźnie brzmiące obwieszczenia władz z czasów po drugim rozbiórce Polski, jakies nieprawdopodobne stare afisze amatorskich zespołów śpiewaczych i tym podobne starocie.

- O, tutaj! Właśnie tu wisiał dokument templariuszy - nauczyciel wskazał puste miejsce na ścianie. - Był oprawiony w ramkę za szkłem jak obrazek. Nie ma go. Zniknął.

Jeszcze jakiś czas nauczyciel krążył wśród swoich rupieci, aby stwierdzić to, czego ja byłem już od dawna pewien: nic innego z mieszkania nie zginęło. Skradziono tylko dokument.

- Znalazłem go zaraz po wojnie - opowiadał. - Latem 1945 roku, wkrótce po wyzwoleniu Pomorza, wyruszyłem w tamte strony z wycieczką szkolną, Nocowaliśmy w pobliżu plebanii zrujnowanej przez pociski artyleryjskie. Pastor (bo to był kościół ewangelicki) uciekł z hitlerowcami, ale w jego zrujnowanym mieszkaniu pozostało trochę nadpalonych książek. Wybrałem starą biblię, o tę, co ją pan widzi na półce. Wydrukowano ją w XVII wieku w Królewcu. U pastora także znalazłem dokument z pieczęcią templariuszy.

- Pamięta pan, jak nazywała się ta miejscowość? - spytałem.

- Och, nie, nie - zafrasował się. - To przecież było prawie dwadzieścia lat temu. Gdzieżbym teraz pamiętał jej nazwę?

- A gdyby spojrzął pan na mapę i spróbował odtworzyć w pamięci szlak wycieczki?

- Spróbuję. A wie pan, spróbuję, jeśli panu na tym bardzo zależy - ofiarował się.

- Owszem. Bardzo mi zależy - powiedziałem. Dłużej już nie mogłem z nim rozmawiać, bo milicjanci zabrali się do pisania protokołu opisującego włamanie.

- Nic tu po nas. Jedziemy nad jezioro Pomorze. Tam rozbijemy nowy obóz - rzekłem do chłopców.

I pożegnawszy nauczyciela, opuściliśmy jego mieszkanie. A po chwili jechaliśmy wehikułem nad zatoczkę, gdzie nocowałem przedwczoraj.

- Czy bardzo pana zmartwiła kradzież dokumentu? - pytał Sokole Oko.

- Jeśli mam być szczery, to nie bardzo wierzę w jego wartość. Tylko w kiepskich książkach sensacyjnych zdarza się, że gdy bohater czegoś bardzo pilnie szuka, w pomoc przychodzą mu różne tajemnicze dokumenty. Nie przeczę, że dokument sporządzony został przez templariuszy. Ale po tym zakonie pozostało przecież sporo różnego rodzaju śladów. Jest czymś niepoważnym przypuszczać, że akurat właśnie ten dokument dotyczy skarbu i zaprowadzi nas do niego.

- Więc dlaczego tracimy czas w Miłkokuku?

- Jeśli nie uda mi się odnaleźć skarbu, chcę mieć czyste sumienie, że nie zaprzepąściłem żadnej okazji. Nie wiąże żadnych nadziei z dokumentem, ale z drugiej strony nie posiadam innej koncepcji poszukiwań skarbu. A jak się czegoś szuka i o tym czymś myśli nieustannie, to niekiedy jak gdyby przy okazji trafia się na różne ciekawe ślady, które mogą zaprowadzić do celu. Może okaże się, że nie tyle tajemniczy dokument, ale miejsce, gdzie go znaleziono, ma znaczenie dla naszej sprawy.

Zajechaliśmy nad jezioro. Tell i Sokole Oko zabrali się do przyrządzania posiłku, gdyż zbliżało się południe. Wiewiórka, pożyczwszy ode mnie lornetkę, wspiał się na wysokie drzewo, aby, jak powiedział, „zorientować się w topografii”. Po chwili wołał ku nam ukryty wśród gałęzi:

- Bardzo tu pięknie! Jezioro jest rozległe, po drugiej stronie widzę białą gajówkę... Oho, przez jezioro płynie kajakiem pan Kozłowski, bardzo dzielnie macha wiosłami...

- Kozłowski? Dokąd on płynie? - krzyknąłem, zadzierając głowę.

- Do ośrodka dziennikarzy. Do domków campingowych, które znajdują się po drugiej stronie jeziora.

- A skąd płynie?

- Trudno powiedzieć, bo jest teraz na środku jeziora. Pewnie zrobił sobie przejażdżkę

kajakiem.

- Co jeszcze widzisz?

- Na prawo wpływa do jeziora jakaś rzeczka...

- To rzeka Marycha. Ale ona w tym miejscu nie wpływa, tylko wypływa z Jeziora. A ściślej, od strony Gib wpływa do Jeziora Pomorze, a z drugiej strony, w miejscu, na które patrzysz, ucieka do Czarnej Hańczy.

- Marycha płynie na dnie szerokiej niecki zarośniętej wysokimi trzcinami. Ale tam pięknie! Trzciny kołyszą się od wiatru i wyglądają jak zielone zboże. A ze środka wypływa ku górze smuga dymu...

- Tam jest malutka wysepka. Pewnie ktoś pali ognisko. Te trzciny to prawdziwy raj dla dzikiego ptactwa. Kiedyś zacząłem się na wysepce i przez cały dzień obserwowałem ptaki.

- O, w naszą stronę płynie kajakiem pani Anka! - wołał Wiewiórka. - Mija właśnie pana Kozłowskiego, machają ku sobie wiosłami. A bliżej nas rybacy wyciągają sieci z jeziora...

- Widać ich bez pomocy lornetki - powiedziałem. - Za takie informacje bardzo ci dziękuję.

Wiewiórka jeszcze jakiś czas siedział na drzewie, ale ponieważ nic ciekawego nie zauważył, zszedł na dół. Zagotowała się woda na spirytusowej maszynie, zaparzyliśmy kawę rozbieloną skondensowanym mlekiem. Nakroiliśmy świeżego wiejskiego chleba kupionego w Miłkokuku i posmarowaliśmy go smalcem. Każdy z nas wziął do jednej ręki ogromną pajdę, a do drugiej kubek z kawą. Usiedliśmy rzędem na brzegu i jedząc, w milczeniu przypatrywaliśmy się nadpływającej Ance.

- Smacznego - powitała nas, dobijając do brzegu.

- Dziękujemy - odpowiedzieli chłopcy. Ja nic się nie odezwałem, bo wciąż trawiła mnie złość za jej zdradę.

- Co z włamywaczem, moi panowie? - spytała.

Jeszcze bardziej oburzył mnie jej protekcyjny ton. Wstałem, podszedłem do samochodu i nastawiłem radio. Nadawano koncert symfoniczny.

- Dlaczego pani mówi: włamywacz - odezwał się Tell. - Może było ich kilku?

- Skąd wiecie, że było ich kilku? - zdumiała się.

- Nie wiemy. Ale równie dobrze mógł być jeden, jak i kilku.

- O, panowie są dziś dla mnie bardzo niełaskawi. To zapewne zły wpływ waszego

kapitana. Hej, panie kapitanie! - zwróciła się do mnie. - Czy mogłabym wiedzieć, czemu pan jest w tak złym humorze?

- Nie jestem w złym humorze, tylko słucham koncertu symfonicznego...

Podciągnęła kajak na brzeg, usiadła na jego dziobie. Zapaliła papierosa i rzekła:

- Czy nie uważacie, druhowie, że to zupełnie okropne, gdy przyjeżdża się nad jezioro z radiem? Głos radia niesie woda i w ten sposób wszyscy dookoła mają zakłócony spokój i zepsuty wypoczynek.

Zgasilem radio. Miała rację, ja także nie lubię ludzi z turystycznymi aparatami radiowymi grającymi w lasach i nad jeziorami.

Wyjąłem z auta koc i położyłem się na nim. Chciałem okazać, że obecność Anki nic mnie nie obchodzi. Patrzyłem w niebo czyste i błękitne, po którym szybował jastrząb. Zataczał ogromne koła, wzbijał się wysoko to znów wolniutko opuszczał się w dół, wypatrując zdobyczy. Pomyślałem o wczorajszym włamaniu do domku nauczyciela. Może dokonali go trzej opryszkowie, którzy chcieli obrabować pannę Petersen? Po incydencie w lesie nie pokazali się więcej w Miłkokuku, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Mogli podjechać autem w pobliże wioski, samochód ukryć na leśnej drodze i pod osłoną ciemności zakraść się do domku, Albo to małżeństwo w niebieskiej skodzie. Nic nie wiedziałem o tym dwojgu ludzi. Kto wie, czy nie są po stokroć niebezpieczniejszą konkurencją niż Petersonowie? A wreszcie, kim był Mysikrólik?

- Wyobrażam sobie minę włamywacza - powiedziałem do chłopców - gdy przekona się, że skradziony dokument pisany jest po łacinie. Nie tak wiele ludzi zna łacinę do tego stopnia, aby odczytać stary dokument. Będzie musiał zwrócić się do kogoś, kto mu go przetłumaczy.

- Sądzi pan, że należałoby wywiedzieć się, kto w tych okolicach zna łacinę i do kogo najprawdopodobniej zwrócą się włamywacze? - podchwycił Sokole Oko.

- Och, takich ludzi może być kilku. A poza tym, jaką mamy pewność, że włamywacz nie odjechał stąd gdzieś bardzo daleko? A wszystko przez to, że jakiś głupi dziennikarz dał do gazety informację o skarbach templariuszy i o dokumencie znajdującym się u nauczyciela w Miłkokuku. To przez ten artykuł najechało się tutaj różnego rodzaju podejrzanych typów - rzekłem, kierując te słowa w stronę dziennikarki.

- Pan też jest podejrzany typ - powiedziała.

- Podejrzany? Do tej pory myślałem, że jestem tylko śmieszny.

- Może pani być pewna - rzekł z oburzeniem Wiewiórka - że jeśli pan Samochodzik odnajdzie skarb templariuszy, to odda go do muzeum.

- Pan przestał być śmieszny - stwierdziła Anka. - Zresztą tym gorzej dla pana. Dopóki pańscy przeciwnicy uważali pana za nieszkodliwego dziwaka, dopóty mógł pan mieć od nich spokój. Pański wehikuł sprawił wielką niespodziankę. Być może, podejrzewają teraz, że pan jest o wiele niebezpieczniejszy.

- Nie boję się ich.

- Niech pan nie będzie zbyt pewny siebie. Przeciwnik dysponuje dość szeroką skalą środków. Ma pieniądze, a pan ich nie posiada. Ma piękną dziewczynę, która umie zawracać w głowie takim ludziom, jak pan,

- O kim pani mówi? O jakich przeciwnikach?

- O Petersenach.

- To nie są moi przeciwnicy. Panna Karen zaproponowała mi współpracę. Być może, przystanę na jej propozycje.

- Co? - oburzyła się. - Pan tego nie zrobi. Nigdy bym panu tego nie darowała.

- Ależ ja nie będę pytał pani o zdanie - zauważyłem. - Zdradziła nas pani, i to podwójnie. Zeszła pani z posterunku, na którym panią pozostawiliśmy. Wyśmiewała się pani z mego wehikułu. Tak nie robi przyjaciel.

- Pan używa wielkich słów dla określenia małych spraw. Zeszałem z posterunku, gdyż jestem żywą istotą, muszę coś jeść i pić. A jak pan wie, stołuję się i mieszkam w ośrodku dziennikarzy. A co do tej drugiej kwestii, to zachowałam się tak celowo. Nie chciałam, aby wiadomo, że zawarłam z wami przyjaźń. Przebywając w pobliżu Petersenów, mogę mieć na nich baczenie i niejedno od nich usłyszeć. Pod warunkiem, że nie będą się mnie strzegli.

- Co za makiawelizm! - zawołałem ironicznie.- Oni się chyba dobrze pilnują. Przy obcym nie zdradzą swoich myśli i planów. Czy zauważyła pani coś ciekawego?

- Tymczasem nie. Ale to się może zdarzyć.

Sprzeczałem się z dziennikarką, a tymczasem harcerze zabrali się do budowania namiotu nad jeziorem. Przypłynęli rybacy łowiący w jeziorze. Jeden z nich wyszedł na brzeg i zaproponował kupno sielawy.

- Za drogo - odpowiedziałem, gdy wymienił cenę za kilogram ryb.

- Za drogo? Właśnie tyle zapłacił nam rano ten pan, co nocował na wyspie w trzcinach.

Przejeżdżaliśmy łódką przez Marychę, sam nas zaczepił i tyle zapłacił, co panu mówię.

- Jaki pan? - zerwałem się z koca, bo przypomniałem sobie o zauważonym przez Wiewiórkę dymku ulatującym z trzcin.

- A czy ja wlem, co za jeden? Pewnie turysta.

- Jak wyglądał? I czy on tam jeszcze jest na wysepce? Bo, widzi pan, ja czekam tutaj na swego kolegę. Może to właśnie on?

- Wyglądał jak każdy. Był w majteczkach kąpielowych...

- Pytam się, czy miał jakieś cechy charakterystyczne.

- Ja tam nie wiem, czy miał jakieś cechy wzruszył ramionami rybak. Nie podobały mu się moje natarczywe pytania.

Zagadnął mnie jeszcze raz, czy zapłacę tyle, ile mi powiedział. A ponieważ odmówiłem, zabrał się i wsiadł do łódki. Po chwili znowu wypłynął na środek jeziora i zaczął wyciągać sieci z wody.

- Czy może mi pani pożyczyć kajak? - spytałem dziennikarki.

Harcerze natychmiast pojęli, o co mi chodzi, i otoczyli mnie wkoło.

- Panie Tomaszu, niech pan jedzie swoim wehikułem. Zabierzemy się z panem.

- Nie. Tam jest zbyt wielka gęstwina trzcin i mój samochód mógłby uwięznąć. Kajak będzie bardziej przydatny, bo spróbuję zaskoczyć człowieka na wysepce. Podjadę cicho i ostrożnie.

Anka zgodziła się pożyczyć kajak, ale pod warunkiem, że zabiorą ją z sobą.

- Umiem się skradać po indiańsku - oświadczyła. - A nie darowałabym sobie do końca życia, gdybym nie wzięła udziału w podobnej imprezie.

Rad nierad musiałem przystać na warunek dziewczyny, bo na wysepkę wśród trzcin mogłem się dostać tylko kajakiem. Nie spodziewałem się zresztą dokonać żadnych rewelacyjnych odkryć. Chciałem po prostu stwierdzić, co to za człowiek nocował wśród trzcin. W walce o skarby templariuszy każdy element sprawy mógł się okazać bardzo ważny. Wiewiórka znowu wdrapał się na drzewo i zakomunikował mi, że dymek wciąż jeszcze unosi się z morza trzcin.

- Piecze kupione ryby - skonstatowałem, wsiadając do kajaka. - Zastaniemy go przy czynnościach kulinarnych. Zapewne nie spodziewa się wizyty.

Popłynęliśmy wzdłuż prawego brzegu jeziora, w stronę zielonego morza trzcin, przez

które wypływała rzeka Marycha. Anka miała tylko jedno wiosło, więc z konieczności ja wiosłowałem, a ona siedziała na przodzie i usiłowała przemówić mi do rozumu:

- Czy pan nie zdaje sobie sprawy, że Karen pana nabiera? Robi słodkie miny tylko w tym celu, żeby jej pan pomógł odnaleźć skarby. Jej wcale nie o to chodzi, żeby zarobić na tych skarbach, bo o ile zdążyłam się zorientować, mają prawo wziąć tylko dziesięć procent znaleźnego. To są bogaci ludzie. Ale ona ma ambicję, żeby tam gdzieś za granicą móc się pochwalić: „To właśnie ja odkryłam w Polsce skarb templariuszy, którego nikt nie potrafił odnaleźć”.

- Na nic się nie przyda nabieranie mnie, bo ja nie wiem, gdzie skarbów szukać - powiedziałem. - A w ogóle pani, zdaje się, powątpiewa, że ja się mogę podobać ładnej dziewczynie?

- Ach, nie. Znowu się pan na mnie obraził. Ostrzegam jednak: Karen zrobi wszystko, byle tylko swój cel osiągnąć.

- Pani zależy na tym, żebym ja odnalazł skarby?

Zmieszała się.

- Ona mnie irytuje. Bardzo chciałabym, żeby jej ktoś utarł nosa. Wyobraża sobie, że wszystkich można zmusić do służenia. Jest zbyt pewna siebie i zarozumiała.

- Przede wszystkim jest bardzo ładną dziewczyną i może dlatego, jak każda ładna dziewczyna, ma dużą pewność siebie. A przez panią przemawia zazdrość.

Uderzyła pięścią w dziób kajaka, aż zahuczał jak bęben.

- A pan jest naiwny. Nic panu więcej nie powiem. Nie będę pana ostrzegać.

- Cicho! - syknąłem. - Spłoszy pani naszego ptaszka.

Przed burtą kajaka wyrosła ściana wysokich trzciny. Z początku rosły rzadko i płynęło się przez nie dość szybko. Dziób kajaka rozdzielał trzciny i żłobił między nimi korytarz. Lecz wkrótce zgęstniały i oplątywały się wokół wiosła, co bardzo utrudniało popychanie kajaka. Las trzciny otoczył nas z przodu i z boku, zamknął się za nami zieloną, zwartą gęstwiną. Aby nie zmylić kierunku, od czasu do czasu wstawałem z miejsca i ponad chwiejącymi się wierzchołkami dostrzegałem zalesione brzegi. Potem już nawet wiosłowałem na stojąco, jak kijem odpychałem się wiosłem od mulistego dna rozlewiska, Wkrótce jednak trzciny okazały się tak wysokie, że zasłaniały sobą cały widok. Przestałem się orientować, w jakim kierunku płyniemy.

A w trzcinach panował wielki skwar. Gorąco było nad jeziorem, gdzie rozbiliśmy obóz. Ale tam przynajmniej wiatr od wody trochę łagodził południowy upał. Tutaj od wiatru zasłaniały nas trzciny, z góry prażyło słońce, parowała woda pełna gnijących resztek korzeni, wydzielając zapach mdły i duszący. Wirowały nad nami roje malutkich, ale natrętnych muszek, na kajaku przysiadły wielkie ważki mieniające się niebieskimi barwami. Strząśnięte ruchami wiosł, spadały na nas z trzcin ogromne pająki i obrzydliwe żuki. W zielonej gęstwinie kwakały dzikie kaczki i popiskiwały przestraszone kaczęta, grubymi głosami odzywały się kaczory. Wysoko na niebie krążył nad naszymi głowami wielki jastrząb.

Zmęczyłem się, a ponieważ wiosło wikłało się w plątaninie trzcin, kajak bardzo powoli posuwał się naprzód. Zresztą nie wiadomo było, czy płyniemy we właściwą stronę. Być może, zamiast ku wysepce zbliżaliśmy się do tego miejsca, gdzie wpłynęliśmy.

- Zabłądziliśmy - niemal radośnie oświadczyła Anka, gdy na chwilę przycupnąłem w kajaku i ocierałem chusteczką spocone czoło.

- Pani znajduje w tym powód do zadowolenia?

- A owszem - kiwnęła głową. - Nareszcie coś ciekawego. Przecież pan chyba nie sądzi, że przyczepiłam się do pana tylko dlatego, że pan mi się podoba?

- Nie jestem zarozumiała.

- W dziennikarstwie pracuję od niedawna. Jestem dopiero po studiach. Do tej pory niczego szczególnego nie napisałam. A chciałabym zwrócić na siebie uwagę czytelników. Swój urlop pragnę wykorzystać na zebranie materiału do cyklu sensacyjnych reportaży. Takich, żeby czytelnikom aż dech w piersiach zapierało, gdy będą je czytać.

- I przyjechała pani do Gib, gdzie się tylko wypoczywa? Pani nie mogła przewidzieć, że przybędą tutaj różnego rodzaju podejrzane typki w rodzaju mnie czy Petersenów i że będzie się tu szukać skarbu templariuszy.

- Właśnie, że wiedziałam. To przecież ja... No, właśnie ja napisałam ten artykuł w gazecie i podałam informację o dokumencie u nauczyciela w Miłkokuku.

- Pani? To pani była tym... - zająknąłem się.

- Niech pan śmiało kończy: tym bałwanem, tym durniem, tak?

- Coś w tym rodzaju - rzekłem wykrętnie.

- Wiem, co pan o mnie myśli. Ale zupełnie mi to nie przeszkadza. Grunt, że zbiorę

materiał do reportaży. Opiszę dziwaków poszukujących skarbu templariuszy. A wśród nich poczesne miejsce zajmie pan Samochodzik. Opiszę również, jak zabłądziliśmy w trzcinach. Na tym zakończę jeden z reportaży, pozostawiając czytelników w niepewności co do naszych losów. A dopiero w następnym odcinku wyjaśnię, w jaki sposób wydostaliśmy się z gęstwiny trzcin.

- To pani już wie, w jaki sposób tego dokonamy? W takim razie może mi pani powie, bo niczego innego nie pragnę, jak się stąd wydostać.

- Należy płynąć albo przed siebie, albo... do tyłu.

- Pani wie, gdzie jest przód, a gdzie tył? Nic nie powiedziała. Zdaje się, że dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że rzeczywiście zabłądziliśmy i otacza nas zewsząd zielona ściana roślin. Rzecz jasna przesadziłem, można było płynąć do tyłu, pozostawiliśmy bowiem za sobą ślad w postaci połamanych kajakiem trzcin. Ale mnie jednak chodziło o to, aby dotrzeć do wysepki.

Znowu wziąłem do ręki wiosło i próbowałem przedzierać się dalej.

- Oglądała pani tajemniczy dokument - powiedziałem - więc chyba może pani wyjaśnić, czy zawiera on informacje o skarbach templariuszy.

- Miałam go nawet w ręku. To było w ubiegłym roku, gdy przyjechałam tutaj na letni wypoczynek. Ale nie znam dobrze łaciny i nie zapoznałam się z treścią dokumentu. Wiem tylko, że dokument wydany był przez templariuszy. I o tym napisałam w swym artykule.

- Cicho - syknąłem znowu, - Zdaje się, że jesteśmy w pobliżu wysepki.

Trzciny przeredziły się. Jeszcze cztery metry, jeszcze trzy, jeszcze kilka razy silnie odbiłem się wiosłem od mulistego dna i wypłynęliśmy na skrawek wolnej przestrzeni wodnej otaczającej niewielką wysepkę, a raczej kępę. Rosła na niej ostra, szablasta trawa, stał na wpół zrujnowany szałas z gałęzi i sterczały dwa zeschnięte drzewa.

Jeden rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że wysepka jest bezludna. Zrujnowany szałas ział pustką.

- Tu nikogo nie było - stwierdziła Anka. - A jeśli był, to go już nie ma. I wcale nie musiał płynąć przez trzciny. Po prostu przyszedł na nogach i tak samo odszedł.

Z drugiej strony wysepki leżały w trzcinach ogromne pnie sosnowe, obdarte z kory. Niektóre z nich powiązane były w tratwy, zapewne przygotowane do jesiennego spływu. A może po prostu nie zdążono ich spławić wiosną? Leżały w wodzie. Jeden obok

drugiego, tworząc jakby ogromny i długi most między wysepką a stałym lądem.

Wyskoczyłem na brzeg i zjrzałem do zrujnowanego szałas.

- Ktoś tu jednak był. I to niedawno - rzekłem.

Obok szałas zobaczyłem kupkę gorącego popiołu. Dookoła ogniska wały się resztki nie dojeżdżonych, upieczonych ryb.

- Fiuuu! - gwizdnąłem. - A to co takiego?

Podniosłem z ziemi kilka cienkich, połamanych listewek pokrytych fornirem. W trawie odkryłem także kawałki potłuczonego szkła.

- Czy wie pani, co to było? To są resztki ramki, w którą oprawiony był dokument templariuszy.

- A więc tutaj nocował włamywacz! - zawołała.

- Tak. Ukradł dokument i ze zdobyczą schronił się na wysepce. Tu rozbił ramkę i wyjął dokument. Przybyliśmy za późno. A mieliśmy szansę, aby spotkać się z nim oko w oko.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

I ZNOWU MALINOWSKI – TRZECIE WYJŚCIE Z SYTUACJI – DOMEK PETERSENÓW – DYSKUSJA O ZASADZCE – GRA W OTWARTE KARTY

Wracając do obozu, gdzie pozostawiliśmy harcerzy, już z daleka dostrześliśmy kołyszącą się przy brzegu motorówkę. Kozłowski i Petersenowie zajęci byli rozmową z trzema moimi przyjaciółmi.

Czekamy tu na pana - powiedziała Karen, gdy kajak nasz zarył się dziobem w nadbrzeżny piasek.

Kapitan Petersen zbliżył się do mnie pomrukując gniewnie i wymachując kartką papieru.

- Niech pan to przeczyta! Ja chyba zwariuję ze złości!

- Znaleźliśmy ten list na szybie naszego samochodu - wyjaśniła Karen. - Ktoś go włożył za wycieraczkę. To było w południe. Przyjechaliśmy do pana, aby zasięgnąć rady.

Wziąłem do ręki list pisany na kartce wyrwanej z rachunkowego zeszytu. Dość koślawymi literami - być może kreślonymi lewą ręką, aby trudniej było domyślić się charakteru pisma - ktoś informował Petersenów:

Jeśli chcecie otrzymać dokument templariuszy, połóżcie trzy tysiące złotych za figurą w kapliczce na leśnej drodze do Gib. Zróbcie to o dwunastej w nocy, potem wróćcie do domków, a rano w kapliczce znajdziecie dokument.

Malinowski

Usłyszałem gniewne okrzyki kapitana Petersena:

- Znowu ten Malinowski! Oszukał mnie, ośmieszył, wyłudził ode mnie czterysta dolarów, a teraz chce jeszcze trzy tysiące złotych. Złodziej, oszust, włamywacz!

- A co pan o tym myśli? - spytała Karen. - Zapłacić mu te trzy tysiące czy też zlekceważyć list?

- Nie dam! Nie dam ani grosza! - krzyczał Petersen. - Weźmie pieniądze, a dokumentu nam nie przekaże.

- Uspokój się, papo - mitygowała ojca panna Petersen. - Wysłuchajmy najpierw, co

powie na ten temat pan Tomasz. Pan Kozłowski radzi nam zapłacić.

- A ja odradzam. Zdecydowanie odradzam - powiedziałem.

Odezwał się Kozłowski:

- Pan tak radzi przez przekorę, żeby zrobić mi na złość. Ponieważ ja powiadam: „zapłacić”, to pan Tomasz mówi: „nie zapłacić”. Bo pan Tomasz mnie nie lubi i zawsze powie inaczej niż ja. A moim zdaniem sprawa tak wygląda: jeśli państwu zależy na tym dokumencie, to należy za niego zapłacić, bo nie widzę innego sposobu zdobycia dokumentu.

- Dlaczego pan sądzi, że nie powinniśmy płacić? - spytała mnie panna Petersen.

- Moja rada wynika nie z przekory. Uważam, że ten dokument jest bezwartościowy. Gdyby wskazywał drogę do skarbu, jestem pewien, że Malinowski nie sprzedałby go nam za trzy tysiące, a zażądałby o wiele więcej. A być może w ogóle nie chciałby go sprzedać, tylko sam zająłby się szukaniem skarbu. Nie mamy zresztą gwarancji, że to nie jest jeszcze jedno oszustwo. Gdzie mamy dowód, że list ten pisał włamywacz, który ukradł dokument? Położycie trzy tysiące złotych, a on je zabierze i pokaże wam figę.

- Tak jest! - krzyknął kapitan Petersen. - Mister Samochodzik ma rację. Ani grosza nie zapłacę Malinowskiemu.

Wtrąciła się Anka:

- Zgadzam się z panem Tomaszem. Wydaje mi się, że nie należy płacić złodziejowi za złodziejstwo. To jest niemoralne.

- O, to i pani jest po stronie mister Samochodzika? - Karen złośliwie przymrużyła oczy.
- Pan Tomasz ma rzeczywiście coraz więcej zwolenników. Ale ja muszę mieć ten dokument - rozżłościła się. - Jeśli jest choć odrobina nadziei, że on wniesie coś nowego do sprawy, to ja go muszę mieć, Choćbym miała zaryzykować trzy tysiące złotych.

- Co? - oburzył się Petersen. - Chcesz dać Malinowskiemu jeszcze jedną możliwość dokonania oszustwa? Nie zgadzam się.

Lecz panna Karen wiedziała, jak postawić na swoim i udobruchać ojca. Zamiast sprzeczać się z nim, pocałowała go w policzek i powiedziała:

- Obiecałeś mi, papo, że ja będę szefem naszej wyprawy. I dla głupich trzech tysięcy złotych chcesz złamać dane mi przyrzeczenie?

Petersen podrapał się w głowę.

- Jeśli wolno mi wtrącić swoje trzy grosze - rzekłem - to wydaje mi się, że istnieje

trzecie wyjście z sytuacji. Zamiast banknotów należy włożyć do koperty ścinki z gazety, zacząć się w zasadzce i przychwycić Malinowskiego.

- Brawo, brawo! - wrzasnął Petersen i mocno klepnął mnie w plecy. - Tak właśnie zrobimy. Ukryjemy się w zasadzce i schwytny Malinowskiego. Pomoże mi pan w tym?

- Pomogę - powiedziałem. - Wraz z panem ukryję się w zasadzce. A jutro rano pożegnaj was. Wyjeżdżam.

- Dokąd? - spytała Karen. Wzruszyłem ramionami.

- Czy pozwoli mi pani zapoznać się z treścią dokumentu, gdy go pani uzyska? Nie. Ja również nie mogę pokazywać pani wszystkich swoich kart. Wyjeżdżam szukać skarbu templariuszy, uważam bowiem pobyt w tych stronach za bezcelowy.

- My także wyjedziemy, jak tylko dostanę dokument - rzekła Karen.

- Jeszcze jedno chciałbym zaznaczyć - powiedziałem. - Dokument jest własnością nauczyciela z Miłkokuku. Jeżeli odkupicie go albo w inny sposób wydostaniecie z rąk Malinowskiego, będzie on musiał być zwrócony właścicielowi.

- Po to, aby pan mógł się z nim zapoznać? - spytała ironicznie panna Petersen. - Owszem, zrobimy to. Ale wtedy, gdy będziemy już mieli skarb w swoich rękach.

- O, przepraszam - wtrącił się Petersen. - Jeśli pan Tomasz weźmie udział w zasadzce i uda się nam schwytać Malinowskiego, to także i pan Tomasz zapozna się z treścią dokumentu.

Kapitan Petersen podszedł do sprawy bardzo uczciwie. Nie podobało się to ani jego córce, ani Kozłowskiemu, co nie trudno było odczytać z wyrazu ich twarzy. Ale Karen nie chciała się sprzeczać ze swoim ojcem.

Omówiliśmy więc szczegóły nocnej eskapady, a wtedy Kozłowski zdecydował się:

- Mimo że jestem przeciwny zorganizowaniu zasadzki, wezmę w niej udział. We trójkę mamy większą szansę schwytania Malinowskiego.

- No, nareszcie! - klasnęła w ręce Karen. - Bo już myślałam, że pan jest tchórzem.

Kozłowski uśmiechnął się skromnie.

- Niektórzy ludzie - powiedział - skłonni są rozważę traktować jako tchórzostwo.

Petersenowie wsiedli do motorówki, a Kozłowski wziął mnie na stronę i zaczął robić ostre wyrzuty:

- Postępuje pan bardzo niewłaściwie. Reklamujemy Polskę za granicą, zachęcamy

cudzoziemców, aby zwiedzali nasz kraj, przyjeżdżali na urlop, na polowanie, na ryby, bo z turystyki żyje wiele krajów na świecie. Nam potrzebne są dewizy. W naszym interesie leży, aby Petersenowie odnaleźli skarb templariuszy. I to nie tylko dlatego, że dziewięćdziesiąt procent skarbu wzbogaci kasę państwową, ale także dlatego, że gdy rozreklamujemy ten fakt za granicą, natychmiast przybędzie do naszego kraju wielu zagranicznych turystów, którzy zechcą, tak jak Petersenowie, szukać u nas skarbów. Będą przyjeżdżać do Polski, płacić za pobyt dolarami. To się może okazać lepszym interesem niż polowania. A pan próbuje konkurować z Petersenami i przez to prowadzi pan działalność antypaństwową, działalność społecznie szkodliwą...

Nie wytrzymałem. Parsknąłem śmiechem prosto w nos Kozłowskiemu.

- Pan wybaczy - powiedziałem - ale ja nieco inaczej rozumiem interes naszego państwa. Owszem, trzeba zachęcać cudzoziemców do zwiedzania Polski. Niech polują, łowią ryby, szukają skarbów. Jest naszym obowiązkiem traktować ich życzliwie i okazywać pomoc. Toteż pomogłem wam, gdy znaleźliście się w błocie, choć fatalnie mi się odwdzięczyliście. Jestem jednak zdania, że powinni płacić tylko za to, co rzeczywiście otrzymują i co chcą otrzymać. Czy pan nie rozumie, że ta historia z Malinowskim wyrobi nain u Petersenów opinię krętaczy i złodziejasków? I to właśnie może odstraszać innych od przyjazdu do Polski. Co zaś dotyczy poszukiwań skarbów, to znowu muszę pana przeprosić, ale ja z nich nie zrezygnuję. Mam do nich takie samo prawo, jak Petersenowie.

To mówiąc ukloniłem mu się uprzejmie i odszedłem. Rozeźlony Kozłowski wskoczył do motorówki. Odetchnąłem z ulgą, gdy zniknął mi z oczu.

Harcerze natychmiast rzucili się ku mnie z pytaniem:

- Czy weźmiemy udział w zasadzce na Malinowskiego?

Nie uważałem za stosowne brać ich ze sobą na tak niebezpieczną imprezę. Trudno było przewidzieć, jak się zachowa Malinowski, gdy zorientuje się, że wpadł w pułapkę. Nie miałem prawa narażać harcerzy na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Świadomość, że oni biorą udział w wyprawie, bardzo by mnie kępowała. Zamiast myśleć o schwytaniu przestępcy, ciągle martwiłbym się, jak uchronić chłopców przed niebezpieczeństwem.

Decyzję moją przyjęli kwaśno, ale szybko zrozumieli, że jest ona nieodwołalna. Tym bardziej że także Ance odradziłem udział w eskapadzie.

- Im mniej osób ukryje się w zasadzce - mówiłem - tym lepiej. Tym większa jest

bowiem szansa, że Malinowski niczego się nie domyśli. Ja, Kozłowski i Petersen wystarczemy, aby go schwycić.

Anka zastanowiła się chwilę i wreszcie pogodziła się z moją odmową. Usiadła obok mnie na brzegu jeziora i uśmiechając się rzekła:

- A mnie także nie zdradzi pan celu swej jutrzejszej podróży?
- Jeszcze nie wiem, dokąd pojedę. Prawdopodobnie do Malborka.
- Zabierze mnie pan z sobą?
- Panią? Po co?
- Chcę wiedzieć, czym się skończą poszukiwania skarbu templariuszy.
- Przecież pani uważa te poszukiwania za dowód wariactwa.
- Owszem. Ale mimo to jestem ich bardzo ciekawa.
- Tych poszukiwań?
- Nie tylko. Także i przygód, które jeszcze wam się przydarzą.
- Niech mi pani zostawi swój adres. Po skończonej wyprawie napiszę do pani obszerny list o tym, co przeżyłem.
- Ja tak nie chcę,
- Dość miałem kłopotów z powodu pani pierwszego artykułu.
- Och, ciągle jeszcze gniewa się pan na mnie? Nie miałam pojęcia, że spowoduje on aż takie przykre następstwa. Zresztą, niech pan wie: tak czy inaczej, pojedę za panem.
- Dokąd? - spytałem.
- Do Malborka.
- Przecież ja nie wiem na pewno, czy pojedę do Malborka.
- Panie Samochodzik - powiedziała ze złością - niech pan mnie nie lekceważy. Mogę się przydać. Proszę się zastanowić.

Wskoczyła do kajaka i odpłynęła do ośrodka na obiad. A ja wsiałem w swój wehikuł i pojechałem do Miłkokuku, aby jeszcze raz porozmawiać z nauczycielem. Po drodze stwierdziłem, że brzegi jeziora są puste, nie było ani namiociku, ani niebieskiej skody. Zapewne dowiedziawszy się, że tajemniczy dokument został skradziony, małżeństwo przeniosło się w inne strony. Nie zauważyłem także warszawy z trzema opryszkami; być może i oni zrezygnowali z poszukiwań skarbów.

Nauczyciel bezradnie rozłożył ręce:

- Nie potrafię. Staralem się i nie potrafię przypomnieć sobie, w jakiej wsi był zrujnowany dom pastora. Odbyłem dawną wędrówkę, wodząc palcem po mapie. Ale mapy moje nie są zbyt szczegółowe, a to była mała wioska.

Znowu więc spotkało mnie niepowodzenie. Rozczarowany powróciłem nad jezioro Pomorze, gdzie trzech harcerze przygotowali obiad. Byłem z siebie bardzo niezadowolony. Przyszło mi na myśl, że o liście Malinowskiego powinno się powiadomić milicję. To właśnie milicja, a nie my, była powołana do tego, aby zasiąść w zasadzce i oczekiwać na włamywacza. Ale list Malinowskiego skierowany był nie do mnie, a do Petersenów. Kozłowski, który opiekował się nimi, miał obowiązek zwrócić się do milicji w takiej właśnie sprawie. Mogłem oczywiście wsiąść w samochód i pojechać na posterunek MO w Gibach. Ale jak zostałoby to ocenione przez Petersenów? Wyglądałoby na to, że w konkurencyjnej walce z nimi uciekam się aż do najgorszych chwytów. Powierzono mi w zaufaniu informację o liście, a ja ją przekazuję milicji, nie uzyskawszy na to ich zgody.

Z niecierpliwością oczekiwałem nadejścia nocy. Gdy zaczęło szarzeć, pożegnałem chłopców i wsiadłem w swój wehikuł. Nie popłynąłem jednak przez jezioro. Minąwszy Giby, znowu znalazłem się w lesie i tutaj w odległości około półtora kilometra od ośrodka dziennikarzy, zobaczyłem kapliczką wspomnianą w liście Malinowskiego. Wyglądała ona dość oryginalnie: w starej złamanej przez wiatr sośnie zrobiono w pniu jakby głęboką niszę i wstawiono w nią figurę św. Antoniego. W tę niszę, znajdującą się mniej więcej na wysokości twarzy mężczyzny średniego wzrostu, należało włożyć zapłatę za dokument. Miejsce było dobrze wybrane, gdyż z tyłu za kapliczką rósł sosnowy zagajnik i Malinowski mógł niezauważenie podkraść się na jej tyły. Potem wystarczył mu tylko jeden krok i stawał się posiadaczem schowanych tam pieniędzy. Równie łatwo było mu włożyć tam stary dokument.

Zatrzymałem samochód i długo zastanawiałem się, gdzie zorganizować zasadzkę. Czy ukryć się w zagajniku za kapliczką? Wówczas jednak pole obserwacji stawało się bardzo ograniczone. A może należało położyć się na mchu po drugiej stronie drogi, naprzeciw kapliczki? Rósł tam rzadki sosnowy starodrzew, dołem zaś sterczały kępy jałowca. Właśnie za którymś z krzaków jałowca mogliśmy się skryć. Z tego miejsca powinniśmy zauważyć Malinowskiego, gdy będzie skradał się do kapliczki.

Po rozejrzeniu się w sytuacji, pojechałem do ośrodka dziennikarzy. Petersenowie akurat kończyli kolację i zaprosili mnie do swego domku na kołach.

Piękny był to domek, wygodny, znakomicie wyposażony. Oglądałem go z prawdziwą zazdrością, zawsze marzyłem, aby mieć coś takiego. Jakże przydałby mi się on w moich letnich wyprawach! Obszerny, z dwoma dużymi oknami, z dwoma składanymi tapczanami, stolikiem, kuchenką, ba, nawet miniaturową łazienką i prysznicem.

Kozłowski z zadowoleniem, jakby to on był właścicielem domku na kółkach, obserwował moje zachwycone spojrzenie.

- Ładnie tu, co? - kiwał głową. - Petersenowie mają ze sobą butlę ze sprężonym gazem, gazową kuchnię, a także gazowe ogrzewanie na wypadek, gdyby nadeszły chłody. Narzędzia i aparaty, które pan widzi w kącie, służą do poszukiwania skarbów. Są to różnego rodzaju specjalne detektory, wykrywające w ziemi metal i szlachetne kruszce. Oni mają nawet pneumatyczny świder do rycia dziur w twardym podłożu. A pan? - spytał mnie drwiąco.

- Ja mam tylko swój rozum - odrzekłem.

- No, rozumem pan nie robi dziury w skale lub w grubych murach. W zetknięciu z twardym materiałem stępi się pański dowcip. Przekona się pan o tym. I to niezadługo.

- O czym pan mówi, panie Kozłowski? - wtrąciła się Karen.

- Uważam, że to był bardzo głupi pomysł z tą zasadzką na Malinowskiego - powiedział. - Trzeba się było zdecydować: albo odrzucić całkiem propozycję Malinowskiego, albo też przyjąć ją i zapłacić za dokument. Za radą mister Samochodzika wybrano trzeci wariant: zasadzkę. Nie sędzę, aby Malinowski okazał się głupcem i dał się na to nabrać.

- Niech pan nie gada głupstw, Kozłowski - rozsierdził się kapitan Petersen. - Malinowskiego musimy schwycić w potrzask! Dostaję szału ze złości, kiedy myślę, że ten człowiek, być może, kręci się w tej chwili koło naszego domku, drwiąc sobie ze mnie. Zapewne niejedną raz był tu gdzieś w pobliżu, skoro podłożył list pod wycieraczkę naszego samochodu.

Powoli zapadała noc. Opowiedziałem Petersenom o miejscu zorganizowania zasadzkę. Kapitan także już obejrzał teren wokół kapliczki i przystał na propozycję ukrycia się za krzakami jałowca. Wycięliśmy z gazety kilka skrawków i włożyliśmy je do koperty. Miały naśladować banknoty, których żądał Malinowski.

Przypomniałem Petersenom i Kozłowskiemu o obowiązku poinformowania milicji o liście włamywacza.

- Uważam, że sami sobie poradzimy - kapitan Petersen uderzył pięścią w stół. - Nie

popelniamy żadnego przestępstwa, próbując schwycić złodzieja. Oddamy go potem w ręce władz. I proszę, nie dyskutujcie ze mną na ten temat. Ja muszę własnymi rękami ująć tego łobuza.

Przeprosiłem Petersenów i wyszedłem z ich domku na kółkach. Była dziesiąta wieczór, dwie godziny dzieliły nas od chwili, w której mieliśmy pozostawić w kapliczce okup za skradziony dokument.

Odwiedziłem domek campingowy, w którym mieszkała Anka. Ale nie zastałem jej. Znalazłem Ankę na przystani kajakowej, siedziała samotnie na drewnianym pomoście, z nogami zwieszonymi nad wodą.

Przykucnąłem obok niej. Chciałem powiedzieć, że jeśli rzeczywiście bardzo tego pragnie, mogę ją jutro zabrać do Malborka. Pod warunkiem, że zrezygnuje z umieszczania w swych reportażach osoby pana Samochodzika. Nie zdążyłem jednak zacząć rozmowy, bo za mną przyszła tu Karen.

- O Boże, jaka romantyczna para. Czy nie przeszkadzam? - zapytała.

Nie czekając odpowiedzi, także usiadła na pomoście z nogami zwieszonymi nad wodą.

- Mister Samochodzik - powiedziała - pan jutro wyjeżdża. Dokąd? Wyłóżmy swoje - „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”...

- Właśnie, jak pan rozumie te słowa?

- Sęk w tym, że nie wiem, jak je rozumieć - powiedziałem szczerze.

- „Tam skarb twój, gdzie serce twoje” - powtórzyła Karen. - Myśląc o tych słowach, pamiętajmy zawsze, że pisał je zakonnik do zakonnika. Gdzie powinno znajdować się serce zakonnika, jego myśli i uczucia?

- W Bogu - odrzekłem.

- Trudno posądzać wielkiego mistrza von Feuchtwangena, aby dawał do zrozumienia de Molayowi, że skarb ukrył w niebie. W pojęciu zakonników Bóg także przebywa w kościele. Moim zdaniem skarb templariuszy został ukryty w jakimś kościele i o tym właśnie Feuchtwangen powiadał de Molaya.

- Zgadza się - kiwnąłem głową. - Skarb ukryto w kościele. Mało tego. Musiał to być jakiś bardzo znany de Molayowi kościół, skoro Feuchtwangen nie udzielił żadnych bliższych wskazówek dotyczących miejsca jego położenia.

- Albo my tej wskazówki nie umiemy odnaleźć.

- Nie mamy żadnych danych, aby sądzić, że skarb w dalszym ciągu pozostaje w tym samym miejscu. Nie jest wykluczone, że po zabójstwie wielkiego mistrza von Orselna spiskowcy odnaleźli skrytkę.

- Och, nie! - zawołała Karen. - Taka sprawa nie dałaby się ukryć. Pozostałby po tym fakcie jakiś ślad w historii zakonu Krzyżaków. Skarb został tak ukryty, że dostęp do niego był utrudniony. Kolejni wielcy mistrzowie przekazywali sobie co najwyżej tajemnicę położenia skarbu, ale żaden, być może, nie oglądał go nigdy własnymi oczami. Von Orseln zaś zabrał tajemnicę do grobu.

- Spróbuję znaleźć jakiś ślad w Malborku - zdobyłem się na szczerość - lecz sądzę, że nie jest on tym miejscem, o które nam chodzi. Kościół w zamku malborskim został zniszczony podczas działań wojennych. To bardzo utrudni poszukiwania.

- Słyszałam, że jednak podziemia i dolne kondygnacje kościoła nie uległy zniszczeniu rzekła Karen. Więc jak będzie z nami, mister Samochodzik? Pojedziemy do Malborka jako wspólnicy?

- Tam nie ma skarbu templariuszy. Nie wolno zapominać, że skarb ukryto prawdopodobnie jeszcze przed przyjazdem Feuchtwangena do Malborka, gdzie pełno było obcych rycerzy, między innymi także i z Francji. W Malborku musiało roić się od szpiegów przeróżnych mocarstw. W takim miejscu byłoby czymś niezwykle trudnym ukryć skarb, którego tak pilnie poszukiwał król francuski. Gdybym był de Molayem lub Feuchtwangenem, powierzyłbym skarb jakiemuś leżącemu na uboczu, ale dobrze bronionemu i bezpiecznemu krzyżackiemu zameczkowi. Wyłożę swoje karty, panno Karen. Więc tak jak mówię, pojedę teraz do Malborka. Ale tylko po to, aby upewnić się, że tam nie ma skarbu. W zamku malborskim mieści się muzeum. Ludzie, którzy w nim pracują, lepiej niż ja orientują się w dziejach zakonu. Może uda mi się uzyskać od nich jakąś wiadomość, która skieruje mnie właśnie do któregoś z zamków czy kościołów krzyżackich?

- No cóż. Życzę panu powodzenia - powiedziała Karen.

Podniosła się z pomostu i skinąwszy mi głową, pomaszerowała do swego domku.

- Dlaczego zdradził jej pan swoje zamysły? – rzekła z wyrzutem Anka. - To piekielnie sprytna dziewczyna. Uzyskane wiadomości wykorzysta właśnie przeciw panu.

- Na to nie ma rady, skoro graliśmy w otwarte karty. Ona także powiedziała mi bardzo wiele. Kto wie? Może dzięki ternu, co od niej przed chwilą usłyszałem, trafię na

pierwszy ślad skarbu.

- Ależ ona nic takiego nie mówiła - zdumiała się Anka. - Przecież słyszałam każde słowo.

- Nie mówiła wprost. Ale to oczywiste, że ona sądzi, iż cała tajemnica mieści się w zdaniu: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. Do tej pory byłem skłonny traktować je jako coś w rodzaju hasła lub metafory. Kto wie jednak, czy właśnie Karen nie ma racji. Może to zdanie zawiera całą tajemnicę, wszystkie wskazówki. Tylko trzeba je w nim odnaleźć. Zamiast jeździć z miejsca na miejsce i opukiwać mury krzyżackich kościołów, może lepiej położyć się na trawie i nieustannie rozmyślać nad tym zdaniem? Należy spróbować ułożyć anagram z pierwszych liter poszczególnych wyrazów zdania. A może właśnie z ostatnich liter? Może należy je odczytać wspak? Średniowiecze lubowało się w tego rodzaju szyfrach, a w układaniu ich celowali właśnie templariusze.

- Boże drogi! - złapała się za głowę Anka. - I pan będzie tak ciągle rozmyślał o tym zdaniu? Czy nie obawia się pan, że pewnego dnia przewróci się panu w głowie i mrużąc nieustannie słowa: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”, trafi pan do szpitala dla nerwowo chorych?

- To dość prawdopodobne - roześmiałem się. - We Francji podobno bardzo wiele ludzi zwariowało na tym tle. Dziesiątki przeróżnego rodzaju maniaków próbuje odnaleźć skarb templariuszy. Mam nadzieję, że u mnie jednak zwycięży zdrowy rozsądek.

- Zdrowy rozsądek każe rzucić tę sprawę i nie zaprzętać sobie nią głowy. W przeciwnym razie do francuskich maniaków przybędzie jeszcze jeden, z Polski.

- Niech pani będzie spokojna o moją głowę. Jest pewna zasadnicza różnica między mną a tamtymi maniakami. Nimi kierowała obłądana wizja nieprzebranych skarbów, które chcieli osiąść, aby się nimi wzbogacić. A to właśnie u słabszych psychicznie jednostek mogło doprowadzić do rozstroju nerwowego. A ja? Mnie nie chodzi o skarb templariuszy jako o ogromne bogactwo, które mogę osiąść. Jeśli skarb odnajdę, przekażę go państwu. Sprawę poszukiwań traktuję jako rozrywkę, gimnastykę umysłu, sprawdzian swojej inteligencji i wiedzy, coś w rodzaju ciekawej szarady. A jakoś nie słyszałem, aby czytelnicy „Szaradzisty” trafiali do domu wariatów z powodu rozwiązywania krzyżówek.

Spojrzałem na zegarek. Było już po jedenastej. Zbliżała się pora, w której mieliśmy zastawić pułapkę na Malinowskiego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W ZASADZCE – CO ODKRYLIŚMY W STAREJ KAPLICZCE? – KTO NOSI CZAPKĘ NIEWIDKĘ? – CZŁOWIEK NA PÓŁWYSPIE – CZY MYSIKRÓLIK JEST MALINOWSKIM? – ROZMOWA O JAĆWINGACH

Nadeszła północ. Ośrodek wypoczynkowy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich pogrążony był we śnie. Nie paliło się światło w żadnym domku campingowym, znikąd nie dochodził szmer rozmów. Po cichutku wymknęliśmy się z domku kapitana Petersena i gęsiego - na przodzie Petersen, potem ja, a na końcu Kozłowski - ruszyliśmy leśną drogą w stronę kapliczki.

Było bardzo ciemno, bo księżyc skrył się za chmurami. Droga odcinała się w mroku jaśniejszą smugą i to ułatwiało wędrówkę. Dookoła jednak mrok wydawał się nieprzenikniony, nie widziało się dalej niż na kilka metrów.

Kapitan Petersen włożył za figurę w kapliczce białą kopertę wypchaną ścinkami z gazety. Potem bardzo ostrożnie, aby nie trzaskały gałązki, ukryliśmy się za dużym krzakiem jałowca. Mimo gęstej ciemności kapliczka rysowała się przed nami bardzo wyraźnie, gdyż stała po drugiej stronie drogi, a więc w miejscu, gdzie stosunkowo było najwidniej. Położyliśmy się na mchu jeden obok drugiego, aby w wypadku, gdy któryś z nas zauważy coś podejrzanego, można się było porozumieć bez słów, tylko za pomocą dotknięcia. Dłonie podłożyliśmy pod brody i w takiej pozycji, leżąc, spoglądaliśmy na kapliczkę i mroczną ścianę zagajnika.

Czas mijał bardzo powoli. Tuż koło swego policzka miałem przegub ręki z zegarkiem o fosforyzujących wskazówkach. Od czasu do czasu spoglądałem na zegarek i widziałem podskakującą wskazówkę sekundnika. Minuty wlokły się wolno, a wskazówka godzin jak gdyby wciąż stała w tym samym miejscu. Nie sądziliśmy jednak, aby oczekiwanie na przyjsie Malinowskiego było zbyt długie; około trzeciej zaczynało świtać, do tej pory złoczyńca powinien był się zjawić, aby zabrać kopertę z pieniędzini. A ściślej: jeśli był człowiekiem sprytnym, należało sądzić, że zrobi to między pierwszą a drugą w nocy. O piątej nad ranem, jak nas zapewnił w liście, mogliśmy przyjsć po dokument złożony w kapliczce w zamian za pozostawione pieniądze.

Około pierwszej niebo oczyściło się z chmur, noc stała się widna, pełna zielonkawego blasku. Widziałem wyraźnie drogę leśną, kapliczkę w wydrążonym pniu drzewa, a za nią ciemną ścianę zagajnika. Było tak jasno, że dostrzeżliśmy lisa bezszelestnie przebiegającego przez drogę. Malinowski musiałby włożyć czapkę niewidkę, aby zbliżyć się do kapliczki w sposób dla nas niedostrzegalny.

Potem zerwał się leciutki wiaterek i począł szeleścić w konarach drzew. Te przeróżne nocne szelesty, szmery i trzaskania gałązek, spowodowane przez podmuchy wiatru, sprzyjały Malinowskiemu, jeśli właśnie teraz skradał się w kierunku kapliczki. Z drugiej jednak strony okazały się korzystne także i dla nas, głużyły bowiem ziewanie Kozłowskiego i głośne posapywania kapitana Petersena.

Wyznaję, że to oczekiwanie w zasadzce już wkrótce bardzo mi się znudziło. W nogi, w brzuch i w piersi uwierały mnie gałązki i szyszki, od czasu do czasu wierciłem się i próbowałem znaleźć dogodniejsze leże, czym powodowałem szelest. To samo było z Petersenem i Kozłowskim. Na szczęście, jak powiadam, był lekki wiatr i głużył te wszystkie szmery. Powieki miałem ciężkie i raz po raz zakrywały mi senne oczy, musiałem się szczytać, żeby nie zasnąć i nie przegapić przyjścia Malinowskiego. Kozłowski zresztą zasnął i zaczął chrapać, zbudziło go dopiero szturchnięcie Petersena.

Minęła pierwsza w nocy. Później druga. I wreszcie trzecia godzina. W lesie zrobiło się szaro, a wraz z tą szarością zaczęła opadać rosa i powietrze stało się bardzo chłodne. Było nam zimno, od nieruchomego leżenia w tej samej pozycji zdrętwiały nam nogi i plecy. A Malinowski wciąż nie nadchodził...

Dużo bym dał za to, żeby, zamiast w lesie na zimnym mchu, leżeć teraz w swym samochodzie albo na materacu w namiocie. Chciało mi się zapalić papierosa i to samo pragnienie odczuwał chyba także Petersen, który był namiętym palaczem fajki. Coraz częściej niespokojnie wiercił się na swoim legowisku.

O czwartej nad ranem Kozłowski podniósł się z trawy i powiedział:

- Mam tego dosyć. To był wariacki pomysł. Ktoś nas nabrał. Nikt nie przyszedł po pieniądze...

Kozłowski podszedł do kapliczki. Zajrzał za figurę, gdzie w białej kopercie położyliśmy skrawki gazety imitujące banknoty.

- Boże drogi! - zawołał. - Tu jest jeszcze jedna koperta!

- Co takiego? - kapitan zerwał się z mchu. Ja także podbiegłem do kapliczki.

Okazało się, że Kozłowski trzyma w ręku aż dwie koperty. Pierwsza - to była ta ze skrawkami gazety. A na drugiej napisano po polsku:

Jaśnie wielmożny pan Petersen

Te same bazgroły, co w liście od Malinowskiego.

- To do pana - stwierdził Kozłowski i podał list Petersenowi.

Kapitan otworzył kopertę i wyjął z niej krótki liścik, a potem oderwany od jakiejś większej całości skrawek pergaminowego dokumentu, zapisanego pięknym łacińskim pismem. Na skrawku dokumentu widniała pieczęć zakonu templariuszy.

- Niech pan przeczyta ten list. Jest napisany po polsku - rzekł Petersen i wręczył mi tajemniczy liścik. Przeczytałem głośno, tłumacząc na angielski:

Szanowny Panie! Próbował mnie Pan oszukać, robiąc na mnie zasadzkę koło kapliczki i zamiast pieniędzy, pozostawiając w niej skrawki gazety. Powinienem obrazić się i zerwać wszelki kontakt z Panem, ale doszedłem do wniosku, że po prostu nie miał Pan do mnie zaufania i nie docenił Pan mego sprytu. Jako dowód, że może mi Pan zaufać, przekazuję Panu ćwiartkę dokumentu, którego Pan szuka. Resztę tego dokumentu otrzyma Pan jutro o tej samej porze, jeśli o dwunastej w nocy położy Pan pieniądze za figurą w tej kapliczce. Za karę jednak, że chciał mnie Pan schwytać w pułapkę, podnoszę stawkę z trzech tysięcy do pięciu tysięcy złotych. Oświadczam, że jeśli znowu spróbuje mnie Pan oszukać i zaczai się Pan koło kapliczki, będę o tym wiedział i zerwę wszelkie kontakty z Panem. Nigdy już nie uzyska Pan poszukiwanego dokumentu.

Malinowski

Gdy skończyłem czytanie listu, zapadła między nami długa chwila ciszy. Było nam strasznie głupio, że daliśmy się wystrychnąć na dudków. Prawie cztery godziny leżeliśmy w pułapce z oczami wlepionymi w kapliczkę, a tymczasem Malinowski zbliżył się do niej i stwierdził, że w kopercie są nie pieniądze, lecz skrawki gazety. Mało tego - potem odszedł od kapliczki, gdzieś w ukryciu napisał list i przyniósł go z powrotem. Znowu na naszych oczach.

- On chyba miał czapkę niewidkę - powiedziałem.

- Och, Malinowsk!, Malinowski - jęknął kapitan Petersen i zacisnął pięści w bezsilnej złości. Kozłowski triumfował:

- A mówiłem, żeby iść z nim na ugodę? Posłuchaliśmy pana Samochodzika i

Malinowski podniósł stawkę do pięciu tysięcy złotych. Straciliśmy dwa tysiące złotych przez czyjeś głupie rady. I co teraz?

Petersen wzruszył ramionami:

- Jeszcze nie wiem, co zrobię. Trzeba się naradzić z Karen.

Poszliśmy do ośrodka dziennikarzy. Czułem się fatalnie i szedłem ostatni, bo wstyd mi było na myśl, co powie Karen, gdy przeczyta list Malinowskiego. Tajemniczy pan Malinowski okazał się stokroć sprytniejszy od nas wszystkich. A oprócz sprytu miał do dyspozycji jakieś tajemnicze siły, które pozwalały mu być niewidocznym.

- Tfu - splunąłem jak przesadna kumoszka - to jakiś diabeł nie człowiek.

- Wierzy pan w diabły? W czary i w duchy? - spytał Petersen.

- Do tej pory nie wierzyłem. Ale przecież tylko czarami można wytłumaczyć fakt, że na naszych oczach Malinowski podłożył list - stwierdziłem z ironią.

- Po prostu zasnął. Wszyscy trzej - rzekł Kozłowski. - I nikt z nas nie zauważył, że śpimy. A w tym czasie Malinowski zbliżył się do kapliczki.

Karen była tego samego zdania. Obejrzała skrawek dokumentu, Kozłowski przeczytał jej list od Malinowskiego. Powiedziała z drwiną:

- Malinowskiemu dam pięć tysięcy i napiszę do niego liścik z propozycją współpracy przy szukaniu skarbów. To zdaje się człowiek wart znacznie więcej niż cała wasza trójka, moi mili panowie. Pospaliście się jak suszy. Miętko było na mchu, prawda?

- Nie zasnąłem ani na moment. Słowo honoru - Petersen tłumaczył się przed córką jak sztubak.

Było oczywiste, że mu nie wierzyła. Więc ja nawet nie próbowałem jej wyjaśniać, że także nie spałem i zupełnie nie rozumiem, w jaki sposób Malinowski niespostrzeżenie zbliżył się do kapliczki. I to dwukrotnie.

Obejrzeliśmy skrawek dokumentu podłożony przez Malinowskiego. I tym razem okazał się on bardzo sprytny. Z tego skrawka trudno było się zorientować, czy cały dokument przedstawia dla nas jakąkolwiek wartość.

- Pozwolicie, panowie, że teraz ja zadecyduję o dalszych naszych postępkach - stwierdziła Karen. - Zakazuję wszelkich pułapek. Ja sama położę w kapliczce pięć tysięcy złotych i sama pójdę potem odebrać resztę dokumentu. Jestem pewna, że jeśli my postąpimy lojalnie wobec Malinowskiego, to i on nas nie oszuka. Otrzymamy tajemniczy dokument. Na

przyszłą noc panowie będą łaskawi pozostać z daleka od kapliczki.

- O, ja będę nawet bardzo daleko - powiedziałem. - Mam dosyć tego wszystkiego. Jeszcze dziś wyjeżdżam do Malborka.

- Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje ostatni - zadrwiła Karen. - Śmiał się pan z Malinowskiego, a teraz on drwi sobie z pana.

- Nigdy się z niego nie śmiałem - rzekłem. - Nie mam poczucia humoru, jeśli chodzi o złodziei. Nie budzą we mnie śmiechu, ale gniew. Jeśli państwo chcą jeszcze raz wysłuchać mej rady, to powiem: oddajcie sprawę milicji.

- Nie! - Karen aż nogą tupnęła. - Dość mam takich rad, już lepiej niech pan jedzie do Malborka. Wzruszyłem ramionami i powiedziałem sucho:

- Do widzenia państwu.

Poszedłem do swego wehikułu. Dogonił mnie Petersen i położył mi dłoń na ramieniu.

- Niech się pan na nas nie gniewa, mister Samochodzik. Podzielam pańskie zdanie, ale tym razem muszę ulec córce. W przyszłości jednak połączymy swoje siły, aby schwytać Malinowskiego. Myślę, że w tej sprawie mogę na pana liczyć, prawda?

- Tak jest - przytaknąłem.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Petersen wrócił do córki, a ja wsiałem do wehikułu, wjechałem w jezioro i popłynąłem do obozowiska harcerzy. Wyznaję, że słowa Karen bolały mnie i piekły jak oparzenie. Malinowski - włamywacz i bezczelny oszust - zatriumfował nade mną i nie mogłem nie myśleć o tym bez irytacji.

Mój powrót zbudził harcerzy. Wypełzli z namiotu i obścąpili mnie, ale moja niewesoła mina od razu powiedziała o kłęsce. W krótkich słowach wyjaśniłem, co stało się koło kapliczki.

- Przysięgam, że nie spałem. Ani na chwilę nie zmrużyłem oka - mówiłem.

Sokole Oko podniósł do góry swój wielki nochal i wietrzył nim w powietrzu jak ogar.

- To bardzo tajemnicza historia. Czy znalazł pan jakieś ślady koło kapliczki?

- Nawet nie szukałem. To przecież las i leśna droga. Tam nie mogło być żadnych śladów.

- Może trzeba było zagrabieć teren wokół kapliczki? Wówczas na ziemi byłby widoczny każdy ślad. Słyszałem, że tak właśnie robią żołnierze WOP-u strzegący naszych granic - mówił Sokole Oko.

Wiewiórka był innego zdania:

- To wszystko przez to, że nas pan z sobą nie zabrał. Ukryłbym się w gałęziach drzewa przy kapliczce i z pewnością zauważyłbym Malinowskiego!.

Najpoważniej, jak zwykle, ustosunkował się do tej sprawy Wilhelm Tell. Zapytał:

- I co ma pan zamiar zrobić? Wzruszyłem ramionami.

- Po południu wyruszamy do Malborka. Nic tu po nas, moi drodzy. Byli zdumieni.

- Panie Samochodzik! - zawołał Sokole Oko. - Przecież nie pozwoli pan, aby ten oszust zabrał pieniądze Petersenów?

- Pan chce, żeby złodziej zatriumfował nad uczciwymi ludźmi? - oburzył się Wiewiórka. Bezradnie rozłożyłem ręce.

- Panna Karen zabroniła robienia następnej pułapki. Przyrzekłem się do tego zastosować. Ona chce mieć dokument i godzi się za niego zapłacić. Nie mogę jej w tym przeszkodzić, bo gotowa pomyśleć, że nie tyle zależy mi na schwytaniu złodzieja, ile na tym, aby ona nie uzyskała dokumentu. Nie widzę innego wyjścia z sytuacji, jak zwinąć manatki i odjechać do Malborka. Jestem pewien, że prędzej czy później Malinowski wpadnie w nasze ręce. On z pewnością nie opuści Petersenów, licząc, że może znowu uda mu się wyciągnąć od nich pieniądze. Łotr stał się ostatnio bardzo zuchwały. I to go w końcu zgubi.

Zrozumieli, że mam rację. Nie pozostało nam nic innego, jak zrezygnować tymczasem z próby schwytania włamywacza. Wyjazd do Malborka wyznaczyłem na dwunastą w południe, a zbliżała się dopiero szósta rano. Wlazłem do swego samochodu, przebrałem się w pidżamę i nakryłem kocem. Skoro miałem prowadzić samochód aż do Malborka, należał mi się wypoczynek po nie przespanej nocy.

Chłopcy nie poszli spać. Nad brzegiem jeziora rozpoczęli generalne mycie, potem ubrali się w swoje harcerskie mundurki i przygotowali śniadanie.

Mimo zmęczenia nie mogłem zasnąć. Przeszkadzało mi jaskrawe światło poranku wpadające przez szyby samochodu. Leżąc obserwowałem chłopców krzątających się nad jeziorem i przez uchylone okienka słyszałem każde ich słowo. Myśleli, że śpię, zachowywali się więc swobodnie, a w takich razach najłatwiej chyba poznać czyjś charakter.

Oto Sokole Oko, czyli po prostu Piotruś. Długi nos i bystre, ciekawe oczy. Wszedł do jeziora z mydłem w ręku i ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Na piaszczystym dnie zobaczył jakieś ruchliwe żyjątko. Więc zamiast myć się, przybliżył twarz do lustra wody i

śledził zachowanie się żyjotka, dopóki woda nie sięgnęła mu do nosa. Wtedy, zrezygnowawszy z obserwacji, wrócił do brzegu i zabrał się do mycia.

„Kim będzie kiedyś Sokole Oko? - zastanawiałem się. - Może naukowcem? Nie, ma na to za mało cierpliwości. Jego umysł jest bardzo dociekliwy, logiczny. Sokole Oko posiada i spryt, i ciekawość, ale brakuje mu cierpliwości. Co innego Wilhelm Tell. Ten jest poważny, spokojny, dojrzały jak na swój wiek. Chce być lekarzem tak jak jego ojciec. A jeśli zostanie lekarzem, chory będzie mógł mieć zaufanie do jego diagnozy. Najbardziej dziecinny z nich jest Wiewiórka. Ruchliwy, wesoły, ciągle coś pogwizdujący pod nosem, nieustannie rozglądający się po wierzchołkach drzew, jakby jedynym jego prawdziwym marzeniem było wspinać się na najwyższe drzewa i stamtąd obserwować świat. Może w przyszłości zapragnie dostać się na najwyższe szczyty górskie? Albo inaczej - zechce poznać to, czego nikt jeszcze przed nim nie poznał. Stanie się odkrywcą białych plam na mapie nauki?”

- Chciałbym już być dorosły - powiedział Sokole Oko wychodząc z wody. - Wstąpiłbym do szkoły oficerskiej milicji i pracowałbym w służbie kryminalnej. Zająłbym się oszustami w rodzaju Malinowskiego. Stałbym się ich postrachem. Drżeliby na dźwięk mojego nazwiska.

- Nie chwal się - rzekł Wilhelm Tell. - Na razie Malinowski śmieje się z nas wszystkich. Pan Samochodzik jest sto razy sprytniejszy od ciebie, a jednak Malinowski go wykiwał. Co do mnie, to nie chciałbym być szybko dorosłym.

- Nie? - zdumiał się Wiewiórka. - A dlaczego? To przyjemnie być dorosłym. Pracowałbym w gazecie jak pani Anka, jeździłbym na kraniec świata i pisałbym reportaże o tym, jak tam ludzie żyją.

- Naucz się najpierw pisać wypracowania. Robisz ciągle błędy ortograficzne. Naczelnny redaktor wyrzuciłby dziennikarza, który robi byki - śmiał się Sokole Oko. - Tell ma trochę racji. Nie warto od razu być dorosłym. Gdybyśmy byli dorośli, mielibyśmy swoje poważne zajęcia i nie moglibyśmy jeździć z panem Samochodzikiem.

- Dlaczego? Gdy zostanę dorosłym, zrobię taki sam wehlkuł, jak ma pan Samochodzik. I też będę jeździł szukać przygód.

- Eee - machnął ręką Wilhelm Tell. - Ty chciałbyś być wszystkim naraz: antropologiem, dziennikarzem, panem Samochodzikiem. Jak bądziesz chciał być wszystkim naraz, to nie zostaniesz niczym, rozumiesz?

- Dorośli bardzo rzadko przeżywają takie przygody jak pan Samochodzik - stwierdził Sokole Oko. - Nie mają na to czasu. Mój ojciec pracuje jako majster w fabryce bawełnianej. Interesują go tylko maszyny. W domu ciągle mówi o swoich maszynach...

Pomyślałem, że, być może, Sokole Oko wcale nie będzie ani naukowcem, ani oficerem śledczym, jak to sobie wyobraża. A zostanie właśnie tym, czym jego ojciec: majstrem w tkalni. Lub inżynierem w fabryce wyrobów bawełnianych.

I nagle, podczas najbardziej gorącej debaty na temat maszyn tkackich Wiewiórka zawołał łamaną, angielszczyzną, tonacją głosu naśladowując kapitana Petersena:

- Are you perhaps mister Malinowsky?

Chłopcy parsknęli śmiechem. A gdy śmiech umilkł, Tell rzekł:

- Coś mi się wydaje, że my z siebie się śmiejemy. Bo jak do tej pory to Malinowski jest górą. Pod naszym nosem włamał się do domku nauczyciela i ukradł dokument templariuszy. Pana Samochodzika też zdołał wykiwać.

- Nie mów takich rzeczy! - oburzył się Sokole Oko. - Pana Samochodzika nikt nie zdoła wykiwać. Jeśli nie zauważył Malinowskiego skradającego się do kapliczki, to tylko dlatego, że on ciągle rozmyśla, co znaczą słowa: „Tam skarb, gdzie serce twoje”. To jest przecież klucz do zagadki.

- „...gdzie serce twoje”. Nic z tego nie rozumiem - westchnął Wiewiórka.

Ja również nic nie rozumiałem. Zasypiając, powtarzałem w myślach: „...gdzie serce twoje”... „serce twoje”... „serce twoje”... Jak zza grubej ściany słyszałem głos Tella:

- Powinniśmy pomóc panu Samochodzikowi. Malinowski zapewne ukrywa się gdzieś w tej okolicy. Nieprawdopodobne jest, aby chłopcy z Miłkokuku nie zauważyli kogoś obcego kręcącego się nad jeziorem. Trzeba będzie pójść do wsi i z nimi porozmawiać.

Chciałem się zerwać z posłania i zabronić chłopcom oddalania się od naszego obozu, bo przecież o dwunastej mieliśmy wyruszyć do Malborka. Ale oświadczył mi sen.

Kiedy zbudziłem się, było już po dwunastej. Na trawie obok samochodu leżała sarta przygotowanych przez chłopców pakunków: zrolowane koce, zwinięte materace, zapakowany do torby namiot. Na klamce wehikułu wisiała kartka:

Nie chcieliśmy pana budzić, ale odkryliśmy coś interesującego. Proszę iść za znakami harceiskim.

Trzej Jaćwingowie

- No taaak - mruknąłem niechętnie - znowu się coś zaczyna.

Rad nierad pośpiesznie ubrałem się i zacząłem w trawie koło samochodu szukać pierwszego znaku.

Był. Strzałka ułożona z patyczków wskazywała kierunek wzdłuż krętego brzegu jeziora. Nieco dalej odkryłem na piasku wyrysowaną strzałkę z podwójnym ostrzem. Ten znak mówił: „Idź szybciej”.

Poszedłem więc szybciej, aż znalazłem się na wąskiej ścieżynce wspinającej się na stromy i wysoki brzeg jeziora. Rósł tutaj las sosnowy, na grubym pniu drzewa wisiała karteczka, a na niej wyrysowano długą kresczkę przeciętą w dwóch miejscach przez dwie prostopadłe krótkie kreski. Taki znak informował: „Idź wolno i ostrożnie”.

Posłusznie zwolniłem kroku. Ścieżka wciąż biegła wzdłuż brzegu jeziora. Raptem urwała się, teren przecinał dość płytki jar, w którym do jeziora spływał zamulony strumień. Ten sam, w którym uwiązał samochód Petersenów. Na pniu olszyny znowu dostrzegłem kartkę z wyrysowaną na niej zygzakowatą linią przeciętą prostopadłe dwoma kreskami. Pamiętam, co oznaczał tego rodzaju rysunek: „Woda do przejścia, bród, mielizna”.

„Wygłupiają się moi Jaćwingowie - pomyślałem. - Wystarczy spojrzeć na strumyczek, aby widzieć, jak bardzo jest płytki”.

Zdjąłem buty, zawiąłem nogawki spodni i brnąc w wodzie po kostki, przeszedłem na drugą stronę. Tu znowu wspiąłem się na stromy brzeg i znalazłem kartkę. Był na niej nakreślony duży prostokąt, a w nim mniejszy prostokąt. Kartka mówiła: „Czekać tu”.

Czekałem. Pięć minut. Dziesięć. Piętnaście. Już miałem zamiar ruszyć dalej, gdy jak spod ziemi wyrósł przede mną Wilhelm Tell.

- Cicho! - szepnął, kładąc palec na ustach.

Usiadł obok mnie na trawie i szeptał do ucha:

- O pięćdziesiąt metrów dalej zaczyna się niski półwysep wchodzący w jezioro. Mieszka tam w zielonym namiociku ubrany w skórzany strój motocyklista z junokiem, czyli Mysikrólik. Powiedzieli nam o nim chłopcy z Miłkokuku. Może to jest Malinowski? Właśnie przed chwilą zwinął swój obóz, namiot wsadził do torby i uwiązał go na bagażniku motocykla. Ale nie wyrusza w dalszą drogę, tylko siedzi na zwałonym pniu drzewa, od czasu do czasu spogląda na zegarek, jak gdyby kogoś oczekiwał.

Skinałem głową na znak, że wyjaśnienia uważam za wystarczające. Teraz Tell

poprowadził mnie w kierunku półwyspu. Zeszliśmy ze ścieżki i przedzieraliśmy się przez krzaki na brzeg jeziora. Teren wciąż jeszcze był wysoki, potem urywał się prostopadle, podobnie jak obok strumienia. Dalej rozciągał się zarośnięty olszynami półwysep. W krzakach na brzegu leżeli: Sokole Oko i Wiewiórka. Położyliśmy się z Tellem obok nich, bo miejsce to nadawało się doskonale do obserwacji całego półwyspu. Natychmiast dostrzegłem opartego o pień olszyny czarnego junaka. Nieco dalej, na zwalonym pniu drzewa, tuż przy wodzie siedział młody mężczyzna w skórzanym uniformie motocyklisty. Patrzył w stronę drugiego brzegu jeziora, tam gdzie widniały kolorowe domki ośrodka wypoczynkowego dziennikarzy.

Motocyklista niecierpliwił się. Spojrzał na zegarek, potem zapalił papierosa, znowu spojrzął na zegarek. Nagle poderwał się z pnia i stojąc, pilnie spoglądał w stronę drugiego brzegu. A właśnie od drugiego brzegu odbił niebieski kajak, w którym siedziały dwie osoby. Na widok kajaka motocyklista zgasił papierosa i cofnął się w głąb półwyspu, kryjąc się w krzakach olszyn tak, aby nadpływający go nie zauważyli.

Wkrótce rozpoznałem, że wiosłuje tylko jedna osoba: mężczyzna siedzący z tyłu. Na przodzie zobaczyłem kobiutę z plecakiem. Tak, to była Anka, a wiosłował dziennikarz, który tak wyśmiewał się z mego wehikułu.

Jeszcze chwila i kajak utknął w przybrzeżnym piasku. Anka wyskoczyła na brzeg.

- Serdecznie dziękuję za przewiezienie. Do widzenia - powiedziała żegnając tego, który ją przywiózł.

Dziennikarz zawrócił kajakiem na jeziorze i popłynął z powrotem do ośrodka. A Anka chwilę stała niezdecydowana na końcu półwyspu i rozglądała się na wszystkie strony. Wreszcie usiadła na zwalonym pniu drzewa i zapaliła papierosa. Dopiero teraz wyszedł z krzaków Mysikrólik i zbliżył się do niej. Podali sobie ręce i mówili z sobą tak cicho, że słyszeliśmy tylko szmer ich głosów. Potem Anka wstała i razem podeszli do ukrytego w krzakach junaka. Mysikrólik chwycił kierownicę motocykla i wyprowadził go na ścieżkę. Anka zajęła miejsce na tylnym siodełku. Mysikrólik zapuścił motor.

Minęła chwila i motocykl odjechał, podskakując na wystających z ziemi korzeniach olszyn. Zniknął nam z oczu za zakrętem ścieżki, jeszcze tylko jakiś czas słyszeliśmy łoskot silnika, coraz bardziej cichnący.

- Umówili się tu z sobą. Pani Anka i Mysikrólik - powiedział Sokole Oko.

- Ona nigdy nie mówiła nam, że zna Mysikrólika - stwierdził z goryczą Wiewiórka. -

To zapewne jest ów Malinowski. A ona pozostaje z nim w spółce.

- Prowadziła z nami nieuczciwą grę. Od samego początku - oburzał się Tell.

- Nie, chłopcy - przecząco pokręciłem głową.- Nie wolno być aż tak podejrzliwym. Nie mamy żadnych danych, aby sądzić, że to Malinowski. W tej okolicy dużo się kręci turystów. Może to po prostu narzeczony albo sympatia pani Anki?

- Narzeczony? Sympatia? - ironizował Sokole Oko, - A dlaczego nie przyjechał do ośrodka, tylko czekał na nią po drugiej stronie jeziora? Dlaczego on schował się w krzaki, aby go nie zauważył dziennikarz, który ją przywiózł kajakiem?

Wzruszyłem ramionami.

- Naprawdę nic z tego nie rozumiem. Wyznaję, że mam dosyć tych wszystkich tajemniczych historii. Chciałbym nareszcie wypłynąć na czyste wody i zająć się tylko jedną zagadką: skarbami templariuszy. Wracamy do obozu, chłopcy - rozkazałem.

Zdecydowałem opóźnić termin wyjazdu. Jeszcze wykąpaliliśmy się w jeziorze, bo panowała spiekota, jeszcze opalaliśmy się na brzegu jeziora. Podczas przyrządzania obiadu na spirytusowej maszynie spytałem chłopców:

- Dlaczego nazwaliście się Jaćwingami?

- Bo pan powiedział, że to było tajemnicze plemię - wyjaśnił Tell.

- A my chcemy być tajemniczy - dodał Wiewiórka. Roześmiałem się:

- Jaćwingowie nie byli tajemniczy dla ludów sobie współczesnych. Stali się tajemniczy dla nas, gdyż zostali wytępieni przez Krzyżaków, a nie pozostawili po sobie niemal żadnych źródeł pisanych. Dziś o nich niewiele wiemy i dlatego wydają się nam tajemniczy.

- Oni mieszkali tutaj nad tym jeziorem? W tych lasach? - spytał naiwnie Wiewiórka, rozglądając się wokół.

— Tak. Być może i nad tym jeziorem, w tych lasach. Bo to są wszystko tereny zamieszkane ongiś przez plemię Jaćwingów. Ziemie te były objęte w dawnych wiekach nazwą Prus. To przeciw tym pogańskim Prusom sprowadzono do Polski rycerzy zakonnych Najświętszej Marii Panny.

. Czy Jaćwingowie długo opierali się Krzyżakom?

- Ich nieszczęście polegało na tym, że nie zdołali oni jeszcze wytworzyć samodzielnego państwa, jak na przykład sąsiadujący z nimi Polacy czy Rusini, a potem Litwini w czasach Mendoga. Jaćwież stanowiła w tych czasach jakby zespół włości, z których każda była czymś w

rodzaju samodzielnego państewka, z naczelnikiem grodu wybieranym na wiecach przez zamożniejszych Jaćwingów. Ten brak jednolitej centralnej władzy fatalnie potem odbił się na ich losach. Byli bardzo bitni, odważni, śmiały aż do szaleństwa, ale mieli przeciw sobie niemal całą Europę, bo papież Aleksander IV ogłosił przeciw nim krucjatę. Od zachodu uderzył na nich zakon krzyżowy, wspierany przez rycerzy z całej Europy, od południa atakowali ich książęta włodzimiersko-haliccy, a także polscy książęta mazowieccy. Albowiem wedle ówczesnych pojęć walka z poganami była „sprawą świętą”. Pół wieku bronili się Jaćwingowie przed nawałą. Taktyka ich walki polegała na czymś w rodzaju partyzantki: unikali bitwy w otwartym polu, lecz nękali przeciwnika, wypadając nagle z gąszczów leśnych w chwilach jego wypoczynku lub podczas marszu. Ale musieli ulec przeważającej potędze. W krwawej walce oddawali Krzyżakom osadę po osadzie, plemię po plemienu. Rok 1283 to data ostatecznego opanowania Prus przez Zakon. W tym to czasie wedle z góry opracowanego planu Krzyżacy systematycznie wyniszczali ludność tubylczą, paląc ich osady, a ludzi zabijając bądź też wysiedlając w głąb krzyżackiego państwa. Tam gdzie dawniej były siedziby Jaćwingów, plemienia liczącego pięćdziesiąt tysięcy ludzi - pozostała już tylko bezludna puszcza, którą Zakon chciał oddzielić swe państwo od Polski, Litwy i Rusi. Przez kilka wieków na pogorzeliiskach dawnych osad rósł tylko las, coraz gęstszy i bardziej dziki. Od czasu do czasu ostrożnie zapuszczały się na te ziemie grupki myśliwych z Mazowsza, zaglądali tutaj chłopcy w poszukiwaniu paszy, od czasu do czasu bezludną puszcę przecinał oddział wojskowy: krzyżacki, polski lub litewski.

- Czy wszyscy Jaćwingowie wyginęli? Co do jednego? - pytał Wiewiórka.

- Spora grupa Jaćwingów uszła na Litwę i na Ruś, nawet do Moskwy, gdzie dała początek kilku rodom bojarskim. Część ludności przesiedlili Krzyżacy w okolice Dzierzgonia, Pasłęka i Iławki, ale głównie na Półwysep Sambijski. Jeszcze do XVI wieku Jaćwingowie zachowali tam swój język, swoje obyczaje i ubiór. Być może zresztą, że tu i ówdzie, w najgłębszych komyszach leśnych i matecznikach, ocalały jakieś wioski Jaćwingów. W ostatnich latach pilnie śledzą te sprawy nasi naukowcy, językoznawcy i archeologowie, szukając śladów po Jaćwingach w mowie zamieszkujących tu ludzi, rozkopując stare cmentarze i zniszczone przez Krzyżaków dawne gródki.

- A potem? Co było potem? - rozpytywali chłopcy.

- Najpierw z początku bardzo nieśmiało, a później coraz większą falą, zaczęli tutaj ściągać chłopcy z Mazowsza, czyli Mazurzy. A po upadku państwa krzyżackiego, już w drugiej

połowie XVI wieku, ziemie te królowie polscy nadali magnatom, kościołom i klasztorom, które osiedliły tu chłopów-osadników, rzemieślników. Powstały osady takie, jak Augustów, Sejny, Suwałki, Krasnopol i inne. Przybyło tu także wiele drobnej szlachty. Ludzie karczowali puszcze, a na ziemi wydartej lasom znowu zaczęło się kołysać zboże.

- Lasy dookoła nas to resztki owej słynnej Wildnis, prawda?

Skinałem głowę.

- Na Suwalszczyźnie są jeszcze stare, grube drzewa pamiętające czasy krwawej rozprawy między Krzyżakami i Jaćwingami, ludem, o którym tak mało jeszcze wiemy. Obcy i często nieżyczliwi im kronikarze, jak na przykład słynny kronikarz krzyżacki Piotr z Dnisburga, pozostawili o nich świadectwo, które mówi, że byli to ludzie, co wolność cenili bardziej niż swoje życie, nienawidzili jakiegokolwiek przymusu i dlatego nie chcieli przyjąć narzuconej im siłą religii chrześcijańskiej.

I gdy tak rozmyślaliśmy nad dziwnymi i okrutnymi zrzędzeniami historii, która temu ludowi zgotowała straszliwy los, nagle zerwał się wiatr. Woda jeziora zmarszczyła się i z cichym pluskiem zaczęła wybiegać na piaszczysty brzeg. Rozkołysał się las i w szumie liści i gałęzi, zdawało nam się, że słyszemy szcęk oręża i ostre bitewne okrzyki, wydawane w nieznany nam języku. Bełkotliwie mówiły coś fale jeziora, bezskutecznie usiłujące podmyć piaszczysty, stromy brzeg.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

HERMAN VON SALZA – JAK ZRODZIŁO SIĘ ZAKONNE PAŃSTWO – W MALBORKU – DLACZEGO ZABITO KUSTOSZA? – POTYCZKA W ZAMKOWYCH KORYTARZACH – HISTORIA RELIKWIARZA – LIST OD BAHOMETA – BAZYLISZEK – W POTRZASKU

W godzinę później jechaliśmy do Malborka - szosą przez Augustów, Ełk, Mrągowo i Olsztyn. Podobnie jak na Suwalszczyźnie, mijaliśmy przepiękne okolice, bogate w lasy i jeziora. Widzieliśmy prześliczne pejzaże leśne, za zakrętami drogi otwierał się widok na ogromne połacie jezior pełnych dzikiego ptactwa. I tu także krwawo zapisali się Krzyżacy w historii tej ziemi. Wytępili doszczętnie dawnych mieszkańców, a na ich miejsce sprowadzili obcych kolonistów. Zbudowano obronne zamki z czerwonej cegły, w których zakuci w stal zakonnicy z mieczami w rękach i krzyżami na płaszczach - czujnym okiem śledzili każdy objaw buntu czy samodzielności.

A zaczęło się to wszystko tak niewinnie - opowiadałem chłopcom podczas podróży. - Zakon Rycerzy Najświętszej Marii Panny, jak już wam wspominałem, powstał w latach 1189-1190 podczas oblężenia twierdzy Akkon w Palestynie. Był bardzo nieliczny i nie wrócono mu świetniejszej przyszłości, bo w tym czasie niemieccy rycerze nie bardzo interesowali się wojnami w Palestynie. Jak bardzo nie przykładano wagi do tego zakonu, świadczy chyba fakt, że nie znamy dokładnie nazwisk jego trzech pierwszych wielkich mistrzów.

Czwarty kolejny wielki mistrz, Herman von Salza - ciągnąłem dalej swą opowieść - objął władzę w 1210 roku. Był on, trzeba to stwierdzić, człowiekiem nieprzeciętnym. Zorientowawszy się rychło, że zakon krzyżacki nie ma czego szukać w Palestynie, bo niemieckich rycerzy nie ciągnęła walki o Ziemię Świętą, skierował swe zainteresowania na Europę, i to na wschód. Herman von Salza był stałym i bardzo bliskim doradcą na dworze cesarza niemieckiego Fryderyka II, który nieustannie popadał w konflikty z papieżem i raz po raz ścigany był jego kłótniami. Herman von Salza niejednokrotnie występował jako mediator w sporach między cesarzem a papieżem i doprowadzał znowu do zgody. Jak z tego widać, należał on do ludzi dobrze obeznanych z ówczesną grą dyplomatyczną i polityczną. Gdy król węgierski Andrzej II

zapropował sprowadzenie Zakonu do Siedmiogrodu w celu walki z pogańskimi Kumanami, Herman von Salza szybko przyjął tę propozycję i założył w Siedmiogrodzie kolonię Zakonu. Nie minęło jednak czternaście lat, a król węgierski Andrzej II wypędził Krzyżaków z Siedmiogrodu. Dlaczego? Krzyżacy bowiem pobyt swój w Siedmiogrodzie zaczęli nie od walki z poganami, ale od matactw politycznych. Sprowadzając Krzyżaków król Andrzej II zastrzegł sobie zwierzchnictwo nad wszystkimi niemieckimi rycerzami w Siedmiogrodzie, a tymczasem osiadłszy tam, Krzyżacy oddali się w opiekę papieżowi, aby uniezależnić się od króla.

Krzyżaków wypędzono. I wtedy to nadeszła propozycja od Konrada Mazowieckiego. Jak ocenić ten fakt? Czy rzeczywiście niebezpieczeństwo ze strony plemion pruskich było aż tak wielkie, że musiał on przeciw nim sprowadzić zakon krzyżowy? Raczej nie. To sami Krzyżacy wyolbrzymili potem niebezpieczeństwo pruskie, aby przedstawić się w oczach Europy jako zbawcy i obrońcy chrześcijańskiej Polski. Sąsiedztwo plemion pruskich było oczywiście bardzo dokuczliwe, gdyż napadami swoimi niepokoiłi oni granice dzielnic Konrada Mazowieckiego, ale mógł on sobie sam doskonale poradzić. Rzecz jednak w tym, że Konrad Mazowiecki wplątany został w spory z innymi książętami Polski, marzyło mu się zdobycie stolca krakowskiego. Sprowadzenie grupki rycerzy zakonnych i osiedlenie ich na granicy miało zabezpieczyć Konradowi granicę z Prusami. Nadał więc Krzyżakom wsie, nie uszczuplając jednak niczym swych praw książęcych do nadanych Krzyżakom terytoriów. A co zrobili Krzyżacy? Tak spreparowali dokument nadań, że wynikało z niego, jakoby Konrad Mazowiecki zrzekł się wszelkich swych praw do nadanych Krzyżakom darowizn. Zdrada więc i oszustwo leżały u podstaw przyszłej potęgi krzyżackiego państwa.

Nie potępiamy jednak zbyt mocno księcia Konrada Mazowieckiego, że nie zdawał sobie sprawy z rodzącego się niebezpieczeństwa. To dzisiaj, z perspektywy historii łatwo jest osądzać i oceniać te sprawy. Ale wówczas było inaczej. Czy wiecie, jak wyglądała wówczas potęga Zakonu? W nadanej im przez Konrada wsi Orłowo na Kujawach, na lewym brzegu Wisły, założono gródek nazwany przez Krzyżaków Vogelsang, czyli Ptasi Śpiew. Ilu ich było? Tylko dwaj rycerze - Konrad von Landsberg i drugi, nieznany z imienia i nazwiska rycerz wraz z garstką czeladzi. Dopiero na skutek nieustannych pretensji, jakie wnosił Konrad Mazowiecki do Hermana von Salza, że Zakon tak niewielką pomoc okazuje w walce z Prusami, przybył do Polski mistrz krajowy Krzyżaków, Herman Balk, a wraz z nim garstka rycerzy zakonnych. Pierwszą krzyżacką wyprawę przeciw Prusom

musiał więc Konrad Mazowiecki wesprzeć swoim oddziałem. A później? Potem również oddziały polskie musiały pomagać Krzyżakom w ich pierwszych zdobyczach na ziemi Prusów. Przywiódł swoje zastępy Konrad Mazowiecki wraz ze swym synem Kazimierzem, ze Śląska przybył Henryk Brodaty, z Wielkopolski Władysław Odonic i z Pomorza księżę Światopełk wraz z bratem Samborem. Ta wielka wyprawa krzyżowa zadała Prusom pierwszą wielką klęskę. Na polu bitwy nad rzeką Dzierzgonią legło ponad pięć tysięcy Prusów i część ich ziem, Pomezania, wpadła w ręce Krzyżaków. I nie umniejszając w niczym strategicznych zdolności mistrza krajowego, Hermana Balka, który był znakomitym rycerzem i wodzem, trzeba stwierdzić, że bez pomocy polskiego oręża przenigdy nie udałooby się Zakonowi opanować Pomezanii, zalążka przyszłego państwa zakonnego...

Minęliśmy Olsztyn, potem Elbląg. W przydrożnym lesie rozbiliśmy namioty. Nazajutrz w Malborku skierowałem od razu wehikuł na znajdujące się w pobliżu nad Nogatem pole namiotowe i camping turystyczny. Zamek krzyżacki, który zobaczyliśmy jadąc od strony miasta, nie wydał się chłopcom tak imponujący, jak to sobie wyobrażali na podstawie opisów w książkach. Dopiero później, zbliżając się do niego od strony rzeki, przekonali się, jak jest wspaniały.

Na polu namiotowym nad rzeką stało już kilkanaście różnokolorowych namiocików, a obok nich samochody osobowe. Nasz wehikuł skierowaliśmy w lewy narożnik pola, w miejsce stosunkowo ustronne. Z dwóch stron wehikułu zbudowaliśmy dwa namioty, dla chłopców i dla mnie.

Dopiero o drugiej poszliśmy na obiad do restauracji „Nad Nogatem”. Przy deserze wyłuszczyłem harcerzom swoje plany związane z pobytem w Malborku.

- Byłem tutaj już dwukrotnie - mówiłem. - Malborska budowla to właściwie dwa połączone ze sobą ogromne zamki: Średni i Wysoki. Zwiedzając je przekonacie się sami, że posiadają one wiele sal i pokojów, dziesiątki korytarzy, ogromne podziemia, dziesiątki, ba, setki najróżniejszych zakamarków. Zamek był niszczone, odbudowywany i przerabiany wiele razy, ale mimo to jeszcze wiele czasu upłynie, zanim wszystkie jego tajemnice zostaną zbadane i ujawnione. Bo do tajemnic z czasów krzyżackich i późniejszych przybyły nowe, z okresu ostatniej wojny. W malborskim zamku bronili się hitlerowcy przed nadciągającą Armią Czerwoną, a zaraz po wyzwoleniu działy się tu sprawy bardzo dziwne. Zaliczam do nich fakt

odnalezienia słynnego ołtarzyka Ulrycha von Jungingena.

- Niech pan nam opowie! - zawołał Wiewiórka. - Niech pan nam opowie!

- Pisano o tym już kilkakrotnie... - wykręcałem się.

- Ale my nie czytaliśmy. Chcemy znać tę historię. Może się nam ona przydać, gdy będziemy zwiedzać zamek.

Zamówiłem jeszcze jedną szklankę kawy, aby mi w ustach nie zaschło, i przystąpiłem do opowiadania.

- Podczas grunwaldzkiej klęski w 1410 roku – zacząłem - w ręce zwycięskich wojsk polskich wpadły krzyżackie sztandary bojowe, różnego rodzaju dobra, a także przepiękny i drogocenny, misternie rzeźbiony ołtarzyk polowy należący do wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena. To właśnie przed tym ołtarzykiem modlił się wielki mistrz na krótko przed bitwą, błagając o klęskę Polski. Król Jagiełło ofiarował zdobyty ołtarzyk kapitule gnieźnieńskiej i spoczął on w kościelnym skarbcu. Leżał tam aż do rozbiorów Polski. Prusacy zrabowali go ze skarbca kapituły i przewieźli do Malborka, gdzie znajdował się on aż do czasów drugiej wojny światowej. Po wyzwoleniu, a boje o zamek malborski były długie i ciężkie, żołnierze polscy napotkali w zamku dużo cennych przedmiotów. Zwykłym żołnierzom trudno jednak było zorientować się w wartości tych przedmiotów, a niemiecki kustosz zamku ukrył się gdzieś i na próżno go poszukiwano. Polski komendant miasta Malborka wystawił więc warty wojskowe wokół zamku, aby szabrownicy i „poszukiwacze skarbów” buszujący w tych okolicach nie zrabowali cennych rzeczy.

Pewnego dnia - ciągnąłem dalej swoją relację - żołnierze-zwiadowcy uzyskali adres ukrywającego się kustosza niemieckiego. Wydawało się więc, że teraz już uda się poznać wszystkie tajemnice malborskiego zamku. Jakież było jednak zdumienie żołnierzy, gdy przyszedłszy pod wskazany adres, znaleźli kustosza... zamordowanego. Został on w nocy zastrzelony przez nieznanych ludzi, zapewne dlatego, aby nie mógł zdradzić tajemnic zamkowych. Ten fakt jak również meldunek, że w pobliżu zamku kręca się jacyś nieznani osobnicy, wzbudził czujność komendanta miasta. W tym czasie zresztą w mieście Malborku znajdowało się jeszcze sporo obywateli niemieckich, u których ukrywali się hitlerowscy żołnierze, niedobitki rozgromionej pod Malborkiem armii. Późnym wieczorem, w połowie maja, do komendanta miasta wpadł żołnierz z meldunkiem, że w zamku znajduje się grupa ludzi, która przedostała się tam przez wyrwę w rozwalonych pociskiem murach.

Zarządzono alarm i po chwili grupa żołnierzy wyruszyła do zamku. W końcu okazało się, że miejscem, gdzie operują podejrzani osobnicy, jest Zamek Wysoki, a w nim pomieszczenia w pobliżu dawnego skarbcza zamkowego. Żołnierze polscy zorganizowali pułapkę we wnęce korytarza. Przeciwnicy zaczęli się gwałtownie ostrzeliwać z broni automatycznej i zdołali uciec przez wyrwę. Żołnierze polscy rzucili się w pogoń za uciekającymi i znaleźli zgubiony przez jednego z nich płaszcz żołnierza Wehrmachtu, a w płaszczu dokumenty z adresem jednego z niemieckich mieszkańców Malborka. W izbie-skarbcu zaś odkryto świeżo zrobioną dziurę w murze. Prawdopodobnie w ścianie skarbcza coś było zamurowane i to „coś” zrabowali podejrzani osobnicy. Żołnierze natychmiast udali się pod adres widniejący w dokumencie, zgubionym przez uciekających. Gdy zbliżyli się pod ów dom, a było to na przedmieściu Malborka, przez okno wyskoczył jakiś mężczyzna i uciekł ostrzeliwując się. Pogoń za nim nie dała żadnego rezultatu, natomiast wspaniały sukces przyniosła rewizja przeprowadzona w domku. W skrytce piwnicznej pod kuchnią znaleziono zawinięty w płaszcz niemieckiej polowej żandarmerii – ołtarzyk Ulricha von Jungingena. To ów ołtarzyk najprawdopodobniej leżał zamurowany w skrytce malborskiego skarbcza. On to był celem tajemniczej wyprawy hitlerowców. Odnaleziony na powrót przez żołnierzy polskich znajduje się obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie i można go tam oglądać. A w skarbcu malborskim do dziś pokazują przewodnicy miejsce w ścianie, gdzie był zamurowany - zakończyłem opowiadanie.

Gdy wyszliśmy z restauracji, była czwarta po południu. Nagle uświadomiłem sobie, że jest najwyższa pora, aby pójść do zamku, ponieważ zwiedzanie, nawet pobieżne, zajmowało co najmniej dwie godziny. O szóstej zaś po południu przewodnicy kończyli pracę.

Szybkim krokiem pomaszerowaliśmy wzdłuż fosy aż do głównego wejścia na Zamek Średni. Zamiast mostu zwodzonego był tu teraz długi, na stałe umocowany most z drewnianych bali. W bramie stało dwóch strażników muzeum, którzy kontrolowali bilety. Do zamku nie wolno było wchodzić bez przewodnika i dlatego wypadało nam trochę czekać. Niedługo zresztą, bo przy bramie stała już licząca chyba ze trzydzieści osób grupka turystów z Katowic, którzy przed chwilą przyjechali autokarem. Z tą właśnie wycieczką postanowiliśmy obejrzeć wnętrze zamku.

Z bliska zamek wyglądał imponująco. Stanowił ogromną, czerwobrunatną surową bryłę. Wysokie mury obronne opadały stromo w głęboką jak przepaść fosę, suchą teraz i porośniętą trawą, lecz ongiś wypełnioną wodą z rzeki. Za murami obronnymi piętrzyły się ściany zamkowych budowli, coraz wyższych i wyższych, zdających się sięgać nieba. Jakże małym i słabym musiał czuć się średniowieczny rycerz, uzbrojony w miecz lub kuszę, wobec tych murów potężnych i twardych, których nic nie mogło skruszyć!

Kiedyś zamek wyglądał jeszcze okazalej. Otaczał go najpierw pierścień wysokich murów i baszt Podzamcza, a te chronione były przez staw i rzekę Nogat. Po przebyciu murów fortecznych Podzamcza czekała przeszkoda w postaci murów obronnych Zamku Średniego i Wysokiego. Między Zamkiem Wysokim i Średnim także biegła przepaścista fosa o stromych ścianach, wysokich na kilka pięter. A za murami obronnymi stały ściany zamku i budowli zamkowych...

- Ex luto Marienburg - powiedziałem cicho.

- Co to znaczy, proszę pana? - natychmiast spytali chłopcy.

- Krzyżacy bardzo dumni byli ze swej twierdzy. Porównywali ją z najpiękniejszymi miastami świata i z dumą twierdzili: Mediolan jest z marmuru, Buda z kamienia, a Marienburg, czyli Malbork, z błota.

- Z błota? - zdziwił się Tell.

- Z błota, czyli z gliny. Z cegły. Podobno do zaprawy murarskiej mieszano białko kurze i krew bydłą. Dlatego zaprawa taka wytrzymała wiele wieków.

Tymczasem zbliżyła się do nas starsza i bardzo czymś zaaferowana pani. Na rękawie miała opaskę z napisem: Przewodnik.

- Ach, Boże - powiedziała w bramie do jednego z woźnych - jeszcze jedna wycieczka, a ja dzisiaj oprowadziłam aż cztery. Może pan przeliczy wycieczkowiczów, bo mnie się chyba w głowie miesza. Dziś rano wprowadziłam do zamku wycieczkę złożoną z dwudziestu osób, a wyprowadziłam dwadzieścia dwie osoby. Przed chwilą wyszła z zamku wycieczka złożona z dwudziestu ośmiu osób. Głowę bym sobie dała uciąć, że weszło trzydzieści osób.

- To wszystko ze zmęczenia - pokiwał głową woźny - Na początku wakacji zawsze u nas duży ruch.

Ustawiliśmy się przed bramą. Przewodniczka machnęła ręką i zrezygnowawszy z liczenia nas, rozpoczęła wykład:

- Warownię w Malborku, proszę państwa, Krzyżacy zaczęli wznosić w roku 1272,

zamek zaś w latach 1279-1280. Nazwali go Marienburg od imienia Marii, byli bowiem zakonem imienia Najświętszej Marii Panny. Dzisiejszy wygląd zamku nie daje pełnego wyobrażenia, jak wyglądał on w XIII wieku, potem już bowiem był on wielokrotnie przebudowywany i przerabiany...

Wolnym krokiem, głośno tupiąc na drewnianych balach mostu, wchodziliśmy w bramę zamkową.

Raptem ktoś dotknął mego ramienia. Był to woźny strzegący bramy.

- Pan jest z tymi trzema harcerzami? - zapytał.

- Tak...

- Jakiś pan zostawił u mnie list. Mówił mi, że tu za chwilę wejdzie do zamku pan z trzema harcerzami. Prosił, abym podał panu ten list.

I wręczył mi kopertę.

- To jakieś nieporozmienie. Ja tu nikogo nie znam - rzekłem przyjmując kopertę.

Otworzyłem ją jednak i przeczytałem:

Panie Samochodzik! Niech pan się stąd wynosi jak najszybciej, bo inaczej źle będzie z Panem.

Bahomet

- Czy to list do pana? - pytał ciekawie dozorca.

Kiwnąłem głową:

- Tak, dziękuję panu. To list dla mnie. A gdzie jest ten pan, co przekazał list dla mnie?

- Nie wiem. Zwiedzał zamek, a teraz już pewnie odjechał autokarem. Przed pół godziną wyruszyła stąd wycieczka do Krakowa.

Podziękowałem i ruszyłem za moją grupą, która właśnie wkroczyła na teren Zamku Średniego.

Przewodniczka opowiadała:

- Najpierw zbudowano Zamek Wysoki, który państwo zobaczą tam dalej. Ale odkąd Malbork stał się stolicą państwa zakonnego i wielki mistrz przeniósł się tu z Wenecji, na Zamku Wysokim zrobiło się ciasno i Krzyżacy przystąpili do powiększania twierdzy...

Dogoniłem chłopców i dyskretnie pokazałem list oraz szeptem wyjaśniłem, skąd się znalazł on w moich rękach.

- Nic z tego nie rozumiem szepnął Tell. - Cóż to za Bahomet? Pochyliłem się ku nim

i powiedziałem:

- To był tajemniczy i zagadkowy bożek, któremu rzekomo cześć oddawali templariusze. O bluźnierczą cześć dla tego bożka oskarżył ich Filip Piękny i spalił za to na stosie...

- I ten Bahomet... tutaj? - powtarzali zdziwieni. Przewodniczka tupnęła gniewnie butem w kamienną posadzkę zamkowego podworca i zawołała:

- Halo, młodzi ludzie, proszę podejść bliżej. Gardło sobie zdzieram opowiadając o dziejach Malborka, a wy szepczecie na boku i nic do was nie dociera. Proszę bliżej. O, tak, tutaj. I pan także - kiwnęła na mnie palcem, mierząc mnie surowym wzrokiem.

Zarumieniłem się, bo cała wycieczka obrzuciła mnie karcącymi spojrzeniami. Posłusznie stanąłem obok przewodniczki. Odtąd przez jakiś czas byłem gorliwym słuchaczem jej opowiadania.

Krok za krokiem przemierzaliśmy ogromny podworec Zamku Średniego. Oto monumentalna budowla pałacu wielkiego mistrza, ozdobiona orientalnymi kolumnami. Oto wielki refektarz, gdzie schodzili się na posiłki rycerze zagraniczni, goście Zakonu. W pałacu wielkiego mistrza przewodniczka pokazała nam specjalnie zrobione dziury w ścianach, przez które wielki mistrz mógł, sam niewidoczny, obserwować zachowanie się rycerzy i podsłuchiwać ich rozmowy. Na jednej ze ścian była tam wymalowana scena polowania i właśnie w oczach przedstawionych na niej zwierząt znajdowały się wyloty dziur do obserwacji. Wielki mistrz lękał się spisków i intryg, ówczesna „aparatura podsłuchowa” miała mu pomóc w zorientowaniu się, który z rycerzy zakonnych jest mu nieżyczliwy. Jak rozprawiano się z takim człowiekiem? Upijano go podczas uczyty, a potem, gdy szedł do ubikacji mieszczącej się w Zamku Wysokim, w wieży zwanej Gdanisko, nagle otwierała się pod nim zapadnia i leciał kilkanaście metrów w dół. Roztrzaskiwał sobie głowę o mur, a ciało jego porywał bystry nurt odnogi rzecznej przepływającej pod wieżą.

I znowu most zwodzony, brama i czworobok budowli: Zamek Wysoki, najstarsza część twierdzy. W jednym narożu znajdował się zburzony w czasie ostatniej wojny kościół klasztorny pod wezwaniem Panny Marii, pod nim zaś, w kaplicy św. Anny, spoczywały zwłoki wielkich mistrzów. Do kościoła wchodziło się z zamku przez tak zwaną Złotą Bramę, z pięknie rzeźbionym portalem.

Głucho dudniły nasze kroki na kamiennym podworcu otoczonym ze wszystkich stron rzeźbionymi krużgankami. Tu odbywały się niegdyś turnieje rycerskie, a zebrana na

krużgankach publiczność obserwowała rycerskie gonitwy. Jakże głośno musiały tu łomotać podkute konie Krzyżaków i głośnym szczękiem odzywały się uderzenia mieczy...

Ale przewodniczka nie pozwalała marzyć.

- Oto widzą państwo wielką kuchnię Zakonu. Jest autentyczna, zachowana tak, jak wyglądała przed laty. Pieczono tu w całości upolowaną zwierzynę, a potem za pomocą specjalnego wyciągu dostarczano ją do sali jadalnej. Obok była piekarnia, mieszcząca się akurat pod skarbcem zakonnym, W roku 1364, to jest w okresie, gdy Zakon był u szczytu swej potęgi, skarbiec zawierał nie tylko czterysta srebrnych kubków przeznaczonych dla rycerzy zakonnych i gości, ale także potężną górę złotych monet. Piekarze wybili dziurę w suficie i przez nią sypnęło się złoto. Zbyttno jednak szafowali pieniędzmi, sprawa wydała się i złodziei schwytano, o czym jest wzmianka w starych kronikach Zakonu.

Po schodach wspięliśmy się na pierwsze piętro i przez wąskie drzwi weszliśmy do królestwa podskarbiego Zakonu.

Widok skarbcza wyraźnie rozczarował harcerzy. Ze słowem „skarbiec” kojarzy się natychmiast wyobrażenie komnaty pełnej skrzyń wypełnionych złotem, drogimi kamieniami, złożonymi naczyniami. A tutaj? Maleńka, pusta izdebka, na ścianach jakieś plamy, odrapane malowidło, na któryra z trudem można dostrzec zarys siraszliwego smoka, bazyliuszka. Wedle ówczesnych przesądów, miał on być najlepszym strażnikiem złota.

Chłopcy pierwsi opuścili skarbiec, a za nimi wyszła reszta wycieczki na czele z przewodniczką. „Tam skarb twój, gdzie serce twoje” - wspomniałem. - „Gdzie jest skarb templariuszy? Gdzie są ich klejnoty, ich złoto?” - zastanawiałem się w głębokiej ciszy, która zapadła w maleńkiej izbie krzyżackiego skarbcza. Na krużgankach słychać było oddalające się kroki wycieczki, a mnie wydało się, że słyszę szelest zsypywanych tu niegdyś monet.

- A pan dlaczego tutaj pozostał? - usłyszałem ostry głos przewodniczki. – Zauważyłam, że pan wcale mnie nie słucha, tylko myśli o czymś zupełnie innym. A ja gardło sobie zdzieram, żeby wytłumaczyć, co i jak się działo w tych murach,

Zgromiwszy mnie, przewodniczka wyszła na krużganek.

- Teraz pokażę państwu słynną celę, w której siedział uwięziony przez Krzyżaków Kiejstut, książę Litwy - powiedziała głosem ponurym. W wycieczkowiczach miał on obudzić uczucie grozy.

Wprowadziła nas w wąski, krótki korytarz z dwoma żelaznymi drzwiami i kratą. Pochyłe

okienko w grubych murach wpuszczało niewiele światła. Pod nogami stuknęła kamienna podłoga, ściany obite blachą zionęły chłodem.

- Wydaje się, że uciec stąd nie ma sposobu - mówiła przewodniczka. - A jednak księżę Kiejstut uciekł z niewoli krzyżackiej. Jak mówi legenda, dokonał tego przy pomocy Litwina Alfa, ochrzczonego przez Krzyżaków i pozostającego na ich służbie. W Alfie obudziła się miłość do ojczyzny i do księcia...

Wycieczka opuściła ponurą celę Kiejstuta, Podszedłem do skośnego okienka i spróbowałem przez nie spojrzeć w niebo. Tak samo chyba spoglądał wtedy księżę Kiejstut, schwytyany zdradziecko podczas polowania. „Kim jest ów tajemniczy Bahomet? - zastanawiałem się. - I dlaczego przeszkadza mu moja obecność w Malborku?”

Drgnąłem. Za moimi plecami skrzypnęły żelazne zawiasy. Obejrzałem się i zobaczyłem zamykające się drzwi celi. Załomotała żelazna zasuwka, potem szczęknęła druga kratka. Ktoś splatał mi głupiego figla. Zostałem podstępnie zamknięty w celi księcia Kiejstuta.

Podbiegłem do żelaznych drzwi i usiłowałem je szarpnąć. Nie drgnęły. Uderzyłem w nie pięściami, Ale grube żelazo zabręczało słabym dźwiękiem. Nikt nie mógł mnie usłyszeć, nawet gdyby przechodził w pobliżu celi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

BOŻEK O LUDZKIEJ TWARZY – DLACZEGO ZABITO VON ORSELNA? – DWA CIENIE W ZAMKU – „APARATURA PODSŁUCHOWA” – CO OZNACZA TRÓJKĄT NA MURZE – NAPRZÓD!

Dookoła mnie zalegała głucha cisza, od której aż w uszach dzwoniło. Grube mury obite blachą nie przepuszczały żadnego dźwięku, zresztą była to pora, gdy zamek malborski pustoszał, zwiedzający wychodzili na zewnątrz. Usiadłem na kamiennej posadzce w wątej smudze światła, padającej przez skośne okienko, i usiłowałem zastanowić się nad swoją sytuacją.

Mogłem przypuszczać, że przewodniczka zauważy przy wyjściu moją nieobecność (przecież chyba mnie zapamiętała, tylekroć zwracając mi uwagę?). Zapewne podniesie alarm, woźni muzeum ruszą na poszukiwanie i odnajdą mnie zamkniętego w celi więziennej. Mogłem także liczyć, że nieobecność moją dostrzegą natychmiast moi trzej młodzi przyjaciele. Chłopcy jednak pomyślą, że specjalnie pozostałem na terenie zamku, i nie tylko nie podniosą żadnego alarmu, ale postarają się wmówić przewodniczkę, że wyszedłem wcześniej niż inni. Jutro rano oczywiście zostanę uwolniony z zamknięcia, podczas odwiedzin celi przez pierwszą wycieczkę. Jakież będzie zdumienie przewodnika, gdy zobaczy uwięzionego człowieka? Oczywiście opowie o tym fakcie wszystkim pracownikom muzeum i odtąd zaczną oni na mnie spoglądać bardzo podejrzliwie. Nieufność uniemożliwi mi wejście w bliższy kontakt z pracownikami muzeum i utrudni uzyskanie informacji historycznych, na jakie liczyłem przybywając do Malborka. Czy o to właśnie chodziło tajemniczemu Bahometowi, gdy zamknął za mną drzwi celi Kiejstuta?

Było dla mnie jasne, że krył się za tym imieniem jakiś mój konkurent w poszukiwaniu skarbu templariuszy. Świadczyło o tym najlepiej imię, jakie sobie przybrał. Mówiło ono, że ów człowiek doskonale orientuje się w dziejach zakonu templariuszy. Nie był to nikt z grupy Petersenów, bo oni pozostali nad jeziorem, aby wykupić od Malinowskiego skradziony dokument. Nie mógł być to także sam Malinowski, bo i on musiał zostać nad jeziorem, jeśli chciał zrealizować sprzedaż skradzionego dokumentu.

Więc kim był Bahomet? Nie znajdowałem odpowiedzi. Siedziałem na kamiennej posadzce i podciągnąwszy kolana pod brodę, złożyłem na nich głowę. Obok policzka miałem

przegub swej ręki z zegarkiem, ale mimo że upływający czas nieustannie szemrał w sekundniku, nikt nie przychodził mnie uwolnić z celi więziennej.

Wąziutka struga światła spływająca przez okienko coraz bardziej gasła, szarzała jak lampa, w której zabrakło paliwa. Nadchodziła noc, a z nią znikła nadzieja, że jeszcze dziś zostanę wyswobodzony.

Rozmyślałem o litewskim księciu, który siedział tu uwięziony. Sześćset lat minęło od tego czasu. Pozostały te same grube mury, kamienna posadzka, podwójne żelazne drzwi broniące wyjścia na wolność. Ileż chwil zwątpienia przeżył tutaj książę litewski?

Krzyżacy zbliżali się wówczas do szczytu potęgi. Połączywszy się z Zakonem Kawalerów Mieczowych W Inflantach, zawładnęli terytoriami tak wielkimi, że równać się mogli z największymi królestwami w Europie. Należało do nich całe dzisiejsze Pomorze Gdańskie, całe późniejsze tak zwane Prusy Wschodnie, część Litwy, tereny dzisiejszej Łotwy i Estonii. Tylko niewielki skrawek Żmudzi rozdzielał posiadłości krzyżackie w Prusach i w Inflantach. I o te właśnie tereny szły nieustanne boje.

A w tym czasie, gdy zakon Krzyżaków osiągał szczyt swej potęgi, po templariuszach pozostały tylko zburzone zamki i niesława, szkalujące ich dokumenty, pełne wymuszonych, fałszywych zeznań, których nikt nie mógł odwołać, bo ci, co je składali na torturach - już dawno nie żyli, spalono ich na stosie. Aby pojąć skarby templariuszy, zarzucono zakonnikom, że zamiast w Chrystusa - wierzą w diabła, plwają na krzyż, oddają cześć bożkowi z drewna i skóry, ze srebra i złota, o ludzkiej głowie i ogromnej brodzie. Imię tego bożka brzmiało właśnie Bahomet.

Nigdy nie udało się zresztą Filipowi Pięknemu odnaleźć żadnego wizerunku czy posągu tego bóstwa. Wymyślono owego Bahometa na użytek chwili, faktycznie nigdy on nie istniał i nawet wielu ówczesnych władców nie dało wiary bredniom zarzucanym templariuszom.

„Czy brodaty był również Bahomet podpisany na liście do mnie?” - rozmyślałem.

A tymczasem cela więzienna pogrążyła się w nocnym mroku, który zdawał się pogłębiać ciszę, w jakiej się znajdowałem. Straciłem nadzieję, że zostanę uwolniony tej nocy. Skuliwszy się w kącie celi, próbowałem zasnąć.

Nie wiem, jak długo spałem. Może kilka minut, a może godzinę? Zbudził mnie jakiś szelest, a potem cichy pisk.

„Szczury?” - pomyślałem ze wstrętem.

Szelest powtórzył się. I znowu usłyszałem cichy pisk. Obydwa te dźwięki dolatywały od strony drzwi. Nagle brzęknęła zasuwka, jęknęły odmykane ciężkie odrzwia celi więziennej.

Struga elektrycznego światła buchnęła w głąb celi i poczęła wędrować po kamiennej posadzce. Wreszcie trafiła na mnie i oślepiła mnie.

- Kto to? - zawołałem gniewnie.

- Pan Samochodzik! Pan Samochodzik! - usłyszałem radosny szept harcerzy.

Światło przygasało i zmieniło kierunek. Zerwałem się z posadzki i podbiegłem do chłopców.

Nie byli sami. Spostrzegłem również dziewczynkę, lat około dwunastu. Dziewczynka miała rude włosy upięte w koński ogon. To ona trzymała w dłoni latarkę elektryczną,

- Oto pan Samochodzik - przedstawili mnie chłopcy. - A to jest Ewa. Mieszka na Zamku Średnim. Jej mama pracuje w archiwum muzealnym.

- Kto pana tutaj zamknął? - spytała.

- Nie wiem. Zapewne ten ktoś - rzekłem i pokazałem jej list, który wręczono mi przy wejściu do zamku.

Okazało się, że już przy wyjściu z zamku chłopcy stwierdzili moją nieobecność. Tak jak przypuszczałem, sądzili jednak, że pozostałem z własnej woli. Więc przewodniczce wmówili, że wyszedłem trochę wcześniej od innych, gdyż śpieszyło mi się do autobusu.

Minęła godzina, a ja wciąż nie opuszczałem zamku. Chłopcy czekali na mnie w pobliżu bramy, ale nie wiedząc, co mają dalej robić. Wreszcie po długich dyskusjach doszli do wniosku, że gdybym został z własnej woli, to przecież uprzedziłbym ich o tym. Przypomnieli sobie o liście z pogróżkami i ogarnął ich strach o mnie.

Czekając u bramy zamkowej, spostregli dziewczynkę kilkakrotnie swobodnie przechodzącą mimo strażników. Domyślili się, że mieszka ona na terenie zamku. I gdy jeszcze raz wyszła przez bramę i udała się do sklepu po jakieś zakupy, chłopcy wdali się z nią w rozmowę. Opowiedzieli jej o sobie i o mnie, wtajemniczyli ją w cel naszego przyjazdu. Dziewczyna - na imię miała Ewa - czytała kiedyś w młodzieżowej gazecie o naszym odkryciu zbiorów dziedzica Dunina. To oczywiście ułatwiło porozumienie.

Zaniosła do mieszkania na zamku zrobione w sklepie zakupy. Potem jeszcze raz wyszła do chłopców i poprowadziła ich aż nad brzeg Nogatu. Dość długo szli wzdłuż wysokich zamkowych murów, potem przedzierali się przez jakieś zarośla, aż wreszcie znaleźli się na

suchym dnie głębokiej fosy. Dziewczyna doprowadziła ich do małej, drewnianej bramy, którą otworzyła ciężkim kluczem. Weszli na teren dawnego ogrodu, gdzie kiedyś wypoczywali rycerze zakonni. Potem pieli się po drewnianych schodkach. Ciemnymi korytarzami - trzymając się za ręce – szli po omacku w głąb zamku.

Odnalezienie mnie było już sprawą łatwą. Pamiętali przecież, że zniknąłem im podczas zwiedzania celi księcia Kiejstuta. Od tego miejsca więc postanowili rozpocząć poszukiwania. Otwarli drzwi celi i zobaczyli mnie.

- Ciekawa jestem, czy Bahomet wyszedł razem z wycieczką, czy też pozostał na zamku – zastanawiała się Ewa.

- Nie wyszedł - zdecydowanie stwierdził Tell. - Przewodniczka liczyła osoby biorące udział w wycieczce. Brakowało jednej, właśnie pana Tomasza.

- Przecież go nie znamy - powiedziałem. - Nie wiemy, jak wygląda. Może wszedł na zamek razem z nami, zamknął mnie w celi i wyszedł z naszą wycieczką?

- Na wszelki wypadek warto spenetrować wszystkie zakamarki - radziła Ewa. - Mamy latarkę elektryczną, ja znam tu wszystkie kąty.

- Zgoda - przytaknąłem. - Bahomet to, zdaje się, niebezpieczny przeciwnik.

- Musimy zdjąć buty i trzymać je w rękach. Każdy krok rozlega się w tych murach jak wystrzał - rzekła Ewa. - W ciągu nocy woźni muzeum kilkakrotnie patrolują cały zamek. Ktoś zaproszył kiedyś ogień na Zamku Średnim i od tego czasu bardzo uważają, aby nikt obcy nie pozostał tu w nocy. W ciągu dnia także nie wolno odłączać się od grupy wycieczkowej.

Posłusznie zdjęliśmy buty i wzięliśmy je w garść.

- Zaczniemy od drugiego piętra - zdecydowała Ewa. - Na strychni nie ma się co pchać, bo są zamknięte. Z całą pewnością Bahomet tam się nie dostał.

Wspięliśmy się po schodach na drugie piętro i cicho jak duchy ruszyliśmy wzdłuż krużganku obiegającego podworec. Mijaliśmy drzwi do spichlerzy, do izby rycerskiej, refektarza konwentu. Ewa dokładnie sprawdzała, czy drzwi są zamknięte na klucz. Do niektórych sal klucze mieli przewodnicy i otwierali je podczas zwiedzania, ukazując architekturę wnętrza i stare malowidła na ścianach.

Ewa zawiodła nas do ciasnej, ukrytej w murach izdebki. Miała ona dwa okienka, a raczej otwory wychodzące do wnętrza zamkowego kościoła. Tutaj zamykano rycerzy zakonnych na pokutę. Nie mieli prawa uczestniczyć bezpośrednio w obrzędzie mszy

świętej, lecz w tej właśnie izdebce, w odosobnieniu, brali udział w uroczystościach religijnych. Kościół był teraz zniszczony, przez okienka widziało się ruiny i rozgwieżdżone niebo.

Potem, już na pierwszym piętrze, stanęliśmy przed Złotą Bramą zamkniętą na głucho. Po drugiej bowiem stronie były ruiny kościoła.

Ewa rzuciła snop światła na pięknie rzeźbiony portal.

- Patrzcie - powiedziała - tu są wyobrażone postacie „panien mądrych”, a po drugiej stronie „panien głupich”.

- A ty jesteś panna przemądrzała. Takiej tu nie widać - zaczępnie rzekł Sokole Oko.

- Ja jestem panna mądra - odcięła się Ewa i dwoma palcami chwyciła długi nos Sokolego Oka. Ten pisnął jak mysz i odtąd trzymał się z daleka od dziewczyny, nie próbując jej dokuczać.

Ewa ściszyła głos:

- Przy tych drzwiach, obok Złotej Bramy, zamordowany został wielki mistrz, Werner von Orseln... Zabito go, gdy wychodził z kościoła po wysłuchaniu mszy świętej... Było to w 1330 roku.

Drgnąłem. Spojrzałem na niski, ciemny otwór sklepionych gotycko drzwi. Tutaj właśnie przecięto nożem nie tylko nić życia Orselna, ale także tę nitkę, która wiodła do skarbu templariuszy.

- A dlaczego został zamordowany? - spytał Wiewiórka, który zapewne zapomniał już o tym, co opowiadałem podczas pierwszego dnia naszej podróży.

- Nie wiadomo - odrzekła Ewa. - Zabił go brat zakonny nazwiskiem Endorf lub też Neudorf; nie jest to dokładnie ustalone. Krzyżacy opowiadali, że brat Neudorf był obłąkany. Inni znowu twierdzili, że chodziło o zemstę. Wielki mistrz nie pozwolił Neudorfowi wziąć udziału w wyprawie na Litwę.

- Owszem - przytaknąłem - ta wersja wygląda dość prawdopodobnie. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że życie rycerza zakonnego nie było wcale ani słodkie, ani wygodne, szczególnie w tych czasach, gdy Zakon bardzo dbał o dyscyplinę i nie nastąpiła jeszcze ogólna demoralizacja i rozprzężenie. Za najdrobniejsze nawet przewinienia reguła przewidywała kary. Za występki w jedzeniu, picciu lub mowie - bito dyscypliną. Za bójki, nieposłuszeństwo, spędzanie nocy poza konwentem lub obozem - zabierano płaszcz winowajcy i wysyłano go do pracy fizycznej razem z

niewolnikami. Za spędzenie dwóch nocy poza konwentem czy obozem lub spiski przeciw ziwierzchności stosowano rok lub dłużej takiej kary. Za ucieczkę z pola bitwy, odstępstwo od wiary, sprzedawanie urzędów - groziła kara wydalenia z Zakonu bez zwolnienia od ślubów, co wyrzucało takiego człowieka poza nawias ówczesnego społeczeństwa. Życie więc w zamku pod okiem wielkiego mistrza nie było łatwe, tym bardziej że do Zakonu wstępowali przecież ludzie zdrowi i silni, chętni rycerskiemu rzemiosłu. Nic więc dziwnego, że rwali się do wypraw wojennych, byle tylko wydostać się na większą swobodę. Jest prawdopodobne, że rycerz, któremu za jakieś drobne przewinienie odmówiono udziału w wyprawie, rzucił się rozwścieczony z nożem na wielkiego mistrza.

- Mama moja mówiła - powiedziała Ewa - że w starych dokumentach zawarta jest jeszcze jedna wersja zabójstwa von Orselna. Krzyżacy w 1328 roku postanowili zburzyć zamek w Skirstymoniuni i zaprosili na ucztę Litwinów, upili ich, zamordowali, a potem zamek spalili. Ten okrutny i przewrotny mord miał być podobno przyczyną obłąkania Neudorfa. Nie mogąc znieść okrucieństw swych współbraci, zabił wielkiego mistrza.

- I zrobił to w dwa lata po zdarzeniach w Skirstymoniuni? - rzekłem z powątpiewaniem. - Pamiętać należy, że wielcy mistrzowie zajmowali się wtedy ogólnymi sprawami Zakonu, a praktyczna działalność w Prusach przypadała mistrzowi krajowemu. Gdy Krzyżacy napadli zdradziecko na Pomorze, kraj chrześcijański, opinia Europy była tak tym faktem oburzona, że wielki mistrz, Zygfryd von Feuchtwangen, musiał umknąć z Wenecji do Malborka. W tym czasie zresztą toczyła się już sprawa przeciwko zakonowi templariuszy, co było dodatkową okolicznością do ucieczki. Nie wiadomo zresztą, czy Zygfryd Feuchtwangen, w sytuacji, gdy cała Europa trzęsła się od oskarżeń wysuwanych pod adresem templariuszy, był zachwycony faktem, że podlegli mu Krzyżacy zagarnęli chrześcijański kraj, Pomorze Gdańskie. W Prusach wówczas rządził mistrz krajowy, Henryk von Plotzke, człowiek okrutny i twardy, zwolennik twardej ręki. Nie wahał się on przed najnikczemniejszą zbrodnią, byle tylko zdobyć dla Zakonu nowe terytoria. Następca Feuchtwangena, wielki mistrz Karol z Trewiru, do tego stopnia popadł w konflikt ze zwolennikami Henryka von Plotzke, że w 1318 roku wyjechał z Malborka do posiadłości krzyżackich nad Ren i rzekł się swej godności. Wprawdzie kapituła generalna tego zrzeczenia nie przyjęła i Karol z Trewiru sprawował swój urząd aż do 1324 roku, ale do Prus już nie wrócił. Następnym po Karolu z Trewiru wielkim mistrzem został właśnie Werner von Orseln. Z historii wiadomo, że w 1330 roku skłaniał się do układów z Władysławem Łokietkiem. I właśnie

wtedy został zamordowany...

- Zabito go pewnie z rozkazu Henryka von Plotzke - podchwycił Tell.

- Henryk von Plotzke już wówczas nie żył. Zginął w roku 1320 podczas kolejnej wyprawy przeciw Żmudzi. Ale oczywiście żyła jego idea i jej zwolennicy, przekonani, że zamiast układów należy tylko stosować siłę. W tym czasie zresztą zakon krzyżacki bardzo się już zdemoralizował i zeświecczył. Zapomniano, że powołany został przecież do tego, aby krzewić i umacniać wiarę chrześcijańską. Jakież sens miała wałka z chrześcijańskim królem, jakim był Władysław Łokietek? Zakon stał się najzwyczajszym państwem, rządzonym przez ludzi, którzy niewiele mieli wspólnego z religią, myśleli o coraz nowych podbojach i umacnianiu swej władzy. Ale ponieważ z tymi zamysłami nie mogli zbyt otwarcie występować, zaczęły wewnątrz Zakonu działać tak zwane sądy kapturowe. W jednej z wież schodzili się nocą rycerze zakonni w czarnych maskach na twarzy, aby nikt, nawet inni członkowie sądu kapturowego nie wiedzieli, kto do niego należy. Zakapturzeni mnisi-rycerze sądzili oskarżonych o zdradę najtajniejszych interesów Zakonu. Przez pojęcie zdrady rozumiano właśnie zbyt łagodną politykę w stosunku do wrogów. Jest rzeczą prawdopodobną, że taki właśnie sąd kapturowy odbył się również i nad Wernerem von Orselnem, którego oskarżono o chęć układów z Łokietkiem. Być może, także do uszu Krzyżaków doszła wieść, że Werner von Orseln zamierza zwrócić ocalałym z pogromu templariuszom w Szkocji skarb, jaki w swoim czasie powierzyli oni Krzyżakom. Tajne zamysły von Orselna zdradził członkom sądu kapturowego spowiednik wielkiego mistrza. Krzyżacy, nawykli do nieustannego łamania przysięg i przyrzeczeń, oburzyli się na myśl, że Orseln mógłby zwrócić templariuszom ich bogactwa. Oczywiście, nie mieli pojęcia, gdzie skarb się znajduje. Lecz wydawało się im, że odnalezienie go będzie sprawą łatwą. Dlatego wydali na Orselna wyrok śmierci.

Jak się taki wyrok odbywał? - opowiadałem. - Najpierw było tajne głosowanie. A gdy okazało się, że zapadł wyrok śmierci, wybierano przyszłego wykonawcę wyroku. Do specjalnego naczynia wrzucano tyle gałek, ilu było członków sądu kapturowego. Gałki z wyjątkiem jednej były białe. Kto wyciągnął czarną gałkę, musiał stać się wykonawcą wyroku. A ponieważ członkowie sądu kapturowego nosili na twarzy maski, nikt nie wiedział ani kto wydał wyrok śmierci, ani nie znał nazwiska mordercy, dopóki nie dokonał on zabójstwa. Później wszyscy członkowie sądu kapturowego mieli obowiązek bronić zabójcy przed karą. Moim zdaniem, rycerz Neudorf wyciągnął czarną gałkę. Zasztyletował wielkiego mistrza,

wykonując wyrok sądu kapturowego. Jest rzeczą jasną, że po zabójstwie, aby ratować mordercę, członkowie sądu kapturowego, którzy zazwyczaj rekrutowali się z najwyższych władz Zakonu, wymyślili wersję o obłąkaniu brata Neudorfa. Nie doszło do układów z Łokietkiem, a w rok później, to jest w 1331 roku, ruszyła na Polskę wyprawa krzyżacka, zakończona bitwą pod Płowcami.

- A skarb templariuszy? - spytała Ewa.

- Orscln prawdopodobnie zabrał tajemnicę do grobu, choć wydaje mi się, że wielcy mistrzowie nie do końca posiadali tajemnicę tego skarbu. Nie przypuszczam, aby de Molay nie liczył się z tym, że Krzyżacy mogą mu kiedyś odmówić zwrotu depozytu. Zygfryd von Feuchtwangen dopomógł ukryć skarb w którymś ze swoich zamków, ale templariusze zrobili to tak zręcznie, że tylko oni znali do niego dostęp.

Urwałem. Ewa chwyciła mnie za rękę i ścisnąwszy ją mocno, nakazała mi milczenie. Usłyszeliśmy tupot kroków i dwa cienie przemknęły przez kamienny podworec zamku. Skryły się w mrocznym krużganku i znowu nastąpiła cisza. Na krótko zresztą. Po chwili doszedł naszych uszu powolny odgłos kroków, zbliżających się od strony Zamku Średniego.

Nadchodził nocny dozorca. Szedł wolno z latarnią, kołyszącą mu się w rękę, rozglądał się na wszystkie strony. Ewa wciągnęła nas z powrotem do „pokutnej” izdebki, gdzie ciasno stłoczeni oczekiwaliśmy, aż nas minie. Po jakimś czasie ucichło echo jego oddalających się kroków.

Wybiegliśmy na galeryjkę krużganku i spojrzeliśmy w dół. Ciekawiło nas, czy tajemnicze dwa cienie, które spłoszył dozorca, znowu pojawią się na podwórzu. Czekaliśmy dość długo z oddechem przytalonym w piersiach. Już zwątpiliśmy, czy ukażą się nam, gdy gdzieś w dole, pod krużgankiem, usłyszeliśmy szept rozmowy. Potem dwie osoby wolno przesunęły się w stronę bramy zamkowej.

Na palcach zbiegliśmy po schodach. Zobaczyliśmy, że dwa cienie minęły bramę zamkową i znalazły się na zwodzonym moście prowadzącym na Zamek Średni. Jeszcze krótka chwila i przepadły w ciemności.

- Może zesli do podziemi? Albo są w pałacu wielkiego mistrza? - szepnęła mi na ucho Ewa.

I poprowadziła nas w tamtą stronę. Przez uchylone drzwi weszliśmy do mrocznego korytarza. Minęliśmy zejście do podziemi, wspięliśmy się po schodach. Prowadziliśmy się za rękę,

jeden wiódł drugiego. Latarki nie chcieliśmy zapalać, aby nie spłoszyć tajemczycy gości, którzy tutaj właśnie - być może - przyczaili się.

Raptem jak gdyby zapluskał obok nas strumyk lub odkręcony kran z wodą. Przystanęliśmy i nastawiliśmy uszu.

Nie, to szemrała czyjaś rozmowa. Ale był to szmer dziwny, płynący spod ziemi. Wśliznęliśmy się do niszy, w której była kamienna ławeczka. Usiedliśmy. I wówczas szmer rozmowy stał się wyraźny, choć również płynął spod ziemi.

Po chwili zorientowaliśmy się, że przez niszę przechodził kanał w murach. Może był to kanał od centralnego ogrzewania lub odpowietrznik? Albo, znajdowała się tu część „aparatury podsłuchowej” zainstalowanej w pałacu wielkiego mistrza? Faktem jest, że siedząc na kamiennej ławce w niszy słyszeliśmy wyraźnie rozmowę, prowadzoną, nie wiadomo - na górnych czy też w dolnych kondygnacjach zamkowych. Być może zresztą, że rozmawiający znajdowali się tuż obok nas, w sąsiednim pomieszczeniu.

Mówiła kobieta:

- Zaczynam powoli mieć tego dosyć. Nie tak wyobrażałam sobie nasz urlop. Już drugą noc zostajemy w zamku i łazimy w podziemiach. W końcu domyślą się, że czegoś tu szukamy, nakryją nas i resztę urlopu spędzimy w areszcie.

Męski głos:

- Niczego się nie obawiaj. Nie robimy nic złego. Nawet gdyby nas nakryto, to wytłumaczymy się, że chcieliśmy w starych murach spędzić romantyczną noc. Co najwyżej potrzymają nas w areszcie jeden lub dwa dni, a potem wypuszczą. Zresztą, przecież to ty zaproponowałaś, abyśmy spędzili urlop szukając skarbu templariuszy.

Kobieta:

- Bo wydawało mi się, że to będzie przyjemna i wesoła rozrywka. A tymczasem zrobiła się z tego dość ponura zabawa. Dlaczego uwięziłeś tego faceta?

Mężczyzna:

- Nie chciałem, żeby nam uniemożliwił dzisiejsze poszukiwania w zamku. Myślisz, że nie domyślał się, po co on tu przyjechał? Śledzi nas. Jestem pewien, że to on okradł nauczyciela w Miłkokuku, a potem robił zdumione miny. To sprytny facet i dlatego musiałem go unieszkodliwić na dzisiejszą noc.

Szepnąłem do Ewy i chłopców:

- Oto i macie tajemniczego Bahometa, a raczej dwóch Bahometów.

- To jest to małżeństwo, które do Miłkokuku przyjechało niebieską skodą - usłyszałem odpowiedź Tella.

- Nie rozumiem, czego ty właściwie szukasz w zamku - powiedziała kobieta. - Czy myślisz, że skarb leży tu gdzieś na wierzchu i przez tyle setek lat nikt go nie znalazł?

- Mówiłem ci już sto razy: szukam na murach znaku trójkąta. Pozostawiał go zawsze architekt templariuszy, Piotr z Awinionu, na stawianych przez siebie budowlach.

- No i co z tego, jeśli znajdziesz ten znak?

- To prawie to samo, co znalazłbym już skarb.

- Nic nie rozumiem - odrzekła kobieta.

- Przecież chyba pamiętasz, co pisał nam na ten temat mój przyjaciel z Francji? Kiedy dla Feuchtwangena coraz bardziej aktualna stawała się sprawa przeniesienia stolicy zakonu z Wenecji do Prus, Krzyżacy pomyśleli o wyborze miejsca na stolicę. Feuchtwangen zwrócił się wtedy do de Molaya, z którym był w przyjaźni, o wypożyczenie mu dobrego architekta. Krzyżacy bowiem byli specjalistami w budowie zamków obronnych, ale tym razem chodziło o coś innego. O zamek-pałac. I w 1306 roku Piotr z Awinionu przyjechał do Prus, aby przystąpić do budowy pałacu-zamku, który miał służyć potrzebom wielkiego mistrza. A co to znaczyło? Musiał taki pałac-zamek mieć mnóstwo tajnych przejść, lochów i zakamarków, zapadni i skrytek. Musiał mieć urządzenie do tajnej obserwacji różnego rodzaju poselstw dyplomatycznych, dla podsłuchiwania rozmów i tak dalej, bez tego nie wyobrażano sobie prowadzenia wielkiej polityki. I myślę, że gdy później nad templariuszami zawisło niebezpieczeństwo gotowane przez Filipa Pięknego, nie gdzie indziej, tylko właśnie w skrytkach budowli, wznoszonej przez Piotra z Awinionu, najzręczniejszym było, oczywiście za pozwoleniem Feuchtwangena, ukryć skarb. Potem wybuchnęła sprawa templariuszy, Piotra z Awinionu odwołano do Francji i postawiono go pod sąd, podobnie jak innych członków tego Zakonu. Został on także skazany na śmierć i spalony na stosie. A ktoś inny już dokończył budowli zaczętej przez niego.

I ty myślisz, że w części budowli wzniesionej przez Piotra z Awinionu znajduje się ukryty skarb templariuszy?

Szukam na murach znaku, który on zazwyczaj pozostawiał. A więc właśnie trójkąta. Bo właśnie tam należy szukać skarbu.

- No, przecież chyba wiadomo, w jakich czasach wznoszono poszczególne budowle na zamku malborskim?

Nie wiemy jednak, którą część budowli wznosił Piotr z Awinionu. Mam przy sobie list od tego mojego przyjaciela. Poświęć mi latarkę, to ci jeszcze raz powiem, co on jeszcze pisze na ten temat...

Usłyszeliśmy szelest papieru i zaraz potem odezwał się mężczyzna:

- On pisze, że w ich archiwach zachowała się część korespondencji między Feuchtwangenem i de Molayem na temat zbudowania stolicy krzyżackiej na terenie Prus. I tu cytuje dosłownie, co Feuchtwangen pisał o przyszłej siedzibie:

Chciałbym, aby ta stolica stała się sercem naszego zakonu, była wielka i wspaniała, budziła zachwyt i podziw. Nazwę także damy jej piękną, choć może osobliwą. Chciałbym, aby stolica zakonu nazywała się: Serce Twoje. Każdy z rycerzy myśląc o niej będzie wiedział, że to nie tylko serce zakonu, ale i jego serce...

- Boże drogi - szepnąłem - że też nie przyszło mi na myśl coś takiego...

Słyszałem obok siebie przyspieszone oddechy chłopców. Oni także pojęli, że oto została rozwiązana zagadka zdania: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”.

Głos kobiety powiedział:

- „Serce Twoje” to Malbork, stolica Zakonu. Tu więc należy szukać skarbu, jeśli dosłownie rozumieć to hasło.

- Owszem - zgodził się mężczyzna. - Tylko że właśnie nie wiadomo, co w Malborku budował Piotr z Awinionu. Bo tylko tam szukać trzeba skrytki ze skarbami. Nasz przyjaciel przecież zaznacza w swoim liście, poświęć no mi lepiej latarkę...

Usłyszeliśmy cichy okrzyk. Jak gdyby kobieta przestraszyła się czegoś. A potem w „aparaturze podsłuchowej” rozległ się stłumiony, ale groźny męski głos:

- Ręce do góry! Podnieść ręce, bo będę strzelał... Połóżcie list na podłodze i cofnijcie się pod ścianę... O, tak. Dobrze. A teraz odwróćcie się twarzą do ściany...

- Proszę pana, niech pan nas nie zabija - błagała kobieta.

- Cicho! Nic wam nie zrobię, jeśli nie podniesiecie wrzasku - rzekł półgłosem mężczyzna. - zabieram list. A wy jakiś czas siedźcie spokojnie, to nie stanie się wam nic złego...

I nastąpiła cisza. Groźna, przynębiająca cisza,

- Ewa! Gdzie oni są? Gdzie to się dzieje - chwyciłem dziewczynę za ramię.

- Nie mam pojęcia. Oni są chyba gdzieś w podziemiach...

Doznawałem nieprzyjemnego uczucia bezsiły. Gdzieś obok nas tajemniczy bandyta odbierał list, w którym była informacja dotycząca położenia skarbu templariuszy, a ja słyszałem każde słowo bandyty i nie potrafiłem przeciwdziałać.

- Na podworec! Chodźmy na podworec - rozkazałem szeptem. - Bandyta będzie musiał tamtędy uciekać z podziemi.

Zbiegliśmy po schodach na wypełnione mrokiem podwórze Zamku Średniego. Ale przybyliśmy chyba za późno. Usłyszeliśmy już tylko kroki oddalające się do zwodzonego mostu na Zamek Wysoki.

Rzuciliśmy się biegiem za bandytą. Za nami, gdzieś daleko w tyle, ktoś coś wołał groźnym głosem. Zapewne był to dozorca zamkowy, który usłyszał kroki uciekającego.

W kilku ogromnych susach rabuś wbiegł na pierwsze piętro Zamku Wysokiego i zniknął w korytarzu, prowadzącym do wieży zwanej Gdanisko. Wówczas to, gdy dopadł schodów, widzieliśmy przez chwilę jego szczupłą sylwetkę.

Biegliśmy za nim wzdłuż wąskiego korytarza. Lecz on nagle zбочzył na drewnianą galeryjkę. Wiodły z niej schodki w dół aż do stóp zamku, gdzie dawniej znajdowało się miejsce spacerów i wypoczynku rycerzy zakonnych. Skacząc na drewnianych schodach widzieliśmy złoczyńcę, który dopadł muru i uchwycił się zwisającego z blanku grubego sznura. Był to chyba człowiek bardzo wysportowany, gdyż wspinał się po sznurze zręcznie jak linoskoczek. Okrakiem usiadł na murze, wciągnął sznur z węzłami i spuścił go na drugą stronę. Znowu chwycił się liny i zniknął nam z oczu po drugiej stronie.

Bezradnie zatrzymaliśmy się u podnóża wysokiego muru, przez który rabuś przeszedł z taką łatwością.

Wysoko na drewnianej galeryjce zabłysnęło światelko i usłyszeliśmy tupot kroków dozorca.

- Trzeba zmykać - powiedziała Ewa. - Zamiast my złapać tego typka, to dozorca nas złapie. Nie wiem, czy potrafilibyśmy wytłumaczyć naszą wizytę w zamku.

Tak jest - przytaknąłem. - Zmykajmy stąd jak najprędzej. Niech dozorca łapie Bahometa i jego małżonkę. Przydałby się im odpoczynek w areszcie.

Ewa zaprowadziła nas do tej samej furty w murze, którą wraz z chłopcami dostała się do

zamku. Znowu wiodła nas wśród krzewów i zarośli sobie tylko znanymi drożynami i wreszcie znaleźliśmy się na brzegu Nogatu.

Zziajani gonitwą i szybkim marszem przez krzaki, na chwilę usiedliśmy, aby odpocząć i porozmawiać.

- Strasznie ciekaw jestem, jaką informację zawierał list, który porwał tamten - westchnął Wilhelm Tell. - Może trzeba go było dalej ścigać?

Ewa wzruszyła ramionami:

- Kto ci bronił? Zanim okólną drogą dostalibyśmy się do miejsca, gdzie zeskoczył z muru, on zapewne znajdował się już daleko od zamku. Szukaj wiatru w polu.

Ewa ma rację - powiedziałem. - Dalsza gonitwa rzeczywiście nie miała sensu. Zresztą Bahomet chyba na pamięć zna wszystkie informacje, jakie były w liście. Jutro postaram się odnaleźć Bahometę i szczerze z nim porozmawiać. Mimo wszystko dzisiejsza noc przyniosła nam wielki sukces: wiemy, jak rozumieć słowa: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. Skarb jest schowany w stolicy Krzyżaków, Malborku. Wiemy także o architekcie templariuszy, Piotrze z Awinionu. O czym tak pilnie rozmyślasz? — zagadnąłem Sokole Oko, który pocierał swój długi, wścibski nochal.

- Zastanawiam się, proszę pana, dlaczego bandyta porwał list?

- Och, to przecież bardzo proste - zawołał Wiewiórka. - On chciał zdobyć informacje zawarte w liście.

- No pewnie. Nad czym się tu zastanawiać? - przytaknął Wilhelm Tell.

Ale Sokole Oko ciągle pocierał swój nos.

- Powiadam wam, że to wcale nie takie proste. Podobnie jak i my, ukryty w jakimś zakamarku, słyszał rozmowę Bahometę z żoną. Zamiast wkraczać z bronią w rękę i porywać list, mógł przecież spokojnie czekać, aż Bahomet zdradzi swej żonie wszystkie informacje. Przecież nie sam list jest ważny, ale to, co w nim napisano. A właśnie tego mógł bez żadnych trudności dowiedzieć się od Bahometę. Dlaczego więc porwał list?

- Może lękał się, że nie zapamięta informacji i wołał je mieć napisane w liście? - powiedziała Ewa.

- Może... - skinął głową Sokole Oko. - Ale ja myślę co innego... Jutro, a najdalej pojutrze Petersenowie otrzymają propozycję kupna tego listu.

- Co?! - krzyknęli zdumieni chłopcy. - Więc myślisz, że to był Malinowski? Przecież

Malinowski musiał zostać nad jeziorem Pomorze, aby odebrać okup.

Wtrąciłem się:

- Jeśli posiada szybki samochód, to był w stanie załatwić poprzedniej nocy sprawę okupu i zjawić się tutaj już późnym popołudniem. Musi to być człowiek o żelaznej kondycji: nie przespał nocy, potem jechał kawał drogi i następną noc znowu spędza na niebezpiecznych eskapadach. Niewykluczone oczywiście, że Malinowski nie działa sam. Ma pomocnika, który pozostał nad jeziorem Pomorze, podczas gdy sam Malinowski wyruszył do Malborka...

- W ślad za nami - dodał Wilhelm Tell.

- Niekoniecznie. Może właśnie za niebieską skodą Bahometa? Wydaje mi się, że sprawa przedstawia się następująco: ten bandyta to Malinowski lub też jego pomocnik. Przyjechał tutaj śledząc poczynania Bahometa, który noc w noc pozostawał w zamku malborskim i szukał znaku trójkąta. Również i bandyta pozostawał w zamku i śledził poczynania Bahometa, aby skorzystać z owoców jego pracy. Tymczasem my nadjechaliśmy. Bahomet nas zauważył i postanowił mnie unieszkodliwić, zamykając drzwi celi Kiejstuta. To było także na rękę bandycie. Obydwaj nie przewidzieli, że wy uwolnicie mnie z celi. Śledząc Bahometa Malinowski, podobnie jak i my, zapewne dzięki aparaturze istniejącej w pałacu wielkiego mistrza, podsłuchał rozmowę Bahometa z żoną i wtrącił się do niej, wkraczając z bronią w rękę i porwijąc list. Doszedł bowiem do wniosku, że szukanie znaku trójkąta do niczego nie doprowadzi. Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Lepiej dostać kilka tysięcy złotych od Petersenów niż tracić czas na dalsze śledzenie Bahometa. Oto i cała tajemnica nocnych wydarzeń w zamku.

- Pan także przypuszcza, że Petersenowie otrzymają propozycję kupna listu? - ucieszył się Sokole Oko.

- Gdy tylko przyjadą - powiedziałem - nayychmiast znajdą list z propozycją kupna cennych informacji.

- Kapitan Petersen znowu będzie szalał ze złości - rzekł Wiewiórka i zaczął naśladować złoźreczenie kapitana.

Chłopcy parsknęli śmiechem. Poderwałem się z trawy.

- Idziemy spać. Ewa też jest chyba śpiąca.

- Ja? - oburzyła się Ewa. - Całą noc mogę ściągać bandytów. Bardzo mi się podoba takie

zajęcie. Przystaję do was. Szukanie skarbów to także i moja specjalność.

- A jak wytłumaczysz mamie tak późny powrót do domu? - spytałem.

- Po prostu opowiem jej o wszystkim - powiedziała.

- Co takiego? Chcesz ją wtajemniczyć w nasze sprawy? - oburzyli się chłopcy.

- A pewnie, że ją wtajemniczę. Ona może nam pomóc. Nigdy jej nie okłamuję. A poza tym ona doskonale zna historię Krzyżaków i niejednego można się od niej dowiedzieć.

Okrążając ulicą zamek, pomaszerowaliśmy w stronę obozowiska. Mimo dość późnej pory świeciło się jeszcze wiele okien w nowoczesnych blokach mieszkalnych zbudowanych w pobliżu średniowiecznego zamku, na miejscu starego miasta zburzonego podczas wojny. Jedyną pozostałością po starym mieście był piękny, zabytkowy ratusz, położony przy drodze z zamku do miasta.

W pobliżu ratusza natknęliśmy się na idącą śpiesznym krokiem od strony miasta - samotną kobietę. Byliśmy ciągle zajęci rozmową o wydarzeniach w zamku i nie zwróciliśmy na nią uwagi. Było zresztą ciemno, latarnie uliczne paliły się w dużej odległości od siebie, twarz idącej pozostawała w mroku. Ale nic nie mogło ujść bystremu spojrzeniu Sokolego Oka. Zatrzymał się raptownie i powiedział:

- Dobry wieczór, pani Anko! Co za miłe spotkanie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

DŁUGI OZÓR – TWARZĄ W TWARZ Z BAHOMETEM – TCHÓRZOSTWO
BAHOMETA – PAN MOTOCYKLIK – BÓJKA NAD NOGATEM – ZNOWU LIST

- Wszelki duch Pana Boga chwali. To pani? Tutaj? O północy? - zawołałem zdumionym głosem.

Anka na krótką chwilę zmieszła się, ale natychmiast odzyskała pewność siebie.

- Każda pora jest dobra na tak radosne spotkanie. - rzekła ironicznie. - Z jakiej to nocnej wycieczki wracacie, sympatyczni panowie?

- A pani?

- Idę z poczty. Telefonowałam do swej redakcji w Warszawie i długo czekałam na połączenie. Panowie zaś pewnie z zamku?

- Nocą zamek jest zamknięty - powiedział Sokole Oko. - Obserwowaliśmy tylko sylwetkę zamku w świetle księżyca. A teraz wracamy do obozowiska.

- Wasza obserwacja była chyba dość utrudniona, ponieważ dzisiejszej nocy dość kiepsko świeci księżyc - stwierdziła drwiąco.

- A pani od dawna w Malborku? - zagadnął ją Wiewiórka.

- Od rana. Wy zaś przyjechaliście chyba popołudniu. Przechodziłam koło pola namiotowego i zauważyłam waszą pokrakę.

- Co takiego? - oburzył się Tell.

- Mam na myśli wasz wehikuł. Panowie wyjechaliście później ode mnie. Ciekawam, czy nad jeziorem zdarzyło się coś ciekawego. Co z panem Malinowskim?

- To pani powinna wiedzieć, co jest z panem Malinowskim - oburzył się Tell.

- Ja? - zrobiła zdumioną minę.

- A tak, właśnie pani. Uważamy, że pani jest podejrzaną osobą - zawołał Wiewiórka. - Dawniej ufaliśmy pani, ale teraz przestaliśmy. Pani myśli, że nie widzieliśmy, jak z półwyspu na jeziorze odjeżdżała pani motocyklem?

- Ech, detektywi, detektywi - pokiwała głową. - Przecież powiedziałam wam, że wybieram się do Malborka. Pan Samochodzik nie chciał mnie zabrać, więc musiałam znaleźć

jakiś środek lokomocji. Pewien młody i sympatyczny człowiek zaofiarował się przewieźć mnie motocyklem i miałam nie skorzystać z okazji? Wyznaję, że nie była to przyjemna podróż. O mało nie wyzionęłam ducha. On pędził junakiem jak szatan, a mnie głowę urywał pęd powietrza i wnętrzości mi się przewracały. Ale, jak widzicie, jestem także w Malborku. Mieszkam w tym wielkim bloku. Na kilka dni wynajęłam pokój w prywatnym mieszkanku. Blok numer 4, a mieszkania numer 10. Bardzo proszę, za dnia możecie złożyć mi wizytę,

Zapytałem bardzo grzecznie:

- Czy może nam pani zdradzić, w jakim celu przyjechała pani do Malborka?

Wzruszyła ramionami.

- Boże drogi, już po raz dziesiąty wyjaśniam, że chcę napisać reportaż o wariatach, którzy szukają skarbu templariuszy. A ponieważ poszukiwacze skarbu gremialnie przenoszą się do Malborka, więc i ja musiałam tu przyjechać.

- Powiedziała pani: gremialnie - podchwyciłem. - Czy oprócz nas przyjechał tu ktoś jeszcze?

- Spotkałam tu małżeństwo w niebieskiej skodzie. Przed chwilą spostrzegłam jadącego ulicą lincolna Petersenów, a teraz natknęłam się na pana Samochodzika i jego wesołą czeredę.

- Proszę mnie nie nazywać panem Samochodzikiem - rzekłem surowo.

- A my nie jesteśmy żadną wesołą czeredą - rozgniewali się chłopcy.

- O, więc naprawdę nie lubicie mnie - stwierdziła z żalem Anka. - I nigdy już nie dowiem się o waszych nowych przygodach?

- Nigdy - powiedział Tell. Wiewiórka dumnie wyprężył pierś.

- Nic się pani od nas nie dowie. A mielibyśmy dużo do opowiadania...

Wiewiórka nie dokończył, bo Sokole Oko i Tell zatkali mu dłońmi usta. Biedak już tylko bełkotał, a raczej pomrukiwał niezrozumiale.

- Na litość boską, puście go, bo się udusi! - krzyknąłem.

- Gaduła! Klepa! - wołali na Wiewiórkę obydwaj chłopcy. - Od dzisiaj, zamiast Wiewiórka, będziesz nazywał się Długi Ozór.

Puścili chłopaka, który ciężko dysząc, począł się tłumaczyć:

- Przecież ja nic nie powiedziałem...

- Długi Ozór! Długi Ozór!

Anka udała gniew:

Dosyć tego! Maszerować spać! Już jest po dwunastej! Jak panu nie wstyd, panie Samochodzik, włóczyć po nocy chłopców. Zdaje się, że będę musiała napisać do ich rodziców i poskarżyć na pana.

- Skąd ta troska o chłopców? - tym razem ja ironizowałem. - Być może, rzeczywiście ostatnio późno chodzą spać. Ale przynajmniej uczą się różnych ciekawych spraw.

- Wyobrażam sobie, jakich okropnych rzeczy ich pan uczy - westchnęła.

- Uczę ich, że do celu trzeba iść prostą drogą, bez krętactw. Natomiast pani przykład działa demoralizująco. Z pozoru dobrze pani patrzy z oczu, a w gruncie rzeczy...

- Co: „w gruncie rzeczy”? - oburzyła się. - Nic o mnie nie wiecie. W stosunku do mnie kierujecie się pozorami. Jesteście naiwni jak dzieci. Powiadam wam, że beze mnie napytacie sobie tylko wielkiej biedy. Postanowiłam się wami zaopiekować. I panem także! - krzyknęła na mnie groźnie, bo zrobiłem powątpiewającą minę. - Pan jest najbardziej naiwny z całej pańskiej gromadki. No, cześć, chłopaki - machnęła ręką i pomaszerowała w stronę bloków mieszkalnych.

- Boże broń przed taką opiekunką - mruzczałem pod nosem.

- Może ona nie jest aż tak podejrzana, jak to się nam wydaje? - zastanawiał się Wiewiórka. Rozgniewało mnie takie gadanie.

- Możecie się poddać opiekuńczej troskliwości tej pani. Co do mnie jednak, to ja wolę zostać bez opiekunki, rozumiecie?

- Ona jest w gruncie rzeczy bardzo sympatyczna - zauważył Wilhelm Tell.

- „W gruncie rzeczy”, „w gruncie rzeczy” - przedrzeźniałem Tella. - Co wiemy, jaka ona jest „w gruncie rzeczy”. Niech sobie będzie najbardziej sympatyczna. Wolę trzymać się od niej z daleka. Obsmaruje nas tak w gazecie, że cała Polska będzie się śmiała.

Weszliśmy na pole namiotowe nad rzeką. Dopiero teraz spostrzeżliśmy, że między szeregami aut znajdowała się także niebieska skoda.

- Gdzie my mamy oczy? - stuknąłem się dłonią w czoło. - Zachodziliśmy w głowę, kto jest Bahometem.

W najbliższym sąsiedztwie naszego obozowiska zobaczyliśmy lincolna i domek na kółkach. Kozłowski właśnie rozbijał dla siebie namiocik w pobliżu domku.

- Uszanowanie panu - powitaliśmy go chórem.

- Serwus, panowie - odrzekł Kozłowski. - Skąd panowie wracacie?

- „Z nocnej wracamy wycieczki” - znowu odpowiedzieliśmy chórem.

Chóralne okrzyki wywołały z domku pannę Petersen.

- Czy znaleźliście już skarb templariuszy? - spytała złośliwie. Wyrwał się Wiewiórka:

- Jesteśmy o krok od skarbu. Pan Samochodzik już wie, co znaczy: „Tam skarb twój, gdzie...”

Nie dokończył biedaczek, bo Tell i Sokole Oko zakryli mu dłońmi usta.

- Długi Ozór! Długi Ozór! - krzyczeli na Wiewiórkę.

Panna Petersen złożyła błagalnie dłonie:

- Puśćcie tego nieboraka. On się udusi...

Z jej twarzy zniknął złośliwy uśmiezek. Chłopcy puścili Wiewiórkę, a ten żalił się płaczącym głosem:

- Przecież ja nic takiego nie powiedziałem? Oni zaraz huzia na mnie. To mnie już w ogóle nie wolno się odzywać?

Słowa Wiewiórki usłyszał Kozłowski. Przerwał budowę namiotu, podszedł do Karen i powiedział jej szeptem, że uzyskaliśmy jakieś nowe informacje w sprawie skarbu.

Zabrałem chłopców do naszego obozowiska, lecz Karen nie dała nam spokoju. Przyszła i zaczęła rozmowę:

- Pan miał słuszność, mister Samochodzik. Dokument okazał się bezwartościowy. Wydałam na niego dużo pieniędzy. Wie pan, co on zawierał? Dotyczył nie skarbu, ale zakupu wołów dla zakonnego gospodarstwa. Ojciec budzi się rano i kładzie się spać wieczorem wygrażając Malinowskiemu. Jedyna moja nadzieja, że pan zechce przystąpić do współpracy. Dokument zwróciliśmy nauczycielowi w Miłkokuku, a ja straciłam ostatnią szansę odnalezienia skarbu. Pomoże mi pan? Prawda?

- Pomoże pani Malinowski - powiedziała. - Zapewne jeszcze dzisiaj otrzyma pani propozycję kupna nowych, cennych informacji.

- Co pan mówi? Pan się widział z Malinowskim? - spytała z odrobiną zdumienia, połączonego ze strachem.

- Nie. To znaczy, w pewnym sensie, tak. Widziałem go. Rabował list z informacjami. Ściagałem go, ale umknął. Kradzież i rabunek to zdaje się stały system działania tego osobnika. Rabunku zapewne dokonał z myślą o pani. Skoro już raz udało mu się wyciągnąć pokąsną sumę pieniędzy, to i teraz zechce także spieniężyć nowe informacje...

- Skąd pan wie, że one są rzeczywiście cenne?

- Bo ja je znam, proszę pani. Zerwała się na równe nogi.

- Ach tak? - rzekła. - Pan już je zna? A więc ten mały miał rację. Pan jest o krok od skarbu, a ja ciągle pozostaję w tyle. W takim razie niech Malinowski jak najprędzej przybywa z propozycją. Zapłacę każdą cenę.

I odeszła szybkim krokiem do swego domku. Chciałem jej jeszcze coś powiedzieć, ale ona nawet nie wyraziła gotowości wysłuchania mnie do końca. Zirytowała ją wiadomość, że ja wiem więcej niż ona. Jakże bardzo pragnęła odnaleźć ten skarb!

- Nie, to nie - mruknąłem i wlałem do swego namiotu. Moi trzej przyjaciele od dawna chrapali w drugim namiocie.

Obudziłem się dość późno. Wyjrzałem na dwór i stwierdziłem, że niebo zaciągnęło się deszczowymi chmurami, z których od czasu do czasu pokapywało. Ta pogoda nastrajała bardzo sennie, więc zamierzałem z powrotem skryć się w śpiworze, gdy zauważyłem pana Kozłowskiego powracającego od strony miasta.

Na polu campingowym ktoś właśnie składał namiot, szykując się w dalszą drogę. Kobieta przecierała szmatką szybę niebieskiej skody.

Ubrałem się i poszedłem w tamtą stronę,

- Dzień dobry, panie Bahomet - odezwałem się do grubego, puciołowatego jegomościa składającego namiot. - Jak się pan wydostał z zamku? Nie miał pan żadnych kłopotów?

Puciołowaty pan spojrzał na mnie z ogromnym strachem, a jego małżonka, myjąca szybę samochodu, aż przybladła. Ona także była grubiutka i stanowiła żeńskie wydanie swojego małżonka. Wydawało mi się, że obydwójce są do siebie podobni jak brat i siostra.

- Wyjeżdżacie państwo? - spytałem uprzejmie, na poprzednie słowa nie otrzymałem odpowiedzi.

- Tak - głucho rzekł Bahomet.

- W takim razie dobrze się składa, bo przed wyjazdem zdążymy pogwarzyć.

Bahomet przestraszył się jeszcze bardziej, a jego małżonka znacznie silniej przybladła.

- Nie powiem, abym był bardzo zadowolony z wczorajszej przygody. Nawet sobie nie wyobrażacie państwo, jakie to nieprzyjemne przebywać w celi więziennej. Nigdy dotąd nie siedziałem w więzieniu. A pan? - zagadnąłem Bahometa.

- Ja też nigdy nie siedziałem w więzieniu - jęknął.

- Niewykluczone, że to się może panu przydarzyć - rzekłem robiąc srogą minę. - Bezprawne zamykanie kogoś na całą noc w zimnej celi jest karalne. Jak mówi przysłowie: kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Pan mnie zamknął w celi Kiejstuta, a ja teraz mogę pana zamknąć w celi aresztu.

- Ależ ja... nic takiego... - niezręcznie wykręcał się Bahomet. Jego żona złożyła ręce jak do modlitwy i powiedziała błagalnie:

- Niech mu pan daruje. On to zrobił z głupoty. Przysięgam panu, że my już nie będziemy poszukiwać dalej skarbu templariuszy. Nigdy nie wejdziemy panu w drogę. Rezygnujemy z poszukiwań i odjeżdżamy.

- Dlaczego? Tak przyjemnie się z państwem poszukiwało - rzekłem ironicznie.

- Ach, proszę pana - jęknęła żona Bahometa - to nie było zajęcie dla nas. Jesteśmy spokojnymi ludźmi. Mój mąż pracuje jako inżynier chemik. To ja, ja jestem wszystkiemu winna. Przeczytałam o historii skarbu templariuszy, napisaliśmy list do przyjaciela męża we Francji, historyka, i od tego właśnie zaczęło się nasze nieszczęście. Namówiłam męża, abyśmy szukali skarbu podczas letniego urlopu. Ale od dzisiaj już nie będziemy panu przeszkadzać. Wyjeżdżamy.

- Państwo mi nie przeszkadzali - stwierdziłem. - To raczej chyba ja w czymś przeszkadzałem, skoro mnie zamknęliście w celi Kiejstuta. Nie mam jednak żadnej urazy za ten niemądry dowcip. Moi przyjaciele wkrótce uwolnili mnie z celi, więc ta przykra przygoda nie trwała długo. Potem zamierzałem nawet pomóc wam, gdy zostaliście napadnięci, ale zaszyliście się w taką dziurę, że nie mogłem was znaleźć. Na domiar złego wmieszał się w to wszystko dozorca zamkowy i musiałem zmykać.

Małżeństwo dygotało ze strachu. Domyśliłem się, że mi nie wierzą i biorą mnie za zamaskowanego bandytę.

- Proszę państwa - powiedziałem uroczyście przykładając dłoń do piersi na znak wielkiej szczerości. - Podstawowy błąd, jaki popełniście, to ten, że we mnie upatrywaliście głównego wroga. A ja, owszem, jestem waszym konkurentem, ale nie wrogiem. To nie ja włamałem się do domku nauczyciela. I to nie ja napadłem na was, aby odebrać list od przyjaciela.

Opowiedziałem im o historii z Malinowskim, o okupie złożonym w kapliczce leśnej. Wyjaśniłem im też, jak to się stało, że byłem niemal świadkiem napadu zamaskowanego bandyty.

- List, który posiadaliście, znowu posłuży Malinowskiemu do wyciągnięcia pieniędzy od Petersenów - rzekłem. - Oburza mnie ten bezczelny bandyta. Dlatego zwracam się do was z propozycją: pomóżcie mi w walce z nim.

Nigdy! Co to, to nie! - krzyknęła z przestachem małżonka Bahomet. - My jesteśmy spokojni ludzie. Rezygnujemy z poszukiwania skarbów. Wyjeżdżamy, Ach, żeby pan wiedział, co ja przeżyłam, gdy bandyta mierzył do nas z pistoletu.

- To chyba jednak nie był pistolet - kręcił głową pan Bahomet. - Dochodzę do przekonania, że on groził nam po prostu czarną latarką elektryczną. A my, przerażeni, nie bardzo przyjrzelśmy się temu, co on trzyma w ręku.

- Wszystko jedno: latarka czy pistolet! - wołała żona Bahomet. - Nie pozwolę, abyś się narażał złym ludziom. Wyjeżdżamy. Należy się nam wypoczynek po tych wszystkich przeżyciach.

- No, słyszy pan? Żona mi nie pozwala - Bahomet bezradnie rozłożył swoje tłuściutkie rączki. Skinąłem głową.

- Może ma i rację. Walka z bandytami nie jest zajęciem dla państwa. Ale chyba nie chcecie, aby bandyta odniósł korzyść z napaści na was?

- Mnie jest wszystko jedno - rzekła ostrożnie pani Bahometowa. - Ja pragnę tylko wyjechać stąd jak najprędzej.

- A pan?

- Zależy, czego pan żąda ode mnie...

- Chcę wiedzieć, jakie informacje w sprawie skarbu zawierał list od waszego przyjaciela. W ten sposób ja będę wiedział akurat tyle samo, co bandyta. Być może, zdołam wtedy pomieszać mu szyki.

- Powiem panu! Naturalnie, że powiem! - Bahomet ucieszył się, że tylko tyle od niego żądam, Myślał, biedak, że poproszę go, aby wraz ze mną ścigał po nocach groźnego przestępcę.

- Powiem panu wszyściutko, co wiem. Otóż mój przyjaciel zaznaczał w końcowej części swego listu, że Zygfryd von Feuchtwangen, myśląc o przyszłej stolicy zakonu krzyżackiego, niekoniecznie musiał mieć na względzie Malbork, który przecież nazywał się Marienburg, a nie Serce Twoje. Nie jest wykluczone, że Feuchtwangen zamierzał wybudować stolicę gdzieś w nowym miejscu i tam właśnie rozpoczął swe prace Piotr z Awinionu. Potem, jak wiemy z historii, dość nagle wyniknęła sprawa przeniesienia jej do Prus. A ponieważ budowa stolicy była

dopiero rozpoczęta, Feuchtwangen przyjechał do Malborka, gdzie był już zamek o stosunkowo dużych rozmiarach. W tym czasie zresztą Piotr z Awinionu powrócił do Francji i tam zginął, co zahamowało prace przy budowie stolicy. A być może z chwilą przeniesienia się wielkiego mistrza do Malborka zarzucono w ogóle plany budowy nowej stolicy, a wysiłek następców Feuchtwangena poszedł w kierunku rozbudowy zamku malborskiego.

- A więc to jednak, być może, wcale nie Malbork... - szepnąłem.

Pani Bahometowa, dotąd blada ze strachu, teraz pokraśniała z zadowolenia. Powiedziała z dumą:

- Słyszysz pan, jak mój mąż doskonale orientuje się w historii? Jest chemikiem, ale historia to jego hobby. Czy pan wie, że to właśnie on wziął pierwsze miejsce w telewizyjnym turnieju? Wygrał dwadzieścia tysięcy złotych za swoje odpowiedzi z historii średniowiecza. Namawiałam go, żeby się zajął poszukiwaniem skarbu templariuszy, myślałam, że może znów nam się poszczęści. Okazuje się jednak, że w tej sprawie nie tylko trzeba wiedzy, ale i mocnych pięści. A do tego to mój mąż się nie nadaje. I dlatego wyjeżdżamy.

Bahometowa była nieustępliwa. Miała już dosyć nocnych wizyt w zamku, a nade wszystko bała się tajemniczego bandyty.

- Całą noc przesiedzieliśmy w zamkowej piwnicy - opowiadała, - Dozorca pognął za panem i za bandytą, nie domyślił się, że ktoś jeszcze pozostał na terenie zamku. Rano, gdy zjawila się pierwsza wycieczka, po prostu przyłączyliśmy się do niej i wraz z nią opuściliśmy zamek. W piwnicy było tak zimno, że szczękaliśmy zębami.

Małżonkowie zabrali się do zwijania namiotu. Bardzo się śpieszyli, chcieli jak najprędzej opuścić Malbork, gdzie spotkały ich nieprzyjemne przygody.

Odjechali swą niebieską skodą, a ja jeszcze jakiś czas przyjaźnie kiwałem im ręką. Polubiłem ich podczas tej jednej rozmowy. Udzielili mi informacji, które mogły mnie zaprowadzić do skarbu. A to było chyba najważniejsze.

Po powrocie do obozowiska zastałem chłopców zajętych przygotowywaniem śniadania. Padał deszcz, więc chłopcy rozwiesili na czterech kołkach brezentową pałatkę i pod tym zaimprovizowanym dachem gotowali kawę na spirytusowej maszynie.

U naszych sąsiadów, czyli u Petersenów, także rozpoczął się ruch. Kapitan przyniósł ze studni wiadro wody, a przez otwarte drzwi domku campingowego widziałem, że panna Karen smażyła na gazowej kuchence jajecznicę. Przy tym zajęciu pomagał jej Kozłowski, ona zaś

mówiła mu o czymś, żywo gestykulując; zapewne powtarzała mu wczorajszą rozmowę ze mną.

Petersen nie był chyba zachwycony treścią tej rozmowy, bo przyniósłszy wiadro postawił je tak gwałtownie na podłodze domku, że woda chlusnęła na wszystkie strony. Zaraz wyniósł się stamtąd i przyszedł do nas w odwiedziny. Odstąpiliśmy mu trochę miejsca pod brezentowym dachem, poczęstowaliśmy go kubkiem gorącej kawy.

- Tak, tak, mister Samochodzik - westchnął Petersen. - Nie udał mi się przyjazd do waszego kraju.

- No, kraj mamy piękny - powiedziałem. - Lasy, jeziora...

- Ani skarbu, ani Malinowskiego - warknął. - Moja córka opowiedziała panu, jak się skończyła historia z okupem? Dokument był bezwartościowy, a Malinowski wyłudził za niego pięć tysięcy złotych.

- Niech pan będzie spokojny. Jak mówi nasze przysłowie: Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Dwa razy oszukał nas Malinowski, ale trzeci raz już mu się to nie uda. Jak to mówią po łacinie: Omne trinum perfectum, czyli do trzech razy sztuka.

- Córka napomknęła mi, że Malinowski jeszcze raz zwróci się do nas z propozycją kupna informacji.

- Mam nadzieję, że teraz już państwo okażą nieco więcej rozsądku. Trzeba tę sprawę oddać w ręce milicji.

- Ja też byłem tego zdania - pokiwał głową. - Ale pan chyba zdążył poznać moją córkę. To szalona dziewczyna. Uparła się, że musi te skarby odnaleźć. Nie wiem, co z nią pocznę, ona, zdaje się, gotowa jest na wszystko. Pokłóciłem się z nią dziś rano przez tego Malinowskiego. Kłótnią jednak niczego się nie zdała. Czuję się bezradny i związany słowem, bo rzeczywiście przed wyjazdem przyrzekłem jej kierowniczą rolę w naszej wyprawie. Niech pan wie jednak, że bez względu na to, jak się zachowa moja córka, chciałbym, aby uważał mnie pan za swojego przyjaciela. Nic mnie nie obchodzi skarb templariuszy, nie mrugnę nawet okiem, jeśli pan go odnajdzie, a nie Karen. Mój cel to schwytać Malinowskiego i zaprowadzić go do więzienia.

- Pod tym względem może pan liczyć na moją pomoc - rzekłem uroczyście. - Malinowski musi zostać przykładowie ukarany. Inaczej nie będę miał spokojnego sumienia.

Podaliśmy sobie ręce i uścisnęliśmy je mocno, po męsku. Właśnie na tę uroczystą chwilę wyszła z domku panna Karen. Była ubrana w gumowy płaszcz nieprzemakalny,

zapewne wybierała się na dłuższy spacer.

- Mister Samochodzik - powiedziała cierpko – ma coraz nowych zwolenników. Nawet mój ojciec przeszedł do jego obozu. Ale choćby wszystko sprzymierzyło się przeciw mnie, ja i tak nie zrezygnuję ze skarbów. Idę z panem Kozłowskim zwiedzić zamek malborski.

I wraz z panem Kozłowskim pomaszerowała w stronę zamku.

- Idźcie za nimi - szepnąłem do harcerzy. – Zwracajcie uwagę, co ich zainteresuje na terenie zamku. Może jednak Karen wie więcej ode mnie? Chłopcy poszli za Kozłowskim i Karen, Petersen wrócił do domku, żeby zjeść jajecznicę. Zająłem się zmywaniem naczyń po śniadaniu. I przy tej czynności zastała mnie Anka.

- Oto najwłaściwsze zajęcie dla pana - powitała mnie z ironią. - Pięknie zmywa pan naczynia. Można śmiało rzec: właściwy człowiek na właściwym miejscu. Chłopców wysłał pan na przeszpiegi, a sam zajął się kuchnią.

- Dlaczego pani mówi, że chłopców wysłałem na przeszpiegi? Brr, cóż to za brzydkie wyrażenie?

- Spotkałam ich po drodze. Najpierw szła panna Petersen i Kozłowski, a za nimi skradali się harcerze. A miny mieli takie, jak gdyby powierzono im zadanie wagi państwowej. Nawet gadać ze mną nie chcieli.

- Bo nie ufają pani.

- A wszystko dlatego, że ośmieliłam się przyjechać do Malborka. I do tego motocyklem. No, jasne, pan Samochodzik nie lubi motocykli. W przeciwnym razie jeździłby motocyklem i nazywałby się: pan Motocyklik. A czy pan wie, że to byłoby ładniejsze przezwisko?

- Dziękuję pani uprzejmie. Zostanę przy swoim.

- Jak pan uważa - wzruszyła ramionami.- Ale nie może pan mieć do mnie pretensji, że wybrałam motocykl. Zresztą, pan nie chciał mnie zabrać do Malborka swoją muzealną pokraką.

- Co to za typ, ten Mysikrólik? - spytałem.

Wzruszyła ramionami:

- Akurat wiem tyle samo, co i pan. Zjawił się w ośrodku dziennikarzy, aby wypożyczyć motorówkę. Zaproponowałam mu, żeby mnie zawiózł do Malborka. Zgodził się. Powiedział, że jest na urlopie i nie ma nic lepszego do roboty, jak wozić motocyklem ładne dziewczyny.

- Ba - mruknąłem.

- Nie jestem ładna?

- Pani pozwoli, że się nie wypowiem.

- On uznał mnie za ładną. Kazałam mu czekać po drugiej stronie jeziora. A wie pan dlaczego? Nie chciałam, żeby mnie ktoś widział odjeżdżającą motocyklem. Myślałam, że w Malborku sprawię panu ogromną niespodziankę.

- Och, niespodzianka była ogromna - przytaknąłem.

- Nie wzięłam tylko pod uwagę, że najmilszym zajęciem pana Samochodzika jest obserwowanie bliźnich.

- Znam jeszcze kilka innych miłych zajęć. Na przykład zmywanie naczyń - powiedziałem.

Ułożyłem czyste naczynia w specjalnym pudełku, wytarłem ręce w ściereczkę.

Drobnym kroczkiem zbliżył się do nas dziwacznie ubrany człowiek. Był mały, w krótkich spodenkach i w pasiastej marynarskiej koszulce.

- Cześć, panie szanowny - powitał mnie jegomość. - Jestem tu od wynajmowania turystom kajaków. Jakby chciał pan popływać z panienką na Nogacie, to proszę do mnie, jak w dym. Tam w dole mam przystań.

- Przecież pan chyba widzi, że deszcz leje - rzekłem.

- Deszcz panu przeszkadza? - zdumiał się jegomość i podszedł nieco bliżej. - Prawdziwemu sportowcowi deszcz nie szkodzi. Nie jest pan z cukru.

- Z cukru nie jestem, to fakt - kiwnąłem głową. - Ale moknąć także nie mam zamiaru.

- To nie chcesz pan popływać kajakiem? Godzinę, dwie, nawet na cały dzień można u mnie wynająć. Moja wypożyczalnia szeroko jest znana. Dobra firma, powiadam panu. Z tą zakochaną w panu panienką piękną przejażdżkę możesz pan zorganizować.

- Nie. Dziękuję - powiedziałem. A Anka zarumieniła się na słowa o zakochanej panience.

- Nie, to nie - westchnął jegomość w kaszkiecie. - A kto mieszka w tym domku na kołach? Może jemu przyda się kajak?

- To cudzoziemiec - wyjaśniłem. - Duńczyk. Ale można z nim po angielsku rozmawiać. Jeśli pan chce, będę służył za tłumacza.

- E, panie. Ja sam potrafię się z nim rozmówić. Jak to mówią: porządny człowiek z porządnym człowiekiem zawsze się dogada. Cudzoziemców dużo tu przyjeżdża zamek

oglądać i kajaki u mnie wynajmują, więc to i owo w różnych językach nauczyłem się mówić.

Poszedł do obozu Petersenów i zapukał do drzwi ich domku. Wyszedł do niego kapitan Petersen - przed chwilą mył się, bo był rozebrany do pasa, na owłosionej piersi zobaczyliśmy wytatuowaną niebieską kotwicę.

- Panie marynarz - rzekł do niego jegomość w kaszkiecie - kajaki wynajmuję.

- Co takiego? - spytał po angielsku kapitan.

- Kajaki wynajmuję. Yes. Kajaki - tłumaczył jegomość.

- Kajaki? - powtarzał zdumiony Petersen. - Co to jest: kajaki.

- Yes, kajaki - kiwał głową jegomość. - Pan jest marynarz, więc się dogadamy.

Niedrogo biorę. Wynajmuję na godzinę, dwie, nawet na cały dzień.

Petersen podrapał się w głowę, bo nic a nic nie rozumiał z tego, co mu mówił jegomość w kaszkiecie. Na wszelki wypadek zapytał go:

- Czy nie zna pan może Malinowskiego?

- Malinowskiego? - oczy jegomościa wypełniło zdumienie.

- Malinowski, yes, Malinowski - powtarzał Petersen.

Jegomość stuknął się palcem w pierś:

- Ja jestem Malinowski. Pan o mnie słyszał? Nie wiedziałem, że moja firma jest tak szeroko znana w świecie. Aj em Malinowski - przypomniał sobie kilka słów po angielsku.

Petersen ryknął jak dziki bawół:

- Malinowski?! Pan jest Malinowski?!

- Yes, sir, ja jestem właśnie Malinowski - przytakiwał radośnie jegomość.

Petersen rzucił na trawę ręcznik, który miał przewieszony na nagich ramionach. Potem - ogromny jak goryl - chwycił za kark malutkiego jegomościa w kaszkiecie. Począł nim trząść jak gałązką.

Ty jesteś Malinowski? - wrzeszczał. - I przyszedłeś, żeby znowu wyłudzić pieniądze? Ty oszuście! Ty złodzieju! Mam cię nareszcie, ze skóry obłupię!

Krzyk Petersena wywabił ludzi ze wszystkich namiotów na campingu. Zrobiło się zbiegowisko. Wszyscy myśleli, że cudzoziemiec złapał złodzieja, który chciał okraść jego domek. Więc ten i ów szturchnął gniewnie jegomościa w kaszkiecie. A kapitan ciągle go trzymał w swych wielkich łapskach i wykrzykiwał:

- Złodziej! Włamywacz! Oszust! Nabrał mnie na czterysta dolarów! Wyłudził pieniądze za dokument! Och, Malinowski, odpokutujesz za wszystkie swoje draństwo...

Z trudem przecisnąłem się przez tłum otaczający Petersena i Malinowskiego.

- Na milicję z Malinowskim! - wołali zebrani ludzie. - Pod sąd go trzeba oddać! Do aresztu ze złodziejem!

I każdy uważał za swój obowiązek szturchnąć w plecy biedaka, który bełkocąc niezrozumiale, na próżno usiłował wyjaśnić coś, co się wyjaśnić nie dawało.

- Panie Petersen - powiedziałem. - To nie jest Malinowski.

- Jak to: nie Malinowski? - oburzył się kapitan. - Przecież on sam mówi, że jest Malinowski.

Mały, poszturchiwany człowieczek pojękiwał:

Yes, yes, ja jestem Malinowski. Puśćcie mnie, ludzie. Przecież ja jestem Malinowski. Wszyscy mnie tu znają, kajaki wynajmuję. Aj em Malinowski.

- Słyszysz pan? On jest Malinowski! - wrzeszczał Petersen. - Niech go pan nie broni!

Młoda panienka w ogromnych okularach wskazała na mnie:

- A ten pan to pewnie wspólnik Malinowskiego. Pewnie razem okradali turystów.

Odczułem, że i mnie ktoś szturchnął w plecy. Ktoś inny złapał mnie za ramię.

- Łapaj, trzymaj złodzieja! - wrzeszczała jakaś tęga pani w spodniach. - Nawet na wycieczce nie ma od nich spokoju.

Szarpnąłem się raz i drugi, żeby wyrwać ramię z czyjś uścisku, ale kilkoro rąk chwyciło mnie bardzo mocno.

- Patrzcie, jak to się szarpie! - wołano. - Trzymajcie go, bo ucieknie!

- Panie Petersen! - wołałem do kapitana. - To nie jest ten Malinowski! To inny Malinowski!

Ale Petersen nie słyszał mojego głosu, który ginął w ogólnym wrzasku.

Dostrzegłem w tłumie Kozłowskiego. Ale ten zamiast mnie ratować, jeszcze podjudzał wszystkich.

- Tak jest, trzymajcie go. Zaprowadźcie go na milicję.

Szturchano mnie, popychano, szczypano.

- Ech, łajdaku, poczekaj, już ja cię urządzę! - krzyknąłem do Kozłowskiego.

- Patrzcie, ludzie, jeszcze się odgraża! - piszcziała panienka w okularach i uszczypnęła

mnie tak silnie, że zawyłem jak ranny wilk.

Wreszcie z pomocą przyszła Anka. Każdemu z osobna i wszystkim naraz nieustannie tłumaczyła, że zaszła tutaj omyłka na skutek tego, że pan Petersen nie zna polskiego, a pan Malinowski nie rozumie po angielsku.

- Tfu! - splunął Petersen. - Strasznie głupia historia. A pan, panie Kozłowski, jeszcze dolewał oliwy do ognia zamiast zażegnać wszystko.

A co miałem robić? - dziwił się Kozłowski. - Sądziłem, że nareszcie schwytał pan Malinowskiego i że tym Malinowskim okazał się pan Samochodzik.

- Dziękuję panu - powiedziałem. - Ma pan u mnie jeszcze jedną grubą kreskę, panie Kozłowski.

Nagle Petersen jak sarna rzucił się do swego lincolna. Zza wycieraczki na przedniej szybie wyjął złożoną w czworo kartkę papieru. Rozwinął ją, zerknął na nią okiem i następnym skokiem znalazł się obok mnie.

- Masz pan, czytaj, bo napisane jest po polsku. Podpis widzę znajomy - i aż zazgrzytał zębami w bezsilnej złości.

Przeczytałem tłumacząc na angielski:

Panno Petersen! Zdobyłem nowe i cenne informacje, które zaprowadzą panią do skarbu. Chcę za nie dwanaście tysięcy złotych. Proszę przyjechać dzisiaj o jedenastej w nocy na pięćdziesiąty kilometr drogi nn Chojnice. Tam będą na panią czekał. Tylko proszę przyjechać samej, bo inaczej się nie zjawię. I żadnych pułapek.

Malinowski

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

JECHAĆ, NIE JECHAĆ? – GDZIE LEŻY SERCE TWOJE? – PLANY NOWEJ WYPRAWY – KAREN W OPAŁACH – POŚCIG – W CHARZYKOWYCH

Padał deszcz. Siedzieliśmy w przytulnym wnętrzu przyczepy campingowej Petersenów - Anka, Karen, kapitan, Kozłowski, ja i chłopcy. Przez niskie okno przyczepy widać było zamgloną od deszczu brunatną sylwetkę zamku malborskiego, przez drugie okno widzieliśmy czarną toń Nogatu, smaganą deszczem.

Kapitan Petersen otworzył butelkę francuskiego koniaku, a dla chłopców zdjął kapsel z butelki wypełnionej pomarańczowym sokiem. Karen trzymała w dłoniach list od Malinowskiego i wydawało się, że czyta go po raz dziesiąty, choć wiedzieliśmy, że tylko wodzi wzrokiem po literach, nie znała bowiem polskiego. Czekaliśmy z napięciem, co powie i co zadecyduje. Była bardzo piękna w tym swoim zamyśleniu, z jasnymi włosami rozrzuconymi na ramionach. Gdy przymrużyła oczy, pilnie się nad czymś zastanawiając, długo rzęsy rzucały cienie na policzki i czyniły jej twarz jeszcze piękniejszą.

Nagle dziewczyna szarpnęła głową odrzucając włosy i powiedziała:

- Przyjmę tę propozycję. Wezmę samochód i pojadę na pięćdziesiąty kilometr.

- Wiedziałem, że tak będzie - westchnął Petersen. - Moja córka jest wariatką.

- Odradzam. Stanowczo odradzam. Tym razem odradzam - powtarzał Kozłowski. - Wyprawa jest bardzo niebezpieczna. Jechać samotnie na nocne spotkanie z bandytą, które odbędzie się gdzieś w lesie albo w szczerym polu? Nie, odradzam. Stanowczo.

- Tym bardziej że jest to zapewne nowe oszustwo - dodała Anka.

- Nie - przecząco pokręciłem głową. - Malinowskiego najchętniej widziałbym za kratkami, ale tym razem on rzeczywiście posiada cenne informacje.

I opowiedziałem o nocnej przygodzie w zamku, unikając jednak szczegółów związanych z treścią zrabowanego listu.

- Podzielał pogląd pana Kozłowskiego - rzekłem na zakończenie. - Odradzam także samotny wyjazd na spotkanie z Malinowskim. Bo dlaczego on tym razem odstąpił od swego dawnego systemu wymiany pieniędzy na dokument? Dlaczego chce się spotkać osobiście z

panną Karen i miejsce spotkania wyznaczył tak daleko?

- Może pragnie zakomunikować mi coś ważnego - zastanawiała się Karen.

Znowu przecząco pokręciłem głową:

- Wiem, co jest w liście. I tym razem mógł Malinowski zażądać złożenia okupu w jakimś zakamarku. A tymczasem zaproponował spotkanie na pięćdziesiątym kilometrze. Boję się o panią, Karen. Dziewczyna spojrzała na mnie ze złością:

Pańskie obawy ani mi nie mogą pomóc, ani zaszkodzić. To nie troska o mnie każe panu odradzać mi spotkania. Pan po prostu nie chce, abym uzyskała informacje, które pan już posiada. Zdobędę te informacje i odnajdę skarb templariuszy. Zrobię tak choćbym miała ryzykować wszystkie nasze pieniądze.

Zaczerwieniłem się na to niesprawiedliwe osądzenie. Jeszcze przez chwilę wahałem się, ale myśl, że Karen podejrzewa mnie o przewrotność, zaważyła na mojej decyzji.

- Panno Petersen - powiedziałem półgłosem, ale z takim naciskiem, że w malutkim pomieszczeniu zrobiła się zupełna cisza. - Powiem pani, co jest w liście zrabowanym przez Malinowskiego. Wyłożę na stół wszystkie karty, lecz proszę panią, niech pani nie jedzie na to spotkanie. Zresztą, skoro dowie się pani, co zawiera list, będzie on już pani niepotrzebny. Nie - zaprzeczyłem - nie robię tego kierowany troską o panią. Nie chcę, aby ten bandyta odniósł korzyść ze swego nędznego procederu. Niech bezskutecznie czeka na pięćdziesiątym kilometrze. Pani tam nie pojedzie.

Anka złapała mnie za rękę i ścisnęła ją mocno.

- Niech pan nie zdradza swoich tajemnic. Przecież w ten sposób traci pan szansę odnalezienia skarbu. Pan zdobył te informacje dzięki sprytowi i pomysłowości. A wobec panny Karen nie ma pan żadnych zobowiązań, nie ma pan potrzeby zdradzać jej swoich tajemnic. To wielkoduszność zbyt daleko posunięta,

- Nie - powtórzyłem z uporem. - Zrobię tak, jak powiedziałem. Szukam skarbu, aby przeżyć ciekawą przygodę. A lękam się, że Malinowski ją zepsuje. Jeśli coś złego stanie się pannie Karen, będę miał nieczyste sumienie.

Rozmowę prowadziliśmy w języku angielskim. Anka zwróciła się do chłopców już po polsku.

- Czy wiecie, co chce zrobić pan Samochodzik? Zamierza zdradzić treść listu tylko dlatego, aby panna Karen nie jechała na spotkanie z Malinowskim. Tell wzruszył ramionami:

- Pani nie zna pana Samochodzika? To było jasne, że on właśnie tak zrobi.

Uśmiechnąłem się do Tella i pogłaskałem go po policzku. Ucieszyłem się, że chłopcy uważają mnie za człowieka honoru.

- Panie Tomaszu - powtórzyła ze złością Anka. - Uważam, że... że jest pan głupi. I zakochany w pannie Karen. A ona... Ona właśnie pana wyprowadzi w pole.

- Trudno - westchnąłem. - Ale inaczej nie mogę postąpić. I to nie dlatego, że, jak pani mówi, jestem zakochany, ale dlatego, że nie chcę, aby stało się coś złego. Do końca życia nie mógłbym sobie darować, że zamiast uczciwości zwyciężyła we mnie chciwość.

Karen, Petersen i Kozłowski patrzyli na mnie z uwagą. Karen miała na ustach drwiący uśmiezek, była bowiem przekonana, że gdy przyjdzie co do czego, wstrzymam się i nie zdradzę tajemnic listu.

Ale ja zacząłem mówić. Opowiedziałem najpierw o Zygfrydzie Feuchtwangenie, który zwrócił się do Jakuba de Molaya z prośbą o przysłanie mu architekta dla zbudowania stolicy Krzyżaków, która miała się nazywać Serce Twoje. Mówiłem o Piotrze z Awinionu, który przybył do Prus, aby wznieść stolicę. I prawdopodobnie w podziemiach wznoszonej budowli Piotr z Awinionu ukrył skarb zakonu. A potem, wezwany do Francji, zginął na stosie. Nie dokończył rozpoczętej budowy. Feuchtwangen musiał szybko przenieść się z Wenecji do Prus i wybrał Malbork na swoją stolicę. Czy jednak Malbork był tym miejscem, gdzie Piotr z Awinionu rozpoczął budowę stolicy krzyżackiej? Oto pytanie, na które w dalszym ciągu nie ma odpowiedzi. Znak trójkąta pozostawiony na murach może wskazać miejsce, gdzie pracował Piotr z Awinionu.

- I to wszystko, co zawiera list, który Malinowski chce pani odstąpić za dwanaście tysięcy złotych - powiedziałem na zakończenie. - Teraz nie musi pani jechać na spotkanie z bandytą.

- Dziękuję panu serdecznie - podniósł się Petersen i uściśnął mnie swymi wielkimi łapskami. - Pan jest prawdziwym dżentelmenem. Rad jestem, że moja córka nie pojedzie na pięćdziesiąty kilometr. Malinowski może tam czekać choćby do rana. Po raz pierwszy nie on nas, ale my jego wykiwamy.

Tylko Karen ani słówkiem nie wyraziła swojej wdzięczności. Drwiący uśmiezek znowu pojawił się na jej ustach.

- Jaką mam pewność - rzekła - że powiedział pan całą prawdę? I nie zataił pan żadnego szczegółu? Gdzie jest ten tajemniczy Bahomet, który mógłby poświadczyć, że list nie zawierał

jeszcze innych, dodatkowych informacji?

- Bahomet odjechał dziś rano, rezygnując z poszukiwań - stwierdziłem. - Napad przeraził go śmiertelnie. Nie chciał mieć już nic wspólnego ze skarbami.

- Odjechał? - podchwyciła Karen. - To bardzo wygodne dla pana, że odjechał. Nie może bowiem potwierdzić prawdziwości pańskich słów. A ja mam zaufać panu, który jest moim konkurentem do skarbu? Przecież wystarczy, że pan zataił jeden drobny szczegół, jedną informację, choćby dotyczącą miejsca, gdzie Piotr z Awinionu zaczął wznosić stolicę krzyżacką. I pan sprzątnie mi skarby sprzed nosa. Nie wiadomo, gdzie jest to miejsce - rzekłem. - Bahomet także tego nie wiedział, bo nie było o tym ani słowa w liście. Bahomet trzy noce szukał w podziemiach malborskiego zamku znaku trójkąta i nie znalazł.

- Nie wierzę panu - syknęła Karen. - W tej pańskiej pozornej szczerości kryje się pułapka. Pan jest bardzo sprytny. Wszystkich pan nabrał na swoją szczerość. Ale nie mnie. Dlatego pojedę na spotkanie z Malinowskim. I nie boję się. Nikogo się nie boję. Muszę znaleźć te skarby i odnajdę je.

- Dobrze panu tak! - zawołała oburzona Anka. - Podejrzewałam, że panna Karen tak się zachowa. Nie tylko że nie podziękowała, ale nazwała pana kłamcą i oszustem.

Anka miała rację. Czułem się, jak gdyby mnie spoliczkowano. Wstałem ze swego miejsca, ukloniłem się wszystkim.

- Żegnam państwa. Pani robi, jak zechce. Ale proszę pamiętać, że ja uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy, aby pani uniknęła niebezpieczeństwa.

Opuściłem domek Petersenów, a za mną wyszli chłopcy i Anka. Chłopcy, którym ona opowiedziała o reakcji Karen na moje opowiadanie, byli oburzeni.

- Karen to zmija! - zawołał Wiewiórka. - Zobaczycie, że ten bandyta napadnie na nią i ją zabije.

- Nie gadaj głupstw, Wiewiórka - rzekłem. - Chodźmy lepiej na kolację do restauracji „Nad Nogatem”. Zjemy coś dobrego i humor się nam poprawi. Pójdzie pani z nami? - zaproponowałem Ance.

- Dobrze - skinęła głową.

- A potem złożymy wizytę Ewie – powiedział Sokole Oko. - Spotkaliśmy ją w zamku i zaprosiła nas do siebie na dzisiejszy wieczór. Będzie pan mógł porozmawiać z jej mamą na temat stolicy krzyżackiej.

- Niech się pani nie martwi - pocieszał Ankę Wilhelm Tell. - Przekona się pani, że chociaż panna Karen poznała wszystkie tajemnice pana Samochodzika, i tak nie uda się jej odnaleźć skarbu templariuszy. Jest zbyt chciwa.

- Oj, dzieci, dzieci - śmiała się Anka. - Czy wiecie, dlaczego Malinowski ciągle was za nos wodzi? On nie wierzy w skarby templariuszy. Dla niego skarbem są Petersonowie, których zamierza obłupić z pieniędzy.

- Mówi pani tak, jakby pani znała Malinowskiego - rzekł Sokole Oko. Pokręciła głową.

- Nie znam go. Na razie - zaznaczyła. - Ale powiadam wam, że nie kto inny, tylko ja pierwsza zdołam go poznać. I to wkrótce.

Pomyślałem, że Anka także wpadła na trop jakiejś tajemnicy. Lecz ona nie będzie tak wielkoduszna, jak ja, i zbyt pochopnie nie zdradzi jej nikomu.

Zjedliśmy kolację, a potem poszliśmy do zamku, gdzie przed wejściem na most zwodzony czekała już Ewa. Zaprowadziła nas do małego mieszkanca w starych murach, poznałem jej mamę, siwowłosą panią w dużych, rogowych okularach. Wydawało mi się, że w oczach mamy Ewy dostrzegłem rozbawienie.

- Tak jest - przyznała, częstując nas herbatą i ciastkami. - Bardzo zabawna wydaje mi się myśl, że są ludzie, którzy na serio poszukują skarbów. Pan naprawdę wierzy, że te skarby istnieją?

Wyznaję, że trochę się zawstydzilem.

- Pani sądzi, że poszukiwanie skarbów to zajęcie bezsensowne? Tylko dzieci wierzą w legendy o zakopanych skarbach, prawda?

- Ach, nie - zaprzeczyła. - Przecież każdy ma prawo do dysponowania swym wolnym czasem. Jedni łowią ryby, drudzy polują, jeszcze inni podróżują lub grają w brydża. Nie widzę powodu, dla którego poszukiwanie skarbów ma być zajęciem gorszym od tamtych. Jeśli coś mnie tutaj bawi, to to, że tworzycie dość zabawną gromadkę. Pan i trzej chłopcy oraz ta pani...

- Przepraszam bardzo, ale ja jestem osobą serio - zastrzegła się Anka. - Nie szukam skarbów. Natomiast interesują mnie poszukiwacze skarbów.

Przekomarzając się i żartując, piliśmy herbatę, i potem zaczęliśmy rozmowę o Krzyżakach, templariuszach i skarbach. Nie miałem powodu, aby nie ufać mamie Ewy, a Anka

była przecież świadkiem tego, co mówiłem Karen - dlatego z całą szczerością przedstawiłem swą dotychczasową wiedzę o tropach prowadzących do skrytki templariuszy.

- Najważniejszy problem, jaki stoi teraz przed nami - zakończyłem - to dowiedzieć się, gdzie Feuchtwangen chciał wznieść stolicę o nazwie Serce Twoje. Tam bowiem znajduje się skarb templariuszy.

Mama Ewy zastanowiła się.

- Bardzo chciałabym wam pomóc, ale niestety, zdaje się, że nie potrafię. Z historii wiadomo, że Feuchtwangen przeniósł się we wrześniu 1309 roku z Wenecji do Malborka, który z tą chwilą stał się stolicą państwa krzyżackiego. Ten fakt wiązano raczej z całkowitym opanowaniem przez Krzyżaków Pomorza. Jest sprawą jasną, że los, jaki spotkał templariuszy, musiał także zaniepokoić Feuchtwangena i przyspieszył jego wyjazd z Wenecji. Dyskusję budził wśród historyków fakt, że właśnie Malbork wybrano na stolicę, choć, być może, o wiele lepiej nadawał się na nią Elbląg. Pewne znaczenie miała chyba w tym względzie ówczesna sytuacja wewnątrz Zakonu: w Elblągu mieli przewagę w konwencie stronnicy mistrza krajowego Henryka von Plotzke, który był przeciwnikiem Feuchtwangena. Wielki mistrz wolał więc przenieść stolicę do małego Malborka, który następnie późniejsi mistrzowie rozbudowali do rozmiarów potężnej twierdzy. Nie jest wykluczone, że już przed rokiem 1309 Feuchtwangen zastanawiał się nad możliwością przeniesienia stolicy Zakonu z Wenecji do Prus i, być może, poczynił w tej sprawie jakieś zabiegi. Ale nam, historykom, nie jest o tej sprawie wiadomo. Serce Twoje? - zastanawiała się głośno matka Ewy. - To po łacinie jest: cor tuum. Mam u siebie słownik geograficzny ziem polskich. Być może, odnajdziemy tam miejscowość o podobnej nazwie.

Zajęliśmy się przeglądaniem słownika. Ale bez rezultatu.

- Proszę pani! - zawołałem. - Przecież ta nazwa mogła w ciągu wieków ulec poważnej zmianie. Być może, została spolszczona i właśnie w takiej formie weszła do słownika. Szukamy w słowniku na literę C, a może trzeba szukać na literę K?

Znaleźliśmy miejscowości zaczynające się na K. Pośpiesznie przebiegałem palcem po nazwach wsi, osiedli i miasteczek. Nagle palec mój zatrzymał się.

- Kortumowo - przeczytali chłopcy.

- Kortumowo? - powtórzyła matka Ewy.

- Cor Tuum... Kortum... Kortumowo - powiedziałem. I przeczytałem króciutką charakterystykę miejscowości:

Kortumowo, wioska w Ziemi Chełmińskiej nad jeziorem o tej samej nazwie. We wsi znajduje się kościółek z początku XIV wieku, parafia pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny...

- Ziemia Chełmińska wcześniej należała do Krzyżaków - przypomniała matka Ewy. - Kościółek zbudowano na początku XIV wieku, a więc w tym czasie gdy Feuchtwangen nosił się z zamiarem założenia stolicy. Musi pan tam koniecznie pojechać, panie Tomaszu. Na miejscu o wiele lepiej zorientuje się pan, czy nie ma tam pozostałości po budowach krzyżackich.

- Tak jest - przytaknąłem. - Jutro pojedziemy do Kortumowa. Tylko proszę was - zwróciłem się do chłopców - zachowajcie w tajemnicy nasze dzisiejsze rozważania.

- Wiewiórcę trzeba będzie obciąć oźór - zdecydowanie powiedział Sokole Oko.

- Boże drogi, czego oni ode mnie chcą? - oburzył się gadatliwy Wiewiórka. A Ewa klasnęła radośnie w ręce:

- Pojadę z wami! Zobaczycie, że bardzo się przydam,

Mama Ewy zaprotestowała, jak to zwykle mamy, gdy ich dzieci wpadną na szalony pomysł. Ewa przekonywała, że pomysł nie jest aż tak bardzo szalony, bo przecież trzech chłopcy podróżują ze mną już od dawna i nic złego jakoś się żadnemu z nich nie stało. Anka zapewniła mamę Ewy, że weźmie dziewczynkę do swego namiotu i zaopiekuje się nią, więc mama powoli miękła i coraz słabiej protestowała.

- Pani także wybiera się do Kortumowa? - spytałem Ankę. - Czy można wiedzieć, jakim środkiem lokomocji?

- Na pewno nie motocyklem - odrzekła. - Myślę, że najwygodniej będzie pojechać pańskim zwariowanym samochodem.

- Co takiego? Mój samochód nie pomieści tak wielkiej gromady.

- W takim razie poproszę Petersenów, aby nas zabrali swoim lincolnem.

- I zdradzi im pani kierunek naszej podróży?

- No trudno, skoro w inny sposób nie będę się mogła dostać - rozłożyła ręce Anka.

Ależ to najzwyczajniejszy szantaż! - zawołałem.

- Bardzo trafnie to pan wyraził - kiwnęła głową. - Do tej pory starałam się przekonywać pana przy pomocy perswazji i miłych uśmiechów. A ponieważ to nie skutkowało, chwyciłam się innych środków. Więc jak będzie? Pojedziemy razem czy też mam odwołać się do panny Karen?

- Pojedziemy - jęknąłem.

Mimowolnie spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że jest już po dziesiątej.

Zerwałem się od stołu.

- Przepraszam bardzo, ale ja muszę już wyjść. Mam w mieście bardzo ważną sprawę do załatwienia. Wy chłopcy, jeszcze przez chwilę możecie gościć u Ewy. Ale proszę, żebyście za pół godziny byli już namiocie.

- Ja także wychodzę - rzekła Anka i zaczęła się żegnać z matką Ewy, dziewczynką i chłopcami.

Wyszliśmy z zamku.

- Dobranoc pani - wyciągnąłem rękę do Anki.

Zagroziła mi drogę i powiedziała gwałtownie:

- Domyślam się, co pan teraz zamierza. Chce pan jechać na pięćdziesiąty kilometr. Pan się boi o Karen. Pan się w niej kocha, Ta dziewczyna nie cierpi pana, uważa pana za kłamcę i oszusta, a pan jest ślepy i nie widzi pan jej niechęci. Czy pan nie rozumie, że jej wcale na panu nie zależy? Ona myśli tylko o zdobyciu skarbów. A pan o tyle wchodzi w jej rachuby, o ile może jej pan pomóc w ich odnalezieniu. Zdradza jej pan swoje tajemnice, a i to wywołuje u niej tylko niechęć. Po co pan tam chce jechać? Przekona się pan, że tę troskę potraktuje Karen wrogo. Będzie znowu podejrzewać, że pan chce odebrać jej list kupiony od Malinowskiego.

Odsunąłem ją delikatnie, ale stanowczo.

- A jeśli tam na drodze stanie się coś złego? - rzekłem.

- Co to pana obchodzi? Ona jest pełnoletnia. Wszyscy ją ostrzegali przed spotkaniem z bandytą.

- Mnie tak myśleć nie wolno. Zresztą, czemu pani na tym zależy, żebym tam nie jechał?

- Boję się. Malinowski to rzeźmieszek, a pan jest naiwny jak dziecko. Z Karen niech się dzieje, co chce. Nie cierpię tej zarozumiałej dziewczyny. A pana lubię. I nie chcę, żeby się pan narażał.

- Nie, nie - pokręciłem głową. - Ja jednak muszę tam jechać.

I pozostawiwszy Ankę przed zamkiem, pobiegłem w stronę pola namiotowego, gdzie stał mój wehikuł.

Lincolna Petersenów nie było już na parkingu. Znaczyło to, że Karen pojechała na spotkanie z Malinowskim. Spojrzałem na zegarek: dwadzieścia minut brakowało do jedenastej. Czy przez dwadzieścia minut zdążę przebyć pięćdziesiąt kilometrów dzielące mnie od miejsca

spotkania?

Zapuściłem silnik mojego samochodu. Jak spod ziemi wyrósł obok auta pan Kozłowski.

- Dokąd pan jedzie? - rzekł chrapliwie. - Panna Karen zabroniła jazdy jej śladem. Malinowski może się spłoszyć i nie odsprzeda listu.

Wzruszyłem pogardliwie ramionami.

- Daj mi pan spokój z panną Karen. Mam jej wyżej uszu. Nazwała mnie oszustem i kłamcą. Nie chcę mieć z nią nic do czynienia. Jadę do restauracji na kolację. Pojedzie pan ze mną?

- Nie - odparł Kozłowski. Raptownie ruszyłem i po chwili pędziłem drogą do miasta. Znalazłem się na szosie i w szalonym pędzie przebyłem most na Nogacie. Droga do Starogardu Gdańskiego była wąska, pełna zaskakujących zakrętów, a ponieważ nadałem samochodowi dużą szybkość, raz po raz musiałem przyciskać hamulec i z przeraźliwym piskiem opon przebywałem wiraże.

Postanowienie wyjazdu na pięćdziesiąty kilometr powziąłem bardzo późno. Teraz musiałem nadrabiać stracony czas. Nie, nie chodziło wcale o to, aby schwytać Malinowskiego. Jechałem na pięćdziesiąty kilometr, aby mieć pewność, że Karen nie stało się nic złego. Obraziła mnie swą podejrzliwością, ale to nie miało żadnego znaczenia, gdy uświadomiłem sobie, że ta uparta dziewczyna znajdzie się na pięćdziesiątym kilometrze zdana na łaskę i niełaskę bezwzględnego bandyty. Nie, nie kochałem się w Karen - jak przypuszczała Anka. Po prostu uważałem za swój obowiązek strzec ją i Petersena przed niebezpieczeństwami. Włosy jeżyły mi się na myśl, że rzeźmieszek może zamordować Karen dla jej złotego zegarka, pierścionka z brylantem czy brylantowej broszki, jaką zawsze nosiła przypiętą do bluzki. Wydawało mi się, że w pewnym sensie byłbym współodpowiedzialny za zło wyrządzone Karen i jej ojcu.

Pędziłem więc, aby nadrobić spóźnienie. Po obydwu stronach drogi migały drzewa, płoty, słupy telegraficzne. Ostre światła reflektorów raz po raz wyłaniały fosforyzująco znaki drogowe: „Uwaga, niebezpieczny zakręt”, „Uwaga, cztery niebezpieczne zakręty”, „Uwaga, przejazd kolejowy nie strzeżony”. Raz po raz wyprzedzałem z rykiem klaksonu wozy konne ze słabo widocznymi latarniami. Pędziłem wciąż szybciej i szybciej.

Tajemniczo i groźnie opalizowały zegary mojego wehikułu. Sto kilometrów... sto dwadzieścia kilometrów... sto trzydzieści kilometrów na godzinę - wskazywała strzałka szybkościomierza.

Szosa przeszła w szeroką i wygodną autostradę. Zwiększyłem szybkość do stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Przejechałem wiaduktem ponad skrzyżowaniem dróg: z Gdańska do Grudziądza i z Malborka do Starogardu. Jeszcze osiemnaście kilometrów i oto zobaczyłem światła Starogardu Gdańskiego.

Szosa w wielkim łuku okrążyła centrum miasta, zmniejszyłem więc prędkość, gdyż pokazało się więcej pojazdów, przede wszystkim sporo motocyklistów.

Do jedenastej godziny brakowało tylko pięciu minut. Potem ze strachem stwierdziłem, że jest już jedenasta. A do celu było jeszcze co najmniej dziesięć kilometrów.

Przycisnąłem silniej pedał gazu. Strzałka szybkościomierza skoczyła gwałtownie, pęd wiatru z łoskotem uderzał w przednią szybę. Irytowało mnie to wycie wiatru, zdawało mi się, że brzmi ono złowroźnie.

Znowu ostry wiraż. Przyhamowałem, ale odrzuciło mnie niemal na samą krawędź drogi. O mało nie otarłem się błotnikiem o betonowe słupki. Jak rząd jednookich cyklopów-karzełek połyskiwały one czerwono szkiełkami odblaskowymi.

Za zakrętem droga wyprostowała się i biegła przez gęsty bór. To było już niedaleko Zblewa. W perspektywie szosy ujrzałem tylne światła stojącego na boku samochodu, zapewne lincolna Petersenów.

Zdjąłem nogę z gazu i przełożyłem ją na pedał hamulca, powoli zmniejszając szybkość. Nie chciałem się zatrzymywać, bo jeśli Malinowski spóźnił się na spotkanie, Karen mogła mieć do mnie pretensje, że go spłoszyłem swym przyjazdem. Zamierzałem minąć samochód Karen, pojechać dalej, a potem zawrócić.

Szosowe światła wehikułu dosięgnęły karoserii wozu Petersenów. Zobaczyłem, że auto jest puste. Jeszcze chwila i dojrzałem Karen. Stała obok auta, a przy niej majaczył cień mężczyzny. Nie, nie stała. Szarpała się z tym człowiekiem. Odpychała go od siebie, krzycząc coś, ale szum mego silnika zagłuszał jej słowa.

Z największą siłą nacisnąłem na pedał hamulca. Zapiszczały opony, wehikuł zarzuciło i niemal obróciło. Stał bokiem na szosie, o kilkanaście centymetrów przed pniem drzewa na skraju drogi.

Jednym skokiem znalazłem się na szosie. Tylko kilkanaście metrów dzieliło mnie od samochodu Petersenów, ale światła wehikułu i pisk hamulców uprzedziły Malinowskiego o niebezpieczeństwie. Karen nie zgasiła silnika swego wozu, a w stacyjce tkwił kluczyk.

Malinowski odepchnął od siebie dziewczynę tak gwałtownie, że aż zatoczyła się i upadła w przydrożny rów. Potem rzucił się do lincolna. Usłyszeliśmy głośne wycie silnika. Jeszcze chwila i lincoln zaczął z dużą szybkością oddalać się od nas. Jego czerwone tylne światła rozplywały się w mroku nocnym.

Podbiegłem do Karen i pomogłem jej podnieść się z ziemi.

- Zerwał mi z ręki złoty zegarek i zabrał broszkę brylantową - powiedziała dysząc ciężko. - Chciał mi ściągnąć z palca pierścionek, ale się broniłam i pan nadjechał. Mam jednak list — z triumfem pokazała mi papier, który kurczowo trzymała w palcach.

- Samochód także ukradł - stwierdziłem. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że Malinowski uciekł jej lincolnem.

- Boże drogi, co robić? Trzeba chyba dać znać milicji? Myślałam, że jest bandytą-dżentelmenem. A okazał się zwykłym rzezimieszkiem.

Nawet nie spytała, dlaczego przyjechałem w ślad za nią.

- Spróbujemy go dogonić - powiedziałem, wskakując do swego wozu..

- Mojego lincolna? Pańskim pojazdem? rzekła ze zdumieniem, w którym tkwiła pogarda dla mego wehikułu.

- Niech pani wsiada. Prędej! - rozkazałem. - Pani nie tylko nie zna się na ludziach, ale i na samochodach. Zaufała pani rzezimieszkowi i źle wyszła na tym. Lincoln wydaje się pani ósmym cudem świata.

Włączyłem boczny wysoko umieszczony reflektor, którego używałem tylko podczas jazdy po wodzie, gdy fale zalewały mi szosowe światła. Szosa na Zblewo była pusta, więc nikogo nie raził blask moich lamp. Wkrótce szybkościomierz wskazywał sto czterdzieści kilometrów na godzinę.

- Proszę się nie łudzić, że dogoni pan lincolna - powiedziała Karen. - Ma osiem cylindrów. Jego szybkość maksymalna wynosi sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Nie odezwałem się, tylko dodałem gazu. Po chwili strzałka szybkościomierza dotknęła cyfry sto sześćdziesiąt. Na krótki moment przygasiłem światła reflektorów, bo z przeciwnej strony nadjeżdżało jakieś auto. Minęliśmy się ze świstem, potem znowu rozświetliła się przede mną szosa, na której szukałem wzrokiem tylnych świateł lincolna.

Byłem pewien, że bandyta nie rozwinął najwyższej szybkości. W nowym wozie czuł się chyba niezbyt pewnie, nie przypuszczałem, aby kiedykolwiek miał do czynienia z lincolnem.

Zresztą zapewne był o moim wehikule nie najlepszego zdania i nie sądził, że musi się wysilać, aby mi umknąć. Spodziewałem się, że wkrótce dogonię bandytę.

Jeszcze trochę docisnąłem pedał gazu. Gdy strzałka dotknęła cyfry stu siedemdziesięciu, Karen tylko westchnęła. Szybciej już nie chciałem jechać, choć mój samochód osiągał znacznie większą prędkość. Miałem stare opony, bałem się, że nie wytrzymają dużego pędu, Gdyby pękła któraś z opon, przy takiej szybkości wylądowalibyśmy na drzewie.

- Pani lincoln ma osiem cylindrów? - zapytałem Karen. - Moja pokraka ma... dwanaście cylindrów.

- Co takiego? - krzyknęła Karen.

- Tak, dwanaście - powtórzyłem. - Jaką moc ma silnik lincolna?

- Dwieście osiemdziesiąt koni mechanicznych.

- Moja pokraka posiada moc znamionową: trzysta pięćdziesiąt koni mechanicznych. A jej szybkość maksymalna: dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę. Gdyby zaś zmienić przełożenia, osiągałaby nawet dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Boże drogi, przecież to prawie Ferrari 410!

- Bo to jest Ferrari 410 Super Amerika. Tylko że miał karoserię rozbitą podczas kraksy i mój wujek wynalazca dorobił własną, nieudolną. Ale mnie się ona podoba.

Nic już nie rzekła, tylko raz po raz ze zdumieniem spoglądała to na mnie, to na maskę wehikułu.

Nareszcie dojrzałem tylną światła lincolna. Zmniejszyłem trochę szybkość. Byliśmy kawał drogi za Zblewem, na szosie do Czerska.

- No, teraz już nam nie ucieknie - stwierdziłem z triumfem.

- A pewnie - roześmiała się Karen. - Benzyny jest w moim wozie najwyżej na sto kilometrów. Czy wie pan, ile pali lincoln? Dwadzieścia litrów na setkę.

- I pod tym względem nie zaimponuje mi pani - roześmiałem się. - Mój wehikuł połyka przy tej szybkości aż dwadzieścia cztery litry na setkę. Tylko że ja mam pełny bak. Można zbankrutować przez taki samochód.

Dopędziliśmy lincolna. Bandyta - tak jak przewidywałem - nie spodziewał się skutecznej pogoni. Jechał zaledwie dziewięćdziesiątką. Ale gdy spróbowałem go wyprzedzić, aby mu potem zagrozić drogę, obejrzał się i poznał wehikuł. Natychmiast wjechał na lewą stronę szosy i uniemożliwił mi wysforowanie się do przodu. Jednocześnie dodał gazu.

Znowu rozpoczęła się piekielna gonitwa. Próbowałem go wyprzedzić to z lewej, to z prawej strony, ale za każdym razem zastawiał mi drogę szerokim tyłem lincolna. Niekiedy udawał, że daje za wygraną, i gdy poczynałem go wyprzedzać, wówczas napierał na mój wóz bokiem samochodu i usiłował zepchnąć mnie do rowu lub na pnie drzew migających po obydwu stronach szosy,

W szalonym pędzie minęliśmy Czersk. Już nie próbowałem go wyprzedzać, tylko jechałem o kilkanaście metrów za nim i cierpliwie czekałem, aż w lincolnie skończy się benzyna.

- Na pięćdziesiąty kilometr przyjechałam punktualnie o jedenastej - opowiadała Karen. — Zatrzymałam wóz, ale silnika nie wyłączyłam. Pan chyba zauważył, że w tym miejscu po jednej stronie szosy rósł gęsty las? Po kilku minutach z lasu wyszedł jakiś osobnik. Miał na twarzy chustkę z otworami na nos, oczy i usta. Trochę rozśmieszyła mnie ta maskarada. Otworzyłam okienko i nie wysiadając z wozu powiedziałam: „Przywiozłam pieniądze. Niech pan da list”. Bez słowa wyjął z kieszeni list, ale mi go nie podał, tylko czekał, aż podsunę mu zwitek pieniędzy. Wreszcie wymiana została dokonana, lecz w momencie gdy wyciągnęłam w jego kierunku rękę z pieniędzmi, on zapewne zauważył na moim przegubie złoty zegarek. Schwycił mnie za rękę, wykręcił mocno i szarpnął drzwiczki. Wyciągnął mnie z samochodu, zerwał mi z ręki zegarek, chwycił broszkę na bluzce i wyszarpnął ją razem z materiałem. O, widzi pan, mam dziurę w bluzce. Chciał mi ściągnąć brylantowy pierścionek z ręki, lecz na szczęście nadjechał pan w samą porę. Mam jednak list. Cały czas mocno trzymałam go w dłoni.

- Przekona się pani, że list nie zawiera nic ponadto co powiedziałem. Ta idiotyczna przygoda była zupełnie niepotrzebna. Utratą zegarka, broszki i samochodu płaci pani za swoją nieufność wobec mnie.

- O, samochód chyba odzyskamy - powiedziała Karen – Jeszcze kilkadziesiąt kilometrów i facetowi zabraknie benzyny.

Przed nami rozbłysły uliczne latarnie. To były Chojnice. Przejechaliśmy przez centrum miasta i raptem zorientowałem się, że Malinowski skręcił. Pojechał nie na Człuchów, ale na prawo, szosą do Bytowa. Zaniepokoił mnie ten manewr. Domyślałem się, że bandyta zorientował się w niewielkim zapasie benzyny i teraz spróbuje albo oderwać się od nas, albo pozostawić wóz i zniknąć w przydrożnym lesie.

Szosa pięła się w górę i dwa kilometry za miastem rozwidlała się.

- Jedzie do Charzykowych! - zawołałem, gwałtownie hamując i obracając kierownicą.

Znałem dobrze te strony. Kilkakrotnie byłem nad Jeziorem Charzykowskim, słynnym ze swej malowniczości. Na wysokim brzegu zbudowano tu kilkadziesiąt pięknych willi i luksusowych domków campingowych, była tu także stacja PTTK i schronisko turystyczne. W jezioro wybiegały długie pomosty drewniane, przy których kołysały się na fali dziesiątki łódek i motorówek należących do osób prywatnych i klubów sportowych. Czyżby właśnie w Charzykowych bandyta szukał bezpiecznego schronienia?

Znowu ostry zakręt. Pojechaliśmy jedyną ulicą osady i raptem silnie zabłyśły stopowe światła lincolna. Bandyta zahamował gwałtownie tuż przed kawiarnią mieszczącą się w małym ogródku na wysokim brzegu jeziora. Ja także zatrzymałem wehikuł. Usłyszeliśmy trzask drzwiczek i czarny cień zniknął w ogródku kawiarnianym.

A tam właśnie tańczono. Na gałęziach drzew kołysały się papierowe lampiony rozpraszające barwny blask na tańczących. Do Charzykowych zjechały już setki wczasowiczów i turystów. Bawili się teraz pod gołym niebem przy skocznych dźwiękach jazzowej orkiestry.

- Jakie piękne auto przyjechało! - zawołała jakaś młoda pani, przerywając taniec.

- A za nim jakiś dziwoląg. Co to za dziwny pojazd?

- Teraz jest moda na dziwactwa samochodowe - powiedział jakiś pan.

A inna dziewczyna mówiła:

- To cudzoziemcy. Goście zagraniczni.

Przepychaliśmy się przez tłum tańczących szukając bandyty. Gdzie się podział? Może zniknął w drugim końcu ogródka?

Budziliśmy ogólne zainteresowanie, a potem zdziwienie. Najpierw z pięknego wozu wyskoczył jakiś człowiek i pobiegł przepychając się między tańczącymi. Potem zajechało pokraczne auto i wyskoczyła z niego piękna dziewczyna, a za nią mężczyzna. I także przepychali się przez tańczące pary.

Orkiestra urwała w połowie melodii.

- Oni się wzajemnie ścigają! - krzyknął kobiecy głos.

- Może to amerykańscy gangsterzy? - histerycznie zawołała pani z ogromnym dekoltem.

Następnych głosów już nie słyszeliśmy. Przeskoczyliśmy przez drewniany płótek okalający kawiarniany ogródek i poprzez gęstwą krzaków obrastających stromiznę rozgladaliśmy się pilnie po brzegu jeziora.

- Uciekł - stwierdziła Karen. - Już go teraz nie wypatrzymy. Zasył się w którymś domku stojącym nad brzegiem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W POGONI ZA MOTORÓWKĄ – NA WYSPIE MIŁOŚCI – ZNOWU MYSIKRÓLIK
– WRACAMY NA PIĘĆDZIESIĄTY KILOMETR – ZGUBIONY TROP – WYJAZD ANKI

Staliśmy z Karen na stromym, zabudowanym domkami campingowymi zboczu wysokiego brzegu Jeziora Charzykowskiego. U naszych stóp leżała połyskliwa tafla wody rozciągająca się aż po nieprzenikniony horyzont. Wydawało się, że jezioro nie ma kresu, ale ja byłem tu kiedyś i wiedziałem, że za dnia wszystko tu wygląda inaczej. Widać dobrze drugi brzeg i sąsiadujące z nim dwie wyspy porośnięte lasem.

Niebo wypogodziło się, dostrześliśmy nieruchome kształty jachtów i motorówek uczepionych do wybiegających w jezioro drewnianych pomostów.

- Zejdźmy w dół - zaproponowałem.

Po kamiennych stopniach wąskiej uliczki zbiegliśmy na nadbrzeże. W kawiarnianym ogródku orkiestra podjęła znowu jakiś taneczny motyw, przyjemnie było iść w ciepłą noc, słuchając ściszonej przez odległość muzyki.

- Bardzo tu ładnie - stwierdziła Karen. - Żałuję, że nie jesteśmy na wycieczce. I w ogóle bardzo żałuję, że staliśmy się przeciwnikami.

- To pani wina – rzekłem.

- Moja? Przecież ja kilkakrotnie proponowałam panu współpracę.

- Właśnie w tym sęk. Chciała pani we mnie widzieć najętego współpracownika, który ma pomagać pani w odnalezieniu skarbów. A ja jestem człowiekiem wolnym i nie miałem ochoty podporządkować się pani.

Mijaliśmy wejście na drewniane pomosty. Niektóre z nich były oświetlone latarniami.

Raptem Karen kurczowo chwyciła mnie za rękę.

- O, tam, niech pan patrzy. Tam, na koniec pomostu. Czy to nie Malinowski?

Jakiś mężczyzna wskoczył do motorówki i usiłował zapuścić silnik. Warkot motoru, który nie od razu chciał się wziąć do pracy, głośno rozbrzmiewał w ciszy nocnej.

- To on! Na pewno! Poznaję go! - wołała Karen.

Silnik motorówki zaczął turkotać równym rytmem. Bandyta odepchnął motorówkę od

pomostu i ruszył nią w stronę drugiego brzegu.

- Wracamy. Spróbuję go doścignąć amfibią - powiedziałem do Karen.

Pobiegliśmy w górę tymi samymi kamiennymi schodkami. Znowu jak bomba wpadliśmy między tańczących i doskoczyliśmy do naszych samochodów.

- Niech pan na mnie zaczeka - wołała Karen, podnosząc maskę lincolna. Po chwili opuściła maskę, wyjęła kluczyki pozostawione w stacyjce przez Malinowskiego. Jednym susem znalazła się obok mnie w wehikule.

- Unieruchomiłam swój wóz - wyjaśniła. - Pod maską mam dźwigienkę, która rozłącza układ elektryczny. Teraz już nikt nie zdoła ukraść lincolna.

Wczasowicze przerwali taniec i zaciekawieni wyszli aż na ulicę, A ja zawróciłem wozem przed kawiarnią i o kilka domów dalej, stromą uliczką zjechałem na nadbrzeże. Motorówka z Malinowskim rysowała się na tafli jeziora jak malutka plamka, lecz warkot silnika rozlegał się wciąż bardzo wyraźnie.

Na piaszczystej plaży siedziało kilka zakochanych młodych par. Gdy jechałem wzdłuż plaży, szukając dogodnego zjazdu w wodę, goniły mnie krzyki:

- Nie ma pan już gdzie jeździć? E, panie wariat, bo pan wpadnie do wody! A umie pan pływać?

Znalazłem wjazd w jezioro. Rozpedziłem wehikuł, który z ogromnym pluskiem, niemal jak koń bojowy, skoczył w fale jeziora.

- Boże drogi! - wrzasnął dziewczęcy głos na plaży.

A my już płynęliśmy kołysząc się na fali wywołanej pędem wehikułu. Ciemna plamka, którą stanowiła motorówka Malinowskiego, zniknęła nam z oczu. Słyszeliśmy tylko cichy warkot silnika i on to wskazywał nam drogę ucieczki bandyty.

Docisnąłem pedał gazu. Przód wehikułu aż uniósł się nad powierzchnią wody, śruba umieszczona z tyłu zawirowała ze zwiększoną szybkością. Za nami kotłowały się fale poruszone turbiną, na jeziorze pozostawała trójkątna smuga białej piany. Włączyłem wycieraczki, aby oczyszczały przednią szybę z kropel wody, która nieustannie na nią pryskała i zasłaniała nam widok.

- Ucieka w stronę Wyspy Miłości — powiedziałem do Karen, wsłuchując się w nadpływający z oddali warkot motorówki.

- Miłości?

- Tak ją nazwano, bo odwiedzają ją zakochane pary.

- Był pan tam kiedyś? - spytała.

- Tak. Szukałem pewnego naukowca, który mógł mi wyjaśnić zagadkę zaginionego zbioru starych monet. Na Wyspie Miłości spędzał swój miodowy miesiąc po ślubie, a ja byłem zmuszony przerwać mu sielankę.

- Wyobrażam sobie, co myślał o panu – zaśmiała się Karen. - A czy zbiór pan odnalazł?

- O, tak. Choć to była jedna z mych najbardziej niebezpiecznych przygód.

- Ale skarbu templariuszy pan nie odnajdzie - powiedziała twardo Karen. - Niech pan sobie to wybije z głowy.

- Pani znowu zaczyna? Czyżby historia z Malinowskim niczego pani nie nauczyła?

- Będę ostrożniejsza. Lecz to nie znaczy, że rezygnuję z poszukiwania skarbów. One muszą być moje.

- To się jeszcze okaże - uśmiechnąłem się.

Karen zaimponowała mi. Po tym wszystkim, co przeżyła, przypuszczałem, że zrezygnuje z dalszej walki o skarby. Ale ona była nieustępliwa, uparta i ambitna. Podobało mi się to.

- Cicho! - syknęła nagle Karen. - Czy pan słyszy?

- Właśnie, że nic nie słyszę... Umilkł warkot motorówki.

- O to mi chodziło - kiwnęła głową Karen.- Zapewne przybił motorówką do brzegu i wyłączył silnik. Dlaczego wybrał Wyspę Miłości? On chyba nie jest zakochany? - zaśmiała się.

- Zapewne był tutaj kiedyś i zna te strony. Gdy zorientował się, że wkrótce zabraknie mu benzyny, przypomniał sobie o Charzykowych i licznych możliwościach ukrycia się tutaj. On chce się od nas oderwać i zatrzeć swój ślad.

Z ciemności nocnej wyłonił się przed nami wysoki, czarny masyw wyspy. Wyglądała groźnie i tajemniczo. Tym bardziej groźnie, że wiedzieliśmy: z jej brzegów w tej chwili obserwuje nas bandyta.

- Czy wyspa jest bezludna? - spytała Karen.

- Tak. Niekiedy tylko obozują tutaj w namiotach grupki turystów odbywających spływy kajakowe.

Teraz, gdy znaleźliśmy się w pobliżu wyspy, zapaliłem reflektor i ostrym światłem omiotłem wybrzeże.

U podnóża urwistego brzegu tkwiła motorówka. Była pusta. Ten, który nią jeszcze przed

chwilą kierował, przepadł w nadbrzeżnych zaroślach.

Ostrożnie podpłynęliśmy do motorówki, a wtedy zatrzymałem wehikuł i przeskoczyłem na nią, zabierając z sobą jeden z kluczy samochodowych.

- Co pan chce zrobić? - spytała Karen. - Chyba nie zamierza pan rozebrać silnika w motorówce?

- Wykręcę i zabiorę świece. Nie zdoła uruchomić silnika i już nam nie ucieknie.

Świece wrzuciłem do kieszeni, przesiadłem się do wehikułu i popłynąłem wzdłuż brzegu szukając dogodnego miejsca na wjazd w głąb wyspy. Nie martwiłem się tym, że, być może, Malinowski ukryty za krzakami obserwuje każdy nasz ruch. Szukanie go w tych ciemnościach i tak nie miało żadnego sensu. Trzeba z tym było poczekać do rana.

Wypatrzyłem wyrwę w stromym brzegu, coś w rodzaju jaru, którym z wyspy spływała woda deszczowa. Tym jarem wydostałem się na wysoki brzeg w miejscu, gdzie znajdowała się obszerna polana leśna.

- Zaczekamy tu, aż zacznie świtać - rzekłem do Karen.

Postanowiliśmy pozostać w samochodzie, gdyż na jego siedzeniach było miękko i przytulnie, a jednocześnie mogliśmy rozglądać się na wszystkie strony. Zresztą widok był bardzo zawężony przez mrok nocy.

Z nieba ustąpiły chmury i ukazały się gwiazdy, jakby drobnutki, błyszczące paciorki, złote i srebrne.

- W skarbie templariuszy - szepnęła Karen - jest chyba tyle klejnotów, co tych gwiazd na niebie. Ja bardzo lubię klejnoty - tłumaczyła. - Jestem głęboko przekonana, że w szlachetnych kamieniach zawarta została jakaś tajemnicza siła. Są one na świecie zjawiskiem rzadkim. Powstały jako produkt skomplikowanych procesów zachodzących w przyrodzie. Niekiedy są po prostu jakby kaprysem natury. Dlatego też od wieków istnieje przekonanie, że szlachetne kamienie mają cudowne właściwości. Mogą jednym ludziom przynosić szczęście, a innym nieszczęście. Bardzo lubię rubiny - mówiła dalej Karen. - Mówi się, że przez swą jaskrawoczerwoną barwę rubin jest kamieniem wzbudzającym radość, wzywającym do czynu. Jest to kamień, który powinni nosić ludzie, którzy chcą działać lub wytrwale dążyć do powziętego celu. A poza tym - zaśmiała się - czerwień to przecież także kolor miłości. Lubię także szmaragdy, lecz bałabym się je nosić. Podobno czynią jasnowidzącym. Ale ten, kto nosi szmaragd, powinien posiadać wielkie zalety ducha: być skromnym i wstrzemięźliwym,

opanowanym i pełnym życzliwości do ludzi. Boję się, że ja taka nie jestem. Natomiast pan, mister Samochodzik, powinien nosić na palcu pierścionek ze szmaragdem.

- O! - zdumiałem się. - Czyżby odkryła pani we mnie jakieś zalety?

- Niech pan nie żartuje. Poznałam się na nich już podczas pierwszego naszego spotkania. Ale tym bardziej pana nie cierpię, bo wiem, jak jest pan niebezpiecznym przeciwnikiem. Nigdy jednak nie zapomnę tego, co pan dziś dla mnie uczynił.

To mówiąc, delikatnie pocałowała mnie w policzek. A potem, jakby wstydząc się tego gestu, który zapewne uznała za wyraz słabości i nastroju, zerwała się z siedzenia samochodowego i rzekła:

- Niech pan patrzy, już świta.

Rzeczywiście budził się dzień. Las szarzał. Przygasły gwiazdy na niebie.

Wyszedłem z wehikułu, przeciągnąłem się, poziewując. Był chłodny poranek, w brzuchu czułem ssącą pustkę spowodowaną głodem. A głód zawsze nastrojał mnie niechętnie do świata.

- No, panie Malinowski - mruknąłem. - Przydarzyło się nam rendez-vous na Wyspie Miłości. Bardzo jestem ciekaw pańskiej buzi.

Wyjąłem z samochodu pistolet startowy.

- Chce pan go zabić? - przestraszyła się Karen.

- Ten pistolet nie zabija. Ale łotrzyk może się złąknąć. Tego rodzaju bandyci są zazwyczaj odważni tylko wobec kobiet. Podejrzewam, że pan Malinowski okaże się podszyty zajęczą skórką.

Zabezpieczyłem wehikuł przed kradzieżą, której, być może, próbowałby się dopuścić Malinowski osaczony na wyspie.

Poszliśmy wzdłuż brzegu wyspy do miejsca, gdzie stała motorówka. Zastaliśmy ją na dawnym miejscu, a więc mój pomysł z wykręceniem świec był bardzo dobry: Malinowski nie zdołał uruchomić motorówki. Teraz zagłębiliśmy się w las, lustrując go starannie. Mimo to Malinowski zaszyty w jakąś dziurę mógł uniknąć naszego wzroku, las bowiem miał wiele zarośniętych krzakami wykrotów i zagłębień. Potem wyszliśmy na dużą polanę ciągnącą się aż do drugiego brzegu wyspy. Teren był tu płaski, trawa na nim nie mogła ukryć człowieka, nawet jeśli leżał na ziemi. Na samym brzegu rosły krzaki. Przedzieraliśmy się przez nie, zaglądając w największą gęstwinę. Ale Malinowskiego nigdzie nie dojrzeliliśmy.

Tymczasem wstał już dzień pełen wesołego blasku słońca, które świeciło dość mocno,

lecz jeszcze nie upalnie. Prześlicznie wyglądał drugi brzeg jeziora - niski, pokryty zielonymi łąkami o bujnej zieleni. Dalej znowu teren wspiął się dość stromo i rósł ogromny bór. Nad rzeczką wśród łąk czerwieniły się ceglane ściany samotnej zagrody. Na rosochatej wierzbie uwiła sobie gniazdo para bocianów.

W stronę Charzykowych połąć jeziora rozciągała się co najmniej na dwa kilometry, z tej strony zaś odległość od stałego lądu była bardzo niewielka, najwyżej trzysta lub czterysta metrów.

- Proszę pana! Proszę pana! - wołała Karen. - W krzakach leży czyjeś ubranie...

Podbiegłem we wskazanym kierunku i pochyliłem się nad ukrytym w krzakach zawiniątkiem z ubraniami.

- Tego się właśnie obawiałem. Malinowski przepłynął w nocy na drugą stronę jeziora. Ubranie zostawił, żeby mu nie krępowało ruchów. W tym rzeczywiście dość trudno pływać.

- To strój motocyklisty - stwierdziła Karen.

- Takie samo ubranie nosił znajomy pani Anki. Mysikrólik, który ją przywiózł z Miłkokuku do Malborka — przypomniałem sobie.

- Pan podejrzewa, że on jest Malinowskim?

- Najpierw kręcił się po Miłkokuku, a teraz przyjechał do Malborka. Oczywiście, nie mamy żadnej pewności, że to on napadł na panią i uciekł tu przed nami.

Przeszukałem kieszenie ubrania, ale nie znalazłem nawet najmniejszego drobiazgu. Licząc się z możliwością odnalezienia rzeczy, uciekinier starannie opróżnił wszystkie kieszenie.

- Nie ucieknie daleko. Jest nagusieńki, jak go matka urodziła. Wszyscy natychmiast zwrócą uwagę na niego - zaśmiała się Karen.

Byłem jednak innego zdania.

- Po pierwsze: on wcale nie jest nagi. Zapewne ma na sobie kąpielówki. Znajdujemy się nad jeziorem, w miejscowości wypoczynkowej. Tutaj raczej człowiek ubrany od stóp do głów jest czymś bardzo niezwykłym. Co innego, gdyby było zimno lub pochmurno. Ale na jego szczęście mamy dziś świetną pogodę. Zresztą on ma przy sobie pani złoty zegarek, broszkę z brylantem i dwanaście tysięcy gotówką, które mu pani dała za list. Po prostu kupi ubranie, choćby u tego gospodarza po drugiej stronie jeziora.

- Jedźmy tam. Może był u niego - zaproponowała Karen.

Złapałem się za głowę.

- O Boże, ale z nas głupcy! Jesteśmy ostatniego rzędu idiotami.

- Co się stało? - przeraziła się Karen.

- Daliśmy się wyprowadzić w pole - mówiłem. - Malinowski wyznaczył spotkanie na pięćdziesiątym kilometrze, ponieważ posiada pojazd mechaniczny. Pieszko nie szedłby pięćdziesiąt kilometrów. Dzięki temu ubraniu wiemy, że ma motocykl. Gdy przyjechałem na pięćdziesiąty kilometr, on wskoczył do lincolna i zaczął uciekać. Dlaczego uciekł pani samochodem?

- Chciał go ukraść.

- Nonsens! Milicja natychmiast by go odnalazła. On uciekł pani samochodem, aby odciągnąć nas od miejsca, gdzie w krzakach pozostawił swój motocykl. Nie chciał nim uciekać, bo natychmiast rozpoznalibyśmy go jako znajomego pani Anki. Już teraz pojmuje pani jego manewr?

- Tak. I co robić?

- Malinowski przepłynął w nocy jezioro, być może, u gospodarza po drugiej stronie nabył stare ubranie, Potem zatrzymał na szosie Bytów-Chojnice jakieś auto i zabrał się z powrotem na pięćdziesiąty kilometr. Jeśli pośpieszymy się, zdążymy tam przyjechać wcześniej od niego.

Pobiegliśmy do wehikułu i po chwili zjeżdżaliśmy nim do jeziora. Przyczepiliśmy motorówkę do samochodu i zaholowaliśmy ją do przystani w Charzykowych. Tam pozostawiłem ją w tym samym miejscu, skąd ukraść ją Malinowski. Wkręciłem z powrotem świece do silnika i pojechaliśmy przed kawiarnię. Za pomocą gumowej rurki przelałem trochę benzyny ze swego wehikułu do baku lincolna. Karen przesiadła się do swego wozu. Z dużą szybkością ruszyliśmy na pięćdziesiąty kilometr.

Już z daleka zobaczyłem stojący przy szosie motocykl, a obok niego reperującego coś mężczyznę. Serce zabiło mi gwałtownie. „Mam cię Malinowski” - mruczałem, starając się tak zajechać mu drogę, aby nie zdołał uciec.

Ale to nie był Malinowski. Jakiś wiejski chłopak reperował łańcuch SHL-ki,

- Panie! - zawołałem wyskakując z wozu. - Nie widział pan tutaj młodego mężczyzny z junakiem?

- Czy widziałem? A pewnie. Nawet go tutaj przywiozłem z Charzykowych. Miał w lesie scho wanego junaka. Czy to jakiś pański znajomy?

- Mój znajomy?! - oburzyłem się. - To bandyta. Groźny bandyta, poszukiwany

przestępcą.

- O, rany! - przeraził się chłopak. - Nad ranem zjawił się w naszej zagrodzie, był tylko w majteczkach kąpielowych. Powiedział, że płynął kajakiem przez Jezioro Charzykowskie, ale kajak przewrócił się i zatonął, on zaś przypląnął do brzegu. Kupił od ojca ubranie, zobaczył, że mam motocykl. Obiecał, że jeśli go zawiozę do Malborka, zapłaci mi pięćset złotych. I zapłacił, panie. Tylko że zamiast w Malborku, tutaj kazał się zatrzymać. Zdziwiło mnie to, a jeszcze bardziej się zdziwiłem, gdy wszedł do lasu i potem wyjechał na junaku. Bandyta, pan powiada? Groźny przestępcą?

- Kiedy on stąd odjechał? - przerwałem mu.

- Minęło z pół godziny.

W krótkich słowach wyjaśniłem Karenr co stało się z Malinowskim. Znowu ruszyliśmy w drogę, ale bez pośpiechu. Dalszy pościg nie miał już najmniejszego sensu. Wkrótce znaleźliśmy się na campingu w Malborku. Z domku na kółkach wyskoczył kapitan Petersen i na widok swej córki, całej i zdrowej, radośnie wymachiwał rękami.

Po chwili znad rzeki nadbiegli harcerze. Zajęli się przygotowaniem śniadania, bo byłem głodny. Oczywiście, natychmiast musiałem opowiadać im przeżyte przygody.

- A teraz - skończywszy opowieść, zwróciłem się do Tella - pójdziesz do bloku, w którym mieszka pani Anka, i postarasz się przyprowadzić ją do nas. Oczywiście, ani słowem nie wspominaj o moich przygodach. Gdy zjawi się tutaj, weźmiemy ją na spytki. Przyjaźni się z Malinowskim, to on ją przywiózł do Malborka. Może to nie jest żadna przypadkowa znajomość, ale obydwójce powiązani są z sobą nicią przestępstwa? - rzekłem patetycznie, choć w to zupełnie nie wierzyłem.

- Najgorsze jest to, że nie zapamiętaliśmy numeru junaka - biadolił Sokole Oko. - Na przyszłość postaram się zapamiętać numer każdego pojazdu, którego właściciel wyda mi się podejrzany.

- Oglądałem film - przytaknął Wiewiórka - w którym dzięki chłopcom zapisującym numery wozów udało się angielskiej policji schwytać groźnych przestępców.

- Malinowski także jest groźnym przestępcą, - rzekł Sokole Oko. - Na wzór amerykańskich gangsterów wymusza okup. Rabuje broszki z brylantami.

Nadbiegł Wilhelm Tell.

- Nie ma pani Anki - wołał do nas już z daleka. - Wyjechała do Warszawy.

- Co takiego? Kiedy? - przerwałem śniadanie, tak mnie zaskoczyła ta wiadomość.

- O dwunastej w nocy. Państwu, u których wynajęła pokój, oświadczyła, że musi nagle wyjechać do Warszawy. Zabrała swoje rzeczy i wyszła.

- Wyjechała... - szepnąłem. - To bardzo ciekawe...

Skończyłem śniadanie i rozkazałem chłopcom związać nasz obóz.

- Wyruszamy do Kortumowa. Zawiadomcie o tym Ewę. Punktualnie o drugiej po południu nastąpi nasz wyjazd.

Lecz znowu nie było nam danym wyjechać w wyznaczonym terminie. Zaproszono mnie do domku Petersenów, w którym odbyła się narada. Tym razem mimo oporów, jakie stawiała Karen, oraz rad Kozłowskiego, aby nie nadawać rozgłosu historii z bandytą, kapitan Petersen zdecydowany był przekazać sprawę milicji.

- Wszyscy jesteśmy w pewnym sensie winni przestępstwu - twierdził Kozłowski. - Kilkakrotnie wchodziliśmy w układy z bandytą, co jest karalne. Dawaliście okup za skradziony dokument.

Kapitan Petersen rozłożył ręce gestem wyrażającym bezradność.

- Trudno, jestem gotów odpokutować swą winę. Jeśli nawet trzeba będzie, to powędruję za kratki. Ale jedną chcę mieć satysfakcję: niech w tej samej celi zamkną ze mną Malinowskiego.

Poszliśmy więc na posterunek MO w Malborku, gdzie zmitrężyliśmy dużo czasu, ponieważ ze względu na fakt, że chodzi o przestępstwo w stosunku do cudzoziemców, wezwano do Malborka oficera śledczego aż z Gdańska.

Podczas dochodzenia milicyjnego wyszło na jaw oszustwo, jakie popełnił Kozłowski. Nie było ono zbyt wielkie i oficerowi, który nas przesłuchiwał, aż drgały ze śmiechu maleńkie wąsiki, ale wydaje mi się, że w pewnym sensie poderwane zostało zaufanie, jakim Petersenowie darzyli do tej pory Kozłowskiego.

Okazało się bowiem, że Petersenowie nie mają z państwem polskim żadnej umowy na poszukiwanie skarbu templariuszy. Taka umowa została zawarta tylko... z Kozłowskim. I podpisana została z jednej strony przez Petersenów, a z drugiej przez... Kozłowskiego.

Kozłowski tak się tłumaczył przed oficerem milicji:

- Zrobiłem to ze względów patriotycznych. Chodziło mi o to, żeby ci cudzoziemcy nie rezygnowali z poszukiwań i zostawili w naszym kraju trochę dewiz. A oni chcieli koniecznie legalnie poszukiwać i mieć w tej sprawie umowę z władzami. Najpierw poszedłem do

Ministerstwa Kultury, aby podpisali z Petersenami umowę. Odmówili. Po prostu wyśmiali mnie. Powiedzieli: „Przecież nie wiadomo, czy te skarby są dziełem sztuki, a nas tylko takie przedmioty interesują. Jak znajdziecie, to wtedy do nas przyjdźcie”. Udałem się więc do Ministerstwa Finansów. Tam również mnie wyśmiali: „Najpierw niech pan znajdzie skarby, a potem możemy podpisać umowę. Nasze Ministerstwo to poważna instytucja, a pan tu jakieś żarty sobie z nas stroi”. Więc co miałem robić? Zredagowałem umowę i podpisałem ją. W ten sposób i wilk był syty, i owca cała. Petersenowie mieli umowę na poszukiwanie skarbów, a państwo zostało zabezpieczone na wypadek, gdyby rzeczywiście znaleźli skarby.

Oficer milicji dość surowo pouczył Kozłowskiego, że tak robić nie należy, potem wyjaśnił Petersenom, że ich umowa nie ma żadnych podstaw prawnych. Zazaczył też, że nie jest kompetentny, aby się wypowiadać, czy oni mają, czy też nie mają prawa szukać skarbu templariuszy. I w ogóle zastrzegł się, że on nie jest żadnym specjalistą od skarbów, a interesują go bandyci i rzezimieszki.

- Moja sprawa to Malinowski - powiedział drapiąc się w głowę. - A co się tyczy skarbów, to myślę, że bądziemy się o nie martwić, jak państwo je odnajdą. Zgoda?

Petersenowie przystali na taki werdykt. Późnym wieczorem opuściłem posterunek milicji. Chłopcy i Ewa czekali już na mnie w wehikule. Powiedzieliśmy Petersenom „do widzenia”, a oni odkrzyknęli „do zobaczenia”. I pojechaliśmy z Malborka szosą w stronę Kwidzyna.

ROZDZIAŁ SZESNATY

W KORTUMOWIE – EWA DAJE SIĘ NAM WE ZNAKI – CZY KOŚCIÓŁ MA PODZIEMIA? – „KILKA SKARBÓW” – CO KRYJE PIWNICA W OGRODZIE? – TEORIA PRĄDOW BŁĄDZACYCH – RUINY W LESIE – PRECZ Z KONFITURAMI

Kortumowo jest niedużą wioską ciągnącą się wzdłuż brzegu jeziora. Na końcu wsi znajduje się kościółek zbudowany u nasady szerokiego, tępo zakończonego półwyspu. Za kościołem stol plebania o białych ścianach, kryta czerwoną dachówką, zabudowania należące do proboszczówki oraz sad i ogród. Dookoła wsi ciągną się lasy iglaste, pełne malowniczych parowów i jarów. Jezioro - dość duże zresztą - miejscami zarasta wysoka trzcina; stanowi ono rezerwat zamieszkały przez dzikie łabędzie. Okolice więc jest dość ładna, nadająca się na letni wypoczynek, ale nie nazbyt uczęszczana przez turystów, ponieważ leży daleko od głównych szlaków komunikacyjnych.

Przyjechaliśmy tam nocą i rozbiliśmy obóz za kościołem, w najbliższym sąsiedztwie jeziora i lasu. Nazajutrz okazało się, że wybraliśmy miejsce najdogodniejsze, gdyż pozostawiliśmy już poza wioską (kościół stał na jej krańcu), ale jednocześnie w jej pobliżu. Stary kościółek stanowił główny obiekt naszego zainteresowania, innych bowiem starych budowli poza kościołem w wiosce nie było.

Swój namiot odstąpiłem Ewie, a sam przenocowałem na rozkładanych siedzeniach wehikułu. Ewa natychmiast udowodniła nam, że, jak to się mówi: „chleba jeść darmo nie będzie”.

Zarówno chłopcy, jak i ja nie należeliśmy do rannych ptaszków. Ten, co niejedną noc spędził na biwaku, wie dobrze, jak nieprzyjemnie jest budzić się w chłodne ranki, myć się w falach jeziora, a potem, kurcząc się z zimna, przygotowywać posiłek. Ewa urządziła nam pobudkę już o siódmej rano. Najpierw wsunęła rękę przez uchyloną szybę samochodu i kilkakrotnie nacisnęła klakson samochodowy. Zerwaliśmy się przerażeni, ale zorientowawszy się, że to tylko wrogie poczynania dziewczyny, czym prędzej zaszyliśmy się w śpiwory. Wtedy Ewa sięgnęła do bardziej radykalnych środków: przyniosła z jeziora kubek wody i zrobiwszy z gałęzi kropidło, zaczęła nas „cucić”. Zamknąłem wehikuł na cztery spusty, a chłopcy

zasnurowali się w namiocie i nie zareagowali nawet, gdy obluzowała sznurki i cały namiot opadł im na głowy.

Ostatni sposób zastosowany przez Ewę okazał się najskuteczniejszy: przyrządziła śniadanie. Zagotowała garnek kawy i jej zapach wywabił nas tak samo, jak zapach miodu wywabia niedźwiedzie z legowisk. Chłopcy ziewali, wydając z siebie jakieś przeraźliwe jęki. Sokole Oko wsadził nos do garnka z kawą i dostał od Ewy łyżką po plecach.

- Najpierw umyjcie się - rozkazała. - Nie będę jadła z brudasami.

Stanęliśmy rzędem na brzegu jeziora o krok od chłodnej toni. Jeden spoglądał na drugiego, nikt nie chciał być pierwszym, który się zetknie z wodą. Wreszcie Wilhelm Tell zanurzył w wodzie obydwie dłonie.

- Zimna, co? - spytał go Wiewiórka i na wszelki wypadek zaczął kłapać zębami. Sokole Oko powiedział do mnie:

- Czy zna pan ludowe przysłowie: „Kto się umywa, tego ubywa”? Lepiej zrobimy, jeśli się nie umyjemy.

- Nie ma takiego przysłowia, sam je wymyśliłeś! - zawołała Ewa. Tell cofnął ręce z wody i wytarł je w ręcznik.

- Już się umyłem - oświadczył dumnie.

- A twarz? A zęby? - pytała Ewa.

- Proszę pana - zwrócił się do mnie Sokole Oko. - Pan nam zawsze daje dobry przykład. Prosimy o jeszcze jeden: z myciem porannym.

- A ja uważam, że to był nasz najgłupszy pomysł - oświadczył nagle Wiewiórka. - Najgłupszym pomysłem było zabranie z sobą Ewy. Źle nam było do tej pory? Zawsze myśliśmy się dopiero w południe albo nawet po południu, w największy upał.

- Co takiego? - oburzyłem się. - Pierwszy raz się dowiaduję, że mieliśmy takie niewłaściwe obyczaje. To straszne. A ja nic o tym nie wiedziałem.

- Zapewne nie zwracał pan uwagi na tak prozaiczne zajęcie, jak mycie poranne - zauważyła Ewa. - Panowie tylko myśleli o skarbach.

- Przez to poranne mycie nie odnajdziemy skarbów - rozłościł się Wiewiórka. - Ta dziewczyna odbiera mi wszelką radość życia. Czuję, że jeśli tak od rana wpadnę w zły humor, nie przyjdzie mi do głowy żaden dobry pomysł.

- Spokojna głowa - rzekła Ewa. - Moich pomysłów starczy dla wszystkich. Ja zresztą już

wiem, gdzie są skarby.

- Gdzie? Gdzie? Gdzie? - zakrzyknęliśmy chórem.

- Jak się umyjecie, to wam powiem - obiecała.

Tym nas ostatecznie zwyciężyła. Zdjęliśmy koszule i rozpoczęła się chlapanina. Umyci i wyświeżeni, zasiedliśmy wokół kuchenki spirytusowej.

- A teraz opowiadaj - powiedział Tell, chwytając za grubą pajdę chleba ze smalcem.

- Skarby są schowane... są schowane... - tajemniczym głosem mówiła Ewa - są schowane... są schowane...

- My wierny, że są schowane - przerwał jej Sokole Oko.

- Są schowane... są schowane - ciągnęła Ewa.

- Proszę pana - poskarżył się Sokole Oko. - Ewa dopiero teraz coś zmyśla. Oszukała nas. Chciała, żebyśmy się umyli, ale nie ma w głowie żadnego pomysłu. Ona nic nie wie o templariuszach.

- O, nie bądź taki najmądrzejszy - nadała się Ewa. - Wiem, że templariusze myli się wczesnym rankiem.

- To był najgłupszy pomysł z tą dziewczyną - powtórzył Wiewiórka.

- A właśnie, że wiem, gdzie są skarby - burknęła Ewa. - Ale tobie nie powiem, bo ty masz długi ozór.

- Nie powiesz, bo nie wiesz - mruknął Wiewiórka.

- Właśnie, że wiem, Są ukryte w podziemiach kościoła.

Spojrzeliliśmy wszyscy w stronę niedalekiego kościółka. Był mały, z brunatnej cegły, z wysmukłą gotycką wieżyczką. Niczym specjalnym się nie wyróżniał, ot, zwykły wiejski kościół.

- W tym kościele? - sceptycznie pokręcił głową Sokole Oko, - Nie wygląda na to, żeby znajdowały się w nim jakiegokolwiek podziemia.

- Ja też tak sędzę - rzekł Wilhelm Tell. - Zdaje się, że przyjechaliśmy w niewłaściwe miejsce.

- A pan co o tym myśli? - spytał mnie Wiewiórka. Zastanowiłem się głośno:

- Trudno tak od razu dać zdecydowaną odpowiedź. Rzeczywiście, kościółek wygląda dość skromnie i po prostu nie chce się wierzyć, aby z dalekiej Francji przywieziono i ukryto tutaj skarby potężnego zakonu, który posiadał dziesiątki potężnych zamków. Ale, jak sami wiecie, sytuacja była wyjątkowa. Okazało się potem, że zamki potężne nie zostały się Filipowi Pięknemu.

A ten właśnie kościółek, nie zwracający niczyjej uwagi, mógł zostać poza zasięgiem czyichkolwiek podejrzeń. Z drugiej jednak strony to właśnie tutaj miała, wedle naszych przewidywań, powstać stolica krzyżacka Serce Twoje. Tymczasem nie widzimy ani śladu potężnych budowli, ani niczego, co wskazywałoby na to, że nasze przewidywania są słuszne. Trzeba jednak ciągle pamiętać, że patrzymy na to miejsce przez pryzmat naszych wrażeń wywiezionych z Malborka. Tam widzieliśmy stolicę krzyżacką, ogromne zamczysko wznoszące się aż pod niebo. I tutaj chcieliśmy zobaczyć coś podobnego, a przynajmniej ślad jakiegoś ogromnego zamysłu. Niestety, na razie nie rzucają się w oczy nawet resztki jakichś ogromnych fundamentów pod przyszłe budowle. Lecz przecież uwzględnić należy fakt, że to był jednak dopiero zamysł. Piotr z Awinionu przez pierwszy okres swego pobytu w tych stronach zajmował się zapewne planowaniem przyszłej stolicy, być może, poza tym niewielkim kościółkiem tu i ówdzie wymurowano zaledwie fundamenty, które w ciągu wieków porosła trawa. Trzeba będzie dyskretnie wypytać tutejszych mieszkańców, czy nie zauważyli resztek starych budowli. Pamiętajmy, że przyszła stolica musiała obejmować dość duży obszar, zapewne w kilku miejscach naraz rozpoczęto roboty i nie wiadomo, gdzie ukończono je na tyle, aby tam schować skarb. Dlatego każde spostrzeżenie może się dla nas okazać niezwykle cenne. Nie lekceważcie żadnych informacji, nawet takich, które mogą się wydawać nieistotne i nieprawdopodobne.

Skończyliśmy posiłek i pozostawiwszy Wiewiórcę obowiązek zmycia naczyń, poszliśmy całą gromadką w stronę kościoła.

Był otwarty, jeszcze pachniało świecami, które paliły się podczas porannego nabożeństwa. Z bijącym sercem wkraczaliśmy w jego chłodne wnętrze.

Nie ulegało wątpliwości, że zbudowali go Krzyżacy. Na zewnątrz widziało się ową charakterystyczną dla krzyżackich budowli brunatną cegłę „palcówkę”, z lekkimi wyźłobieniami jakby od śladu palców odbitych w glinie. Wewnątrz kościół został wymalowany na biało i wyposażenie jego przedstawiało się niezwykle skromnie. Wystrój wykonany został znacznie później niż cała budowla. Zobaczyliśmy barokowy ołtarz ze złożonymi pizatymi aniołkami, drewnianą kazalnicą zdobną także w podobne aniołki. Wzdłuż ścian kościelnych wisiały obrazy Męki Pańskiej, a na środku stały drewniane ławki dla wiernych. Przy wejściu do kościoła zauważyliśmy dużą chrzcielnicę wyrzeźbioną z piaskowca. I to już wszystko, żadnych rzeźb kamiennych na ścianach, żadnych nagrobków, drzwi, zejść do podziemi. Jednym słowem nie odkryliśmy niczego, co stanowiłoby punkt zaczepny do przypuszczeń, że

kościół kryje coś więcej, niż to można było zauważyć na pierwszy rzut oka.

Wyszliśmy na zewnątrz, na mały cmentarzyk obiegający kościół. Rosło tu kilka starych topoli, na których stado wron uwiło sobie wiele gniazd. Ich krakanie nieprzyjemnie brzmiało w uszach.

Wolnym krokiem, rozglądając się po starych murach, obchodziliśmy kościół. Wzrok ześlizgiwał się po gładkich, brązowych ścianach i zatrzymał się tylko na czymś w rodzaju półokrągłej, pękatej przybudówki lub absydy bocznej z żelaznymi drzwiami. To było zapewne wejście do zakrystii. Nad drzwiami widniał wykuty w ścianie krzyż.

Poszliśmy dalej, lecz raptem tknęło mnie coś. Stałem, serce dławiło mnie w gardle, w głowie miałem chaos. Zdawało mi się, że wiem o czymś niezwykle ważnym, ale myśl uciekła, nie potrafiłem jej zrozumieć.

- Co się panu stało? - spytała Ewa, która spostrzegła mój dziwny stan.

- Spokojnie... tylko spokojnie... - szeptałem do siebie.

Cofnąłem się kilkanaście kroków, a wraz ze mną zrobili to samo chłopcy.

- Spójrzcie na krzyż... - rzekłem chrapliwie. Patrzyli dość długo. Wreszcie odezwał się Sokole Oko:

- Krzyż jak krzyż. Najzwyklejszy. Nad bocznymi drzwiami do kościoła jest krzyż. To chyba bardzo naturalne.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem z niej notesik, w którym panna Petersen na Kozim Rynku rysowała znaki templariuszy.

- Porównajcie - skierowałem palec na jeden ze znaków.

- Taki sam! Identyczny! - wrzasnęli chórem. tak głośno, że wrony zerwały się ze swych gniazd na topolach i z przeraźliwym krakaniem zaczęły krążyć nad dachem kościoła.

- Ten znak powiada: „Kilka skarbów” — szepnąłem.

Alo już po sekundzie radość ustąpiła ogromnym wątpliwościom.

-- Może to tylko przypadkowy zbieg okoliczności? Bo właśnie, jeśli chodzi o ten znak, templariusze, zapewne przez ostrożność, nie wysilili się na żaden oryginalny ornament. Dla oznaczenia „kilku skarbów” przyjęli znak krzyża wspartego na podwójnej podstawie schodkowej. Ktoś inny mógł zupełnie przypadkowo wyryć coś takiego nad drzwiami do zakrystii.

Na ścieżce wiodącej od plebanii pokazała się czarna postać idącego wolno księdza w

sutannie. Poczekaliśmy, aż zbliżył się do nas, po czym złożyliśmy mu ukłon. Przywitał się z nami serdecznie, zapewne sprawiło mu przyjemność, że z tak dużym zainteresowaniem oglądamy kościół.

Ksiądz był już niemłody, o łysej czaszce i różowych policzkach. Uśmiechał się do nas z wielką życzliwością,

- Kościółek nasz jest mały, ubożuchny, ale za to bardzo starożytny. Z początków XIV wieku - powiedział podnosząc palec wskazujący ku niebu, jakby chcąc podkreślić wagę swych słów. - Dla turystów nie stanowi żadnej atrakcji, dlatego i gości rzadko tu widzujemy. Choć okolica bardzo piękna, lasy, jezioro z dzikimi łąbędziami...

- Bardzo się nam tutaj podoba. Chcemy zostać trochę dłużej - powiedziałem. - Mieszkamy w namiotach, o, tam, pod lasem, bliżej jeziora.

- W namiotach? To bardzo zdrowo dla młodzieży - przytaknął proboszcz. - Tylko z kąpielą uważajcie, bo woda w jeziorze jest głęboka. A jakbyście chcieli jabłuszek świeżych, papierówek albo porzeczek, śmiało zachodźcie do mojego sadu. Nie mam tam żadnego płotu, więc każdemu wędrowcowi droga wolna. Gospodyni mojej nie obawiajcie się, choć ona lubi się srożyć. W razie czego powiedzcie, że ja wam pozwoliłem - uśmiechnął się i przymrużył filuternie jedno oko, co miało zapewne znaczyć, że zna dobrze charakter swej gospodyni, lecz się nim wcale nie przejmuje. Nadbiegł Wiewiórka, który umył naczynia po śniadaniu.

- Boże mój, jeszcze jeden? - ucieszył się proboszcz.

A Wiewiórka - wiadomo: Długi Ozór - natychmiast zapytał proboszcza:

- Proszę księdza, czy w tym kościele są podziemia?

- Podziemia? - zmartwił się proboszcz. - A po co, dziecko, podziemia w kościele? Nie ma tu żadnych podziemi. Małutki to, ubożuchny kościółek.

Spróbowałem jakoś podjąć sprawę tak niefortunnie zaczęta przez Wiewiórkę. Rzekłem dyplomatycznie:

- Kościółek, słyszeliśmy, pochodzi z XIV wieku. Więc zapewne i cała ta miejscowość jest historyczna.

- A tak, tak, słusznie - zgodził się proboszcz, - Wprawdzie nic o naszej miejscowości w historii nie czytałem, ale musi być historyczna, bo wiele znaków na to wskazuje.

- Znaków? - podchwycili zaciekawieni chłopcy. Lecz księdzu chodziło o zupełnie inne znaki. Powiedział:

- Tam, gdzie mój sad, plebania i zabudowania gospodarskie jakiś zamek chyba kiedyś był, bo jak się głębiej w ziemi kopie, to stare fundamenty widać i resztki murów. Podobno kiedyś były tam różne doły i dziury, ale mój poprzednik teren kazał wyrównać, ziemi nawiózł i sad zasadził. Cały ten półwysep, który widzieliście za kościołem, twierdzą był czy czymś w tym rodzaju. Po zamczysku tylko jedna duża piwnica się została, w której jest studnia głęboka. Gospodyni moja urządziła w piwnicy schowek na warzywa i ziemniaki. Do studni zaś wpuszcza na sznurku wiaderko z mlekiem i masłem, bo w najgorszy upał chłód taki wieje od studni, że aż zęby szczękają. Lodówkę sobie urządziła w studni - zaśmiał się proboszcz.

A chłopcom aż oczy na wierzch wyłaziły z wrażenia i ciekawości.

- Och, gdyby tak można zajrzeć do tej studni - westchnął Sokole Oko.

- O, co to, to nie - pogroził mu palcem proboszcz. - Nad piwnicą surową władzę dzierży moja gospodyni. I nikomu klucza do niej nie daje, a zamknęła ją na pięć kłódek. A wiecie dlaczego? - zaśmiał się znowu. - Bo tam nie tylko warzywa i ziemniaki się znajdują, ale także konfitury, grzybki marynowane, gąsioriki z winem jabłkowym i porzeczkowym oraz wino mszalne. Więc, niestety, nikt oprócz niej nie ma dostępu do tych skarbów.

W drzwiach plebanii ukazała się tęga kobieta w białym fartuchu i białej chustce na głowie. Zrobiła z dłoni trąbkę i zawołała w naszą stronę grubym głosem:

- Proszę księdza proboszcza! Drugie śniadanie na stole, a ksiądz o głodnym żołądku do tej pory spaceruje.

Proboszcz uśmiechnął się do nas jeszcze raz:

- Słyszycie? Muszę już iść, bo gospodyni bardzo nie lubi, kiedy jedzenie stygnie. Zachodźcie do mego sadu, bardzo was proszę...

I powędrował ścieżką do plebanii, gdzie w drzwiach wciąż jeszcze stała tęga gospodyni i mierzyła nas surowym spojrzeniem, jakbyśmy to my byli odpowiedzialni za to, że ksiądz proboszcz chodzi o głodnym żołądku.

- Ciężką przeprawę będziemy mieli z tą osobą - westchnęła Ewa.

Ale chłopcy nie chcieli na razie myśleć o oczekujących nas kłopotach. Dla nich najważniejsze było, że Kortumowo okazało się tą miejscowością, której tak długo szukaliśmy.

- Tu są fundamenty starych budowli - wyliczał Tell - a więc to tutaj najprawdopodobniej chciano wzniesić stolicę Serce Twoje. Nad bocznym wejściem do kościoła widnieje znak templariuszy: „Kilka skarbów”.

- Ba, ale gdzie ich szukać? - powiedział Wiewiórka. - Na półwyspie były kiedyś jakieś dziuryr lecz zostały zasypane i teraz rośnie tam sad. Przecież nie będziemy go przekopywali? W kościele nie widać żadnego wejścia do podziemi, bo w ogóle nie ma w nim żadnych podziemi.

- Pozostaje tylko piwnica...

- Właśnie o tym myślę - mruknęła Ewa. - Jest piwnica, ale jak się do niej dostać? Gospodyni nie da nam klucza.

- Najpierw należy teren dokładnie obejrzyć - zaproponowałem.

Poszliśmy na półwysp do księzego sadu. Rosły tam duże śliwy, krzaczaste jabłonie, czereśnie, krzaki agrestu i porzeczek. Ziemia była starannie zorana i obsiana trawą. Gdzieniedzie widniały grządki i rabaty z kwiatami. Nikt nie domyśliłby się, że ogród ten i sad rośnie na ruinach fundamentów budowli krzyżackiej. Jedyny ślad, jaki pozostał, to piwnica mieszcząca się na środku sadu. Z tyłu stanowiła ona dość szeroki pagórek obsadzony krzakami agrestu, tylko z przodu widziało się brunatny mur krzyżackiej cegły, żelazne drzwi i zakratowane maleńkie okienko. Rozmiary pagórka i muru wskazywały, że piwnica jest rozległa. Wejścia do niej strzegło nie pięć, jak żartował proboszcz, ale jedna, za to potężna kłódka żelazna.

Trzeba bardzo zręcznie porozmawiać z gospodynią - rzekł Tell. - Może ją ubłagamy, aby nam pokazała wewnątrz piwnicy?

- I co z tego, że ci ją pokaże - wzruszył ramionami Sokole Oko. - Będziesz je oglądał w jej towarzystwie, nie zechce przecież zostawić nas sam na sam ze słoikami konfitur i powideł. Musimy mieć czas, żeby dokładnie spenetrować piwnicę. Jeśli jest w niej jakieś wejście do skrytki, to tak od razu na nie nie trafisz.

- Potrzebny jest nam jakiś fortel - zastanowiłem się, - Tylko dobre fortele mogą nas uratować. W żadne pertraktacje z księżą gospodynią nie wdawajcie się, bo możecie ją nastroić podejrzliwie i cała sprawa weźmie w łeb.

- A co pan proponuje? Włamanie? - spytał szeptem Wiewiórka.

- Nie - roześmiałem się. - Na razie nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

- Już ja na pewno wpadnę na jakiś dobry pomysł - zapewniła nas Ewa. - Dajcie mi tylko trochę czasu do namysłu.

- Zgoda. Dajemy ci czas do wieczora - rzekł Tell.

- A teraz chodźmy stąd - powiedziałem - bo gospodyni zwróci uwagę, że zbyt kręcimy

się koło jej królestwa.

Powędrowaliśmy spacerowym krokiem w stronę obozu nad jeziorem. Chłopcy odłączyli się od nas, żeby - jak powiedzieli - zwiedzić dokładnie całą wioskę. Domyśliłem się, że po prostu chcą zasięgnąć dalszych informacji o Kortumowie i podziemiach krzyżackich budowli.

We dwoje z Ewą zasiedliśmy przed namiotem. Ona nad czymś rozmyślała, raz po raz wyrwała trawkę z ziemi i gryzła ją zębami.

- Czy ma pan kilkanaście metrów cienkiego drutu? - spytała nieoczekiwanie.

- Owszem. Każdy posiadacz samochodu wozi ze sobą trochę drutu na wypadek, gdyby mu się przepalił jakiś przewód elektryczny.

- To proszę mi go wypożyczyć - rzekła. - A ma pan może baterijki elektryczne?

- Mam, ale w latarce. Są mi potrzebne.

- W tej wiosce jest sklepik, prawda? Więc chyba dostanę w nim baterie - powiedziała Ewa.

Dałem jej zwój drutu elektrycznego. Przyjęła go z tajemniczą miną, zapakowała do torby, którą przewiesiła sobie przez ramię. Skinąwszy mi głową na pożegnanie, pomaszzerowała do wioski.

Zostałem sam. Pół godziny opalałem się na brzegu jeziora, ale po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że okazałem się najbardziej leniwym członkiem naszej wyprawy. Ewa poszła załatwić jakieś tajemnicze sprawy, chłopcy szukają informacji o podziemiach, a tylko ja grzeję się na słończku.

Postanowiłem więc wziąć na siebie zadanie lustracji lasu, który otaczał wioskę. Ruszyłem wzdłuż krawędzi boru zamierzając lasem obejść całą wieś. Zrobiłem najwyżej z pięćset metrów i zobaczyłem porośnięte drzewami rumowisko cegieł. Rozciągało się ono na niewielkiej przestrzeni i stanowiło wyraźny kwadrat. Były to jak gdyby fundamenty dużej wieży, która tu kiedyś stała albo miała stanąć. Poznałem brunatną cegłę „palcówkę”, podobną do tej, z jakiej zbudowano kościółek w Kortumowie. Pomyślałem, że tu zapewne miała stanąć wieża strażnicza z główną bramą wjazdową.

Oczywiście, jeśli miejsce to przewidziano na wieżę i bramę wjazdową, trudno było przypuszczać, aby fundamenty leżały w ziemi bardzo głęboko i kryły podziemia ze skrytką. Lecz jaką miałem pewność, że to rzeczywiście była wieża strażnicza? Należało dokonać wkopu gdzieś z boku rumowiska i przekonać się, jak daleko sięgają fundamenty. Była to praca wymagająca

wielkiego nakładu sił i czasu.

Poszedłem dalej w las, ale już nic ciekawego nie napotkałem. Las był mieszany, miejscami iglasty, miejscami porośnięty młodymi i starymi dębczakami. Wokół dębów ziemię zorały dziki poszukujące żołądźi, wszędzie widziałem mnóstwo czarnych jagód.

Wróciłem po południu, Ewa i chłopcy siedzieli w obozie i przygotowywali obiad. Młode towarzystwo miało miny wielce tajemnicze, a jednocześnie wydawali się z siebie bardzo zadowoleni.

- I cóż - z pewną wyższością spytała mnie Ewa - czy zauważył pan coś ciekawego?

- Niewiele - odrzekłem skromnie. - Nie mogę jednak stwierdzić, abym odbył spacer bez pozytywnego rezultatu.

- A ja dowiedziałem się od pewnego starego gospodarza w wiosce - powiedział z dumą Wiewiórka - że jeszcze przed pierwszą wojną światową żył w Kortumowie chłop, który znalazł, wejście do podziemi. Tylko że nikt nie wie, gdzie to wejście. Chłop wziął ze sobą dwojaki z jedzeniem i ślad po nim przepadł. Nie wrócił z podziemi. A ludzie jeszcze przez jakiś czas słyszeli w kościele jakby jęki i skargi duszy potępionej...

- Dlaczego: potępionej?

- Nie wiem. To przecież tylko taka tutejsza legenda. Może ludzie przypuszczali, że tajemnicze wejście prowadziło do piekła - rzekł Wiewiórka.

Odezwała się Ewa:

- Proszę pana, czy mógłby pan nam wypożyczyć swój akumulator z samochodu? Jakie jest w nim napięcie?

- Dwanaście wolt...

- To świetnie. Właśnie takie napięcie jest nam potrzebne. .

- Akumulatora nie mogę pożyczyć. Rozładujecie go i potem nie będę mógł nigdzie pojechać.

- Nie rozładujemy go - zapewniała mnie Ewa.

- Chcicie, żebym wyjął z auta akumulator i dał go wam do zabawy? - zdumiałem się.

- Akumulatora nie potrzebujemy do zabawy - z powagą rzekła Ewa. - Nie rozładujemy go. Na razie jest bardzo spokojnie i nie zanoszą się na żadne pościgi. Malinowski jeszcze do nas nie trafił.

- Ewa zna się na elektryczności - powiedział Tell. - Ona powiedziała, że w przyszłości

pójdzie na politechnikę na wydział elektryczny.

- Dziewczyna i zna się na elektryczności - z podziwem kręcił głową Sokole Oko. -
Dotychczas spotykałem tylko takie, co bały się prądu.

- Czy mógłbym wiedzieć, do czego potrzebny jest wam akumulator?

- O, nie! To jest nasza tajemnica! - krzyknęli chórem.

- Już mam wyżej uszu tych wszystkich tajemnic - burknąłem, - Tajemnica skarbu
templariuszy, tajemniczy pan Malinowski. A teraz wreszcie: tajemnica akumulatora.

Wtrącił się Wiewiórka:

- Czy słyszał pan o teorii prądów błędzących?

Długi Ozór! Długi Ozór! - wrzasnęli natychmiast pozostali chłopcy.

- Przecież ja nic takiego nie powiedziałem - oburzał się Wiewiórka. - Po prostu zapytałem,
czy pan Samochodzik słyszał coś o teorii prądów błędzących.

- To i owo obito mi się o uszy - podrapałem się w głowę. - Wyznaję jednak, że dokładnie
nic o nich nie wiem.

- No właśnie. A my znamy tę teorię - zaśmiał się Sokole Oko. - Akumulator jest
potrzebny w związku z tą teorią.

- Nie rozładujemy go panu. Słowo honoru - przysięgała Ewa.

Co miałem robić? Sympatyczne to było bractwo i, zdaje się, szykowało jakiś kawał.

- Zgoda. Ale, błagam was, nie wypróbujcie na mnie teorii prądów błędzących. Ja się
bardzo boją prądu.

- Spokojna głowa - powiedziała Ewa. - Nic się panu nie stanie. Ja jestem królową prądu
elektrycznego i władam piorunami. Tak jest, chłopaki - zwróciła się do harcerzy. - Macie mnie
od dziś tytułować królową. A teraz bardzo prosimy o akumulator.

Rad nierad podniosłem maskę wehikułu i odkręciłem śrubki przytrzymujące akumulator.
Wręczyłem go chłopcom, a oni zaraz zanieśli go do swojego namiotu. Weszła tam także Ewa z
torbą, w której spostrzegłem kilkanaście baterijek elektrycznych.

„Co za licho?” - pomyślałem.

Usiadłem na brzegu jeziora, trochę smutny, że odsunięto mnie od tajemniczej
działalności. Za swymi plecami słyszałem głosy dolatujące z namiociku chłopców:

- ...Powiedziałam wam, że trzeba łączyć w szereg... Nie tak, fajłapy. W szereg. Boże,
co z was za tumany... No, trzymaj za koniec drutu...

- Boję się... boję się - stęknął Wiewiórka.

- Nie bój się! - krzyczała na niego Ewa. - Co za tchórz! Uciekaj stąd! Ja sama pokażę, jak się trzyma!

Z namiotu wyrzwał Sokole Oko.

- Proszę pana! - zawołał. - Może panu wędkę zrobić i będzie pan łowił rybki? Zamiast przejść się po okolicy, zbadać dokładnie sytuację, to pan oddaje się sennym marzeniom.

Wstałem z ziemi.

- Zdaje się, że chodzi wam o to, abym sobie poszedł, co? No dobrze, pójdę - mruknąłem. - Jakie to szczęście, że nie wożę z sobą dynamitu. Zapewne także zażądalibyście go ode mnie.

Sokole Oko zachichotał, z głębi namiotu także rozległ się potrójny chichot. Odprowadzony śmiechem chłopców poszedłem w stronę starego kościoła.

W głębi duszy czułem, że Sokole Oko ma rację. Nie wiedziałem, jak zabrać się do szukania wejścia w podziemia, których, być może, wcale tutaj nie było.

Jeszcze raz obszedłem cały kościół, długo medytując przy znaku krzyża widniejącego nad drzwiami do zakrystii. Znowu porównałem go z rysunkiem pozostawionym w moim notesie przez Karen. Ale zamiast myśleć o skarbie templariuszy, zacząłem zastanawiać się, co teraz robi Karen. Czy w dalszym ciągu pozostaje w Malborku, czy też wyruszyła gdzieś dalej? Byłem przekonany, że prędzej czy później wpadnie na pomysł, aby łacińskiej nazwy Cor Tuum szukać w słowniku geograficznym polskich miejscowości. Należało się spodziewać, że wkrótce przyjedzie tutaj swym lincolnem. Dlatego tym bardziej gniewała mnie myśl, że czasu, jaki mnie dzieli od tej chwili, nie potrafię wykorzystać na odnalezienie wejścia do podziemi.

„A Anka? Co się z nią dzieje? - zastanawiałem się, - Dlaczego tak nagle wyjechała? Czyżby rzeczywiście straciła zainteresowanie dla poszukiwaczy skurbu?”

Gdy wróciłem do obozu, obiad był już gotowy. Ewa i dwaj chłopcy krzatali się przy kuchence spirytusowej. Brakowało tylko Tella.

- Gdzie nasz Wilhelm? - zapytałem.

- Na czatach - odrzekła krótko Ewa.

Więcej już nie pytałem, bo wywnioskowałem, że pobyt na czatach wchodził w zakres tajemnicy, którą posiadali moi przyjaciele. W milczeniu zasiadłem do obiadu. Ewa naląła mi zupy do menażki i zabrałem się do jedzenia.

Raptem z krzaków obrastających skraj księżego sadu dobiegł nas cichy gwizd. Ewa

natychmiast rzuciła się do namiotu chłopców, a Wiewiórka i Sokole Oko czekali na coś z napięciem widocznym na ich wyrazistych chłopięcych twarzach.

Upłynęło kilka minut i z głębi ogrodu rozległ się najpierw kobiecy pisk, później wrzask, jakieś niezrozumiałe okrzyki.

Gorąca menażka wypadła mi z ręki i potoczyła się po trawie. Zerwałem się z ziemi i popędziłem do ogrodu, a za mną biegli Sokole Oko i Wiewiórka.

Przy drzwiach do piwnicy zobaczyliśmy grubą gospodynię księdza. Chwytała za kłódkę przy drzwiach, to znów odskakiwała od niej - popiskując, wrzeszcząc, złorzecząc.

- Co się stało? - spytałem, zadyszany biegiem.

- Nie wiem. Kłódka parzy. Niech pan dotknie, parzy - to mówiąc ostrożnie dotknęła kłódki i odskoczyła od niej jak oparzona.

Przypomniałem sobie o pożyczonym akumulatorze. Frasobliwie pokręciłem głową:

- To jakaś bardzo tajemnicza historia, proszę pani.

- A tak, tak - przyświadczyła gospodyni opierając ręce na swym dużym brzuchu. - Rano brałam stąd garnek z mlekiem i kłódka nie parzyła. A teraz parzy. Dziwne to, bo przecież słońce tu wcale nie zagłada,

Sokole Oko z bardzo poważną miną zbliżył się do piwnicznych drzwi. W palcach trzymał żarówką od latarki elektrycznej. Oprawką żaróweczki dotknął kłódki i żarówka zapaliła się.

- Boże święty! - wrzasnęła gospodyni. - Tu jest prąd elektryczny. Nasza wieś nie jest zelektryzowana. Boże mój, skąd prąd w drzwiach piwnicy?

I na jej pucolowatej twarzy uwidoczniło się takie zdumienie, że o mało nie parsknąłem śmiechem.

- Matko Najświętsza! Muszę lecieć powiadomić księdza proboszcza. Coś takiego? Prąd w drzwiach piwnicy?

- Zapewne płynie tędy jakiś podziemny strumień prądu - odezwał się Sokole Oko. - Czy słyszała pani o prądach błądzących?

- Ludzie kochani, prądy błądzące? - przeraziła się gospodyni. - I kawaler myśli, że ten prąd aż tutaj się zabłąkał? A skąd on się wziął, proszę kawalera?

- Nie wiadomo - odrzekł Sokole Oko. - Prawdopodobnie gdzieś daleko, może o dwieście kilometrów, przerwała się linia wysokiego napięcia. Prąd zamiast płynąć po drutach, w ziemię uciekł. I pod ziemią błądził, błądził... błądził... błądził... - opowiadał Sokole Oko przewracając

oczami - i tutaj się zabłąkał. Drzwi do piwnicy są żelazne, kłódka na nich żelazna, a to są dobre przewodniki elektryczności.

Gospodyni zwróciła się ku mnie: Panie starszy, czy to wszystko prawda, co mówi ten kawaler?

- Nie jestem wcale starszym panem - zaperzyłem się.

- O, nie chciałam pana dotknąć - sumitowała się gospodyni. - Chciałam powiedzieć: starszy wśród młodszych. Myślałam, że pan jest kierownikiem nad tymi kawalerami.

- Tak jest - zgodziłem się. Ale na wszelki wypadek: zastrzegłem: - Nie znam się na elektryczności. Ale ci chłopcy coś niecoś wiedzą o tej sprawie. Młode pokolenie bardziej jest zaznajomione ze współczesną techniką niż my, starsi.

Gospodyni załamała ręce:

- I nie ma żadnej rady, żeby ten prąd błądzący poszedł sobie gdzie indziej?

- Owszem, jest rada - zapewnił ją Sokole Oko. - Należy piwnicę zaizolować.

- Co takiego? - znowu przeraziła się gospodyni.

- Z a i z o l o w a ć - powtórzył dobitnie.

- A cóż to znowu takiego? Czy to drogo kosztuje? Czy długo potrwa takie z a i z o l o w a n i e?

Sokole Oko spojrział w niebo, spojrział w ziemię, rozejrzał się po jeziorze. Potem długo drapał się w głowę.

-- Zrobimy to pani za darmo. Bo pani jest bardzo miła, a ksiądz proboszcz był tak dobry, że zezwolił brać jabłuszka z ogrodu. Zaizolowanie piwnicy nie potrwa długo, najwyżej jeden dzień. Musi pani dać jutro klucz od piwnicy, a my zajmiemy się izolacją. Przygotujemy odpowiedni materiał i szybko weźmiemy się do roboty.

- A czy to konieczne aż wchodzić do piwnicy? - zaniepokoiła się.

- No, a jakże inaczej zaizolować? - spytał Sokole Oko. - Musimy wejść do piwnicy. Jeśli ma tam pani jakieś cenne rzeczy, to proszę je dzisiaj wynieść, choć do nas może mieć pani pełne zaufanie, Nie lubimy konfitur.

- Jakże wejść do piwnicy, skoro kłódka parzy?

- Zaraz kłódkę zaizoluję - obiecał Sokole Oko. - Nie będzie to trwała izolacja, ale do jutra bez obawy pani może kłódkę otwierać.

Sokole Oko wyjął z kieszeni szpulkę z leukoplastem. Urwał kawałek i na krzyż przylepił

go na drzwiach. Przy tym gwizdnął głośno, zapewne porozumiewając się z Ewą, która, jak domyśliłem się, tkwiła w namiocie przy akumulatorze.

- Teraz już może pani otworzyć kłódkę - triumfująco powiedział Sokole Oko.

Gospodyni ostrożnie wysunęła rękę i koniuszkami palców dotknęła kłódki.

- Rzeczywiście! - zawołała radośnie. - Nie parzy. Ani trochę. Ani odrobinę.

Już z większą pewnością siebie włożyła klucz do kłódki i przekreśliła go w zamku.

- Cóż to za mądre i miłe chłopaki - patrzyła z wdzięcznością na Sokole Oko. - Kto by pomyślał o tych prądach błędzących. Tak, tak, musicie mi zaizolować piwnicę. Powiadacie, że nie lubicie konfitur?

- Nie! - oświadczyli jednocześnie Sokole Oko, Wiewiórka i Tell, - Nie lubimy ani konfitur, ani powideł. Smakuje nam tylko kotlet barani i comber.

- A pulpeciki z mięsa? - spytała.

- To zależy jakie - ostrożnie odrzekł Wiewiórka.

- W takim razie zapraszam was na kolację. Będą pulpeciki z mięsa, mojej roboty. Wam w tym namiocie pewnie chłodno i głodno, to sobie u mnie podjecie.

No, jeśli to pani zrobiła pulpeciki, na pewno będą nam smakowały - przypochlebiał się Sokole Oko.

W ten sposób zawarta została przyjaźń ze srogą gospodynią, co jak źrenicy oka strzegła klucza do piwnicy z konfiturami.

W obozie powiedziałem do chłopców i Ewy:

- Nie jestem zachwycony ani waszą teorią prądów błędzących, ani nie pochwalam metody elektrowstrząsów, którą zastosowaliście wobec starszej kobiety.

- Ale będziemy mieli klucz od piwnicy! - z triumfem zawołała Ewa.

- Tak jest, królowo prądu elektrycznego! - krzyknęli chłopcy.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

NOCNI GOŚCIE W LESIE – SPOTKANIE NA DRODZE – ZWIEDZAMY PIWNICĘ – CO KRYJE STUDNIA? – DECYDUJĄCA CHWILA

Nadszedł wieczór, a potem zapadła noc. Kolacja u gospodyni proboszcza (na którą ja zresztą, nie poszedłem, gdyż niewiele wiedziałem o prądach błędnych) bardzo smakowała moim młodym przyjaciółom. Długo się rozwodzili nad przedziwną właściwością pulpetów z mięsa. Wreszcie w naszym obozie zapadła cisza i tylko cichutko szemrały fale w jeziorze, a od czasu do czasu w przybrzeżnych trzcinach gwarzyły dzikie kaczory.

Przed snem poszedłem na spacer do lasu, tam gdzie zauważyłem prostokątny zarys starych fundamentów. Nie było to daleko, ale nasz obóz oddzielała od tego miejsca gęsta ściana drzew, zagajnik i pasmo krzewów. Dopiero w ostatniej chwili zorientowałem się, że ktoś już tam jest, ba, rozłożył się obozem. Niemal nosem dotknąłem przyczepy campingowej Petersenów.

Cofnąłem się w zagajnik i ostrożnie obszedłem ruiny, kryjąc się za drzewami. Pomyślałem, że jest dość czasu na powitanie Karen i jej ojca, natomiast przezorniej będzie spróbować zorientować się w ich zamysłach.

Przyjechali chyba drogą z głębi lasu, omijając wieś. I to niedawno, bo Kozłowski właśnie kończył ustawianie swego namiotu. Kapitan siedział na pniu drzewa i wolno ćmił fajkę, a Karen - mimo nocnego mroku - chodziła po ruinach, świecąc elektryczną latarką. Rad byłem, że właśnie w tym miejscu chciała szukać skrytki ze skarbami. Zapewne po drodze informowała się, czy w Kortumowie są jakieś ruiny, pokazano jej resztki fundamentów w lesie. O tym, że przed księżą plebanią i ogrodem także znajdują się ruiny krzyżackich budowli, prawdopodobnie nie miała pojęcia.

„A może to jednak ona ma rację? — medytowałem - Może skrytka templariuszy znajduje się tutaj, a nie tam?”

- Jutro od rana uruchomisz całą naszą aparaturę - zawołała Karen do ojca. - Zbadamy dokładnie ruiny. Jak na przyszlą krzyżacką stolicę, trochę mało tego, nie sądzisz? - spytała.

- Przecież sama mówiłaś, że oni tę stolicę dopiero projektowali - przypomniał jej kapitan.

- Budowę na tak wielką skalę zapewne zaczęli w kilku miejscach jednocześnie. Dlatego nie jest wcale pewne, że te ruiny są właśnie tymi, o które nam chodzi - powiedziała.

„Sprytna dziewczyna” - pomyślałem ze złością.

Odezwał się Kozłowski:

- Ciekaw jestem, co teraz robi pan Samochodzik i jego hałastra.

- Zapewne, tak jak i my, szuka skarbu - rzekł Petersen.

Kozłowski zaśmiał się:

- Ten dureń nawet chyba nie pomyślał, że Serce Twoje to Cor Tuum, a Cor Tuum, to właśnie Kortumowo.

- Pan też tego nie pomyślał, panie Kozłowski. To dopiero ja musiałam na to wpaść. Nie mam z pana żadnego pożytku - stwierdziła Karen. - A co do pana Samochodzika, to jeszcze nie wiadomo, czy jutro nie zajędzie tu swym szatańskim samochodem. To sprytny człowiek.

„Jutro? - pomyślałem. - Ja tu jestem od wczoraj”.

- Ciekawe, gdzie on pojechał? - głośno zastanawiała się Karen.

- Kto? - spytał ją Kozłowski.

- Pan Samochodzik. Przecież o nim ciągle mówimy.

- Pani wciąż o nim myśli – gniewnie rzekł Kozłowski. - Powiadam, że to dureń i nic więcej.

- Ale ten dureń, jak pan powiada - rzekł Petersen - już dwukrotnie uratował moją córkę z przykrych opresji.

- Odradzałem pannie Karen samotną wyprawę na spotkanie z bandytą - przypomniał im Kozłowski. - Co innego było nad jeziorem. Okup można było złożyć, ale nie należało jechać na pięćdziesiąty kilometr.

- A może pan Samochodzik pojechał szukać Malinowskiego? - zastanawiała się Karen. - W takim razie można się spodziewać, że lada chwila go tu zobaczymy. Bo Malinowski chyba w dalszym ciągu nas śledzi i czeka sposobności, aby nas ze skóry obłupić.

- To ja jego ze skóry obłupię – wrzasnął Petersen.

- Kogo? - zdumiał się Kozłowski.

- Jeszcze pan nie wie, kogo mam zainiar obłupić ze skóry? - oburzył się Petersen. - Malinowskiego, proszę pana. Pan Samochodzik nie zrobi chyba mi tej przykrości i nie schwyta Malinowskiego bez mojej pomocy. Obiecaliśmy sobie, że go razem złapiemy i razem obłupimy

ze skóry.

- Malinowski dosyć się na was obłowił i teraz zapewne korzysta z łupu - powiedział Kozłowski.- byłby ostatnim głupcem, gdyby w dalszym ciągu narażał się na niebezpieczeństwo.

Petersen oczyścił fajkę z popiołu i wstał z pieńka.

- Jestem zmęczony i idę spać. A co do pana Samochodzika, to wam powiem, że go nie doceniacie. Być może, w tej chwili on stoi tu gdzieś w pobliżu i słucha waszej głupiej rozmowy.

Zdrętwiałem. Czyżby kapitan dostrzegł mnie za pniem drzewa? Nie, po prostu uważał mnie za sprytnego człowieka.

Na wszelki wypadek cofnąłem się w głąb lasu. Ale nie wróciłem do naszego obozu. Wspomniałem słowa Karen, że Malinowski, być może, idzie ich śladem, i postanowiłem jeszcze trochę przespacerować się po okolicy.

Minęło pół godziny, zanim dobrnąłem do piaszczystej drogi, którą przyjechaliśmy do Kortumowa.

Nocny spacer nie przyniósł żadnych rezultatów, nie zauważyłem niczego podejrzanego. Na chwilę usiadłem przy drodze, aby odsapnąć po forsownej wędrówce. I wtedy usłyszałem skrzyp źle nasmarowanych osi w chłopskim wozie, zbliżającym się drogą do wioski.

- Wiooo, hejta - sennie pomrukiwał woźnica.

Nie było w tym nic niezwykłego i osobliwego. Ot, do wioski wracał z miasta chłop swoją furmanką. Wóz był coraz bliżej i bliżej, skrzypienie osi stawało się coraz głośniejsze. Podniosłem oczy, żeby spojrzeć na woźnicę, i nagle zobaczyłem Ankę - siedziała obok woźnicy i kołysała się sennie.

„Masz, babo, placek - pomyślałem, zrywając się na równe nogi. - Ilekroć szukam Malinowskiego, zazwyczaj trafiam na Ankę”.

- Moje uszanowanie pani! - zawołałem. Drgnęła przestraszona okrzykiem, który padł z przydrożnego rowu.

- Ach, to pan? - powiedziała z ulgą. I zaraz popadła w swój ironiczny ton: - Pan Samochodzik na czatach? A gdzie młodzi bohaterowie?

- Proszę mnie nie nazywać panem Samochodzikiem – warknąłem.

Poprosiła woźnicę, aby zatrzymał konia.

- Jestem już na miejscu – powiedziała wręczając chłopu zapłatę – Właśnie do tego pana

jechałam w gościnę. Jak to ładnie, że mnie pan oczekiwał.

Zeskoczyła z wozu, w ręku miała małe walizeczki.

- Wcale na panią nie czekałem – rzekłem.

- Tak? To przykre – westchnęła – Mimo to bardzo się cieszę, że pana spotkałam.

Martwiłam się, że po nocy nie znajdę waszego obozu.

- To pani się do nas wybiera? - przeraziłem się.

- A pewnie. Przecież umawialiśmy się, że zamieszkam z Ewą w jednym namiocie.

- No tak. Ale potem tak tajemniczo pani zniknęła...

- Nie było w tym nic tajemniczego. Po prostu wyjechałam do Warszawy w sprawach służbowych. Lecz oto jestem z powrotem.

- Pani Anko - rzekłem z powagą. - Proszę być ze mną szczerą. Czy pani jest związana z panem Malinowskim?

Parsknęła śmiechem. Potem śmiała się tak głośno, że łzy jej napływały do oczu.

- Pan zaczyna gonić w piętę. Pyta pan już jak Petersen: „Czy jest pan może Malinowskim?” Naturalnie, jestem Malinowskim. Mam wąsy i brodę.

- Niech pani nie żartuje. Chyba już pani wie, co spotkało Karen, gdy pojechała na pięćdziesiąty kilometr?

- Niby skąd mam wiedzieć? Przecież jadę prosto z Warszawy. Mam nadzieję, że tę przemądrzałą pannę spotkało wszystko najgorsze.

- Jak pani może tak mówić - oburzyłem się. - Malinowski zabrał Karen złoty zegarek i broszkę z brylantami. Chciał ściągnąć z ręki pierścioneł, ale na szczęście przyjechałem tam w samą porę.

- Ba! Tego się można było spodziewać. Szlachetny rycerz uratował uciśnioną z rąk złoczyńcy...

- A wie pani, kto jest Malinowskim? - powiedziałem patrząc w jej twarz i chcąc odkryć na niej wyraz strachu.

- Kto? Bardzo tego ciekawa.

- Pani przyjaciel. Motocyklista. Mysikrólik. Przyjęła tę wiadomość zupełnie spokojnie. Wzruszyła ramionami.

- To nie jest mój przyjaciel, a tylko człowiek, który przywiózł mnie motocyklem z Gib do Malborka. Próbował ze mną flirtować, to wszystko. A poza tym pan się myli. On nie jest

Malinowskim.

- Nie? Skąd ta pewność?

- Bo ja wiem, kto jest Malinowskim - powiedziała. - A ściślej, domyślam się już, kto jest prawdziwym Malinowskim. Nie; nie powiem panu - uprzedziła moje pytanie. - Panu zostawiam skarby, a sobie przyjemność zdemaskowania bandyty. Co zaś tyczy Mysikrólika, niech pan pamięta o zasadniczym szczególe: Malinowski przebywał w Paryżu, gdzie oszukał Petersena. A młody człowiek na junaku nigdy nie był w Paryżu, w ogóle nigdy nie wyjeżdżał za granicę. Zresztą, co będę panu wyjaśniać wszystkie szczegóły. Jestem śpiąca i zmęczona. A teraz proszę zaprowadzić mnie do swego obozu.

Co miałem robić? Zaprowadziłem ją nad jezioro i obudziłem Ewę, która przyjęła Ankę do namiotu. W głowie miałem chaos. W nocy śnił mi się Malinowski, który miał twarz proboszcza z Kortumowa i nosił sutannę.

„Tak, tak, panie Samochodzik - mówił proboszcz Malinowski. - Właśnie wczoraj zabrałem z podziemi skarby templariuszy i dla pana pana pozostawiłem już tylko puste skrzynie”.

Rankiem zbudził mnie tubalny głos kapitana Petersena. On i jego córka przyszli myć się nad jezioro i napotkali nasze obozowisko.

- Mister Samochodzik! - zawołała gniewnie Karen, zaglądając do wnętrza wehikułu, gdzie spoczywałem w objęciach Morfeusza. - Czy ja już nigdy nie uwolnię się od pańskiego towarzystwa?

Wyszedłem z samochodu.

- Przepraszam bardzo - rzekłem podając jej rękę. - Ale to ja byłem tutaj pierwszy. Wygląda raczej na to, że to nie pani, ale ja nie mogę się uwolnić od waszego towarzystwa.

Petersen poklepał mnie po plecach.

- Świetnie, że pana widzę. Weźmiemy się teraz do Malinowskiego.

Nadszedł Kozłowski z wiaderkiem w rękę, obudzili się chłopcy, Ewa i Anka.

- Państwo nie macie już tutaj czego szukać - rzekł Tell do Karen. - Pan Samochodzik właśnie wczoraj odnalazł skarby templariuszy i mimo naszych próśb ani trochę nie chciał zostawić dla pani.

Gdy Kozłowski przetłumaczył Karen słowa Tella, ta złapała się za głowę:

- Co za okropne chłopaki! Mister Samochodzik ma na nich fatalny wpływ. I nie jest pan

zdumiony naszą wizytą? - zwróciła się do mnie.

- Nie. Przecież już wczoraj wiedziałem, że przyjechaliście. Ale jestem dobrze wychowany i po nocy nie składam nikomu wizyt.

- Słyszysz, Karen? - triumfował Petersen. - Mówiłem ci, że mister Samochodzik już tu jest od dawna.

Dziewczyna nic nie powiedziała, tylko zajęła się myciem. My także zabraliśmy się do rannej toalety. I gdyby ktoś nas nie znał, mógłby sądzić, że oto nad brzegiem jeziora spotkało się znajome towarzystwo, bardzo sobie przyjazne i zgodne.

- Zaraz po śniadaniu - odezwałem się do Karen - odwiedzimy wasz obóz, bo właśnie dziś zamierzamy penetrować ruiny w lesie.

- Pan nie ma prawa do tych ruin - ostro powiedziała Karen, - One należą do mnie. Ja tam zamieszkałam.

- Ale ja tam byłem pierwszy.

- No to co? Nie zostawił pan żadnego śladu. Pan ma obóz tutaj, więc niech pan tutaj szuka skarbów - rzekła złośliwie, zataczając ręką duże koło obejmujące jezioro, kościół i plebanię. - A my tam mamy obóz i tam będziemy szukać. Uważam, że należy podzielić strefy swoich wpływów.

Zastanowiłem się. Do takiego układu zmierzałem, nie chciałem tego okazać Karen.

Wtrąciła się Anka:

- Panie Tomaszu, pan znowu chce się dać wykiwać?

Wtrącił się Petersen:

- Najlepiej zrobimy, mister Samochodzik, zajmując się poszukiwaniem Malinowskiego. Wskazałem na Ankę.

- Malinowski to dziedzina zarezerwowana dla tej pani. Z nią musi pan wejść w kontakt.

- Tak? - ucieszył się kapitan. - Panią także oszukał ten łajdak?

- Owszem - kiwnąłem głową. - Obiecał jej małżeństwo i nie dotrzymał obietnicy.

Anka nabrała w miskę wody i chlusnęła nią na mnie.

- Ja bym tam nie uciekł od takiej pięknej panny - powiedział dwornie Kozłowski.

- Dziękuję panu - uśmiechnęła się do niego Anka. - Pan reprezentuje tutaj wytworne obyczaje.

- Pozwolę jednak sobie wyrazić zdumienie - rzekł Kozłowski - że pan Samochodzik zlecił pani najniebezpieczniejszą dziedzinę.

- Gdy się ma takiego przeciwnika, jak panna Karen, szukać skarbów także jest niebezpieczną dziedziną - odpowiedziałem.

- Och, już niech pan nie robi ze mnie takiego potwora - rzuciła Karen. - Ja pana mimo wszystko bardzo cenię i nawet trochę lubię.

Do Anki zbliżył się kapitan Petersen.

- Bardzo mi miło, że będę miał tak sympatycznego współpracownika. Czy naprawdę mogę liczyć na pani pomoc? - zapytał.

- Tak jest - dygnęła Anka - Możę pan liczyć na moją inteligencję. Ja natomiast pragnę liczyć na pańskie silne ramię.

- Owszem, siły mi nie brakuje - pochwalił się kapitan, pokazując swoje wielkie muskuły.

- A na razie to Malinowski kpi sobie z nas wszystkich - stwierdził Kozłowski.

- Już niedługo. Bardzo niedługo - rzekła Anka.- Jestem znacznie bliższa prawdy o nim, niż to się może wydawać.

Powiedziałem:

- W takim razie ustalimy strefy naszego działania. Pan Petersen i pani Anka zajmą się Malinowskim. Panna Karen i pan Kozłowski będą szukali skarbów w ruinach w lesie. A ja, chłopcy i Ewa zajmiemy się terenem nad jeziorem i wokół kościoła.

- I znowu poszedł pan na lep panny Karen? - zawołała Anka.

- A pani jest zazdrosna - rozżłościła się Petersonówna.

Kiwnęła ręką na Kozłowskiego, dając mu znak, że pora ruszać do roboty. Odchodząc od nas mówili cicho ze sobą. Doleciało mnie kilka zdań tej rozmowy.

- On zbyt łatwo przystał na moją propozycję. To podejrzane. Musi pan zainteresować się i tym, co znajduje się w pobliżu kościoła...

W pośpiechu zjedliśmy śniadanie. Było dla nas oczywiste, że od tej chwili liczyć się będą nawet godziny. Skarb templariuszy znajdował się w Kortumowie, a będzie należał do tego, kto pierwszy porafi go odnaleźć,

Zaraz po śniadaniu poszedłem z chłopcami na plebanię. Anka zaś skierowała się do obozu Petersenów, aby - jak powiedziała - odbyć z kapitanem „naradę wojenną” w sprawie

Malinowskiego.

Gospodynię spotkaliśmy w ogrodzie. Na sznurze bielizny rozwieszała białe komże ministrantów. Postanowiliśmy zabrać się do izolowania piwnicy - powiedział Sokole Oko salutując po harcersku przed gospodynią.

- Czy to potrwa bardzo długo? - zatroskała się.

- Najwyżej do wieczora - stwierdził kategorycznie Wilhelm Tell.

Na drodze do kościoła zobaczyliśmy idącego powoli pana Kozłowskiego.

- O, pan Kozłowski! - zawołał radośnie Sokole Oko. - Pan Konfiturek!

- Kto taki? Konfiturek? To chyba nie jest nazwisko? - zdumiała się gospodyni.

- Naturalnie, że to nie jest nazwisko. Ten pan jest naszym znajomym z Malborka.

Przezwaliliśmy go „Pan Konfiturek”, ponieważ strasznie lubi wszelkiego rodzaju konfitury i powidła. Jak gdzieś zobaczy słoik konfitur lub powideł, to aż się trzęsie z łakomstwa. A nas znowu, proszę pani, aż mdli na widok konfitur.

- Rozumiem - skinęła głową gospodyni. - Bywają ludzie, którzy nie lubią słodczy. A są także tacy, co przepadają za słodczymi. Na przykład nasz ksiądz proboszcz bardzo lubi herbatę z konfiturami. Dlatego co roku dużo konfitur przygotowuję dla niego. Mam je wszystkie w piwnicy, nie uprzątnęłam ich, bo po co. Wy przecież nie lubicie słodczy.

- Nie. Nas mdli - chórem potwierdzili chłopcy. - A pan? - podejrzliwie zerknęła na mnie.

- Nie cierpię konfitur - powiedziałem z ręką na sercu.

A wtedy gospodyni wyjęła z kieszeni fartucha klucz od kłódki piwnicznej i podała go Sokolemu Oku.

- I nie będzie już prądów błędzących? — upewniła się.

- Żadnych prądów - obiecał Sokole Oko. - Ani błędzących, ani stojących. Bo trzeba pani wiedzieć, że są i takie prądy, Poza tym znamy prądy morskie prądy powietrzne.

Złapała się za głowę.

- Dajcie mi spokój z tymi prądami. Izolujcie, byle prędzej. Niech mnie już nie parzy kłódka w piwnicy.

Ukloniliśmy się grzecznie i poszliśmy w głąb ogrodu. Gdy zasłoniły nas krzaki porzeczek, przystanęliśmy i ostrożnie wyjrzeliliśmy spoza ich gęstwiny. Zobaczyliśmy pana Kozłowskiego zbliżającego się do gospodyni.

Skłonił się i zapytał:

- Czy nie byłaby pani tak uprzejma poinformować mnie, do kogo należy piwnica znajdująca się ogrodzie?

Gospodyni ujęła się pod boki i huknęła głośno:

- A do mnie należy, proszę pana!

-- Do pani? - ucieszył się Kozłowski.- Interesuje mnie architektura tej piwnicy. Ona wydaje mi się niezwykle starożytna. Czy nie byłaby pani uprzejma pożyczyć mi klucz? Chciałbym tam zerknąć

- Co? - wrzasnęła gospodyni, - Klucz? Do mojej piwnicy?

- Bardzo chcę poznać jej architekturę...

- Architekturę czy konfiturę?! - krzychała gospodyni. - Ja pana znam, proszę pana! Ktoś już panu powiedział o moich konfiturach! Znam pana, słyszałam o panu, panie Konfiturek.

- Nazywam się Kozłowski, a nie Konfiturek - próbował wyjaśnić.

Lecz gospodyni jeszcze bardziej się rozeźliła:

- Ja wiem, że Konfiturek to nie jest pańskie nazwisko. Pana tak tylko przezywają, ponieważ pan bardzo lubi konfitury i powidła.

- Ale nie, pani się myli. Mnie chodzi o architekturę. Za wypożyczenie klucza chętnie zapłacę...

- Mnie pan nie nabierze, panie Konfiturek - powiedziała gospodyni.

W końcu rozeźlił się także i Kozłowski.

- Pani jest wariatką! - krzyknął. - Proponuję pani uczciwy interes, a pani mi tu jakieś bzdury opowiada!

- Wariatką? Ja jestem wariatką? Ludzie kochani! Zjawił się tu jakiś przybłęda i obraża uczciwą kobietę!

Rozkrzychała się tak bardzo, że Kozłowski wziął nogi za pas i czmychnął do lasu. A gospodyni jeszcze czas jakiś wygrażała mu pięścią.

- No, nareszcie, mamy spokój od pana Konfiturek - rzekłem dusząc się ze śmiechu.

Stanęliśmy przed żelaznymi drzwiami przed piwnicą. Sokole Oko objął komendę:

- Wiewiórka pozostanie na zewnątrz piwnicy na czatach. Będzie lepiał babki z piasku, czyli innymi słowy zacznie przygotowywać materiał izolacyjny. A my rozejrzemy się wśród słoików z konfiturami i powidłami.

Włożył klucz do kłódki i przekręcił go w zamku. Weszliśmy do piwnicy.

Z początku ogarnął nas mrok, lecz po chwili oczy przyzwyczyły się do ciemności. Przez wąskie okienko wpadało trochę światła dziennego, a gdy zapaliliśmy latarki elektryczne, zrobiło się nawet całkiem widno. Widzieliśmy niski, łukowato sklepiony sufit wsparty na dwóch grubych filarach.

- To nie było budowane z przeznaczeniem na piwnicę - rzekłem. – Wydaje mi się, że to miała być jakaś sala zamkowa.

Zobaczyliśmy gładkie ściany z brunatnej cegły, tu i ówdzie wgłębienia w rodzaju niszy. A wszystko to zastawione było półkami, na których stały dziesiątki słoików z konfiturami, duże gąsiory i szeregi butelek mszalnego wina. W kątach piwnicy wałały się połamane skrzynie i rozsychające się beczki. W lewym rogu piwnicy znajdował się zakryty deskami otwór studni.

Ostrożnie, aby ktoś z nas nie pośliznął się i nie wpadł do niej, zdejmowaliśmy deskę po desce. W nozdrza uderzył nas chłodny, stęchły zapach wilgoci. Pasma światła z latarek elektrycznych sięgały lustra wody, leżącego gdzieś o dziesięć metrów w dół. Głośno plusnął kamyczek wrzucony w głąb.

Nie wiem, dlaczego ogarnęło nas nieprzyjemne uczucie, jak gdybyśmy zagłądali nie do studni, a w przepaść bez dna, ziejącą chłodem i grozą. Pochyleni nad studnią chłopcy raptownie wyprostowali się i odsunęli.

- Najzwyklejsza studnia śmierdząca stęchlizną - stwierdził Sokole Oko. - I w ogóle w tej piwnicy nie ma nic ciekawego poza konfiturami. Zasunęliśmy deski na dawne miejsce. Ewa omiotła światłem latarki wielką pajęczynę zwisającą nad studnią.

- O, Boże! - krzyknęła. - Spójrzcie na tę pajęczynę. Za nią jest jakiś znak na murze.

Tell wybiegł do ogrodu i przyniósł gałązkę z liśćmi. Odsunęliśmy nią pajęczynę.

- To nie jest znak. Zwykła kreska wryta na murze - rozczarowała się Ewa.

- Ale na końcu kreski znajduje się maleńki prostokącik. Chwileczkę... chwileczkę...

Sięgnąłem do kieszeni po notesik, gdzie miałem kartkę zarysowaną przez Karen.

- Czy wiecie, co znaczy kreska z prostokącikiem? Wedle tajnego pisma templariuszy jest to znak, który mówi: „Dziewięć metrów”. Pamiętajcie, co opowiadała Karen na Kozim Rynku? Taki sam znak znajdował się we francuskim zamku Arginy.

- Kreskę widzę, owszem. Ale żadnego prostokątka nie dostrzegam - powiedziała Ewa.

- Jest! Przyjrzyj się dokładnie! - zawołał Sokole Oko. - Jest także prostokącik.

Światła naszych latarek zaczęły biegać po ścianach piwnicy. Okazało się, że nie są one

tak gładkie, jak się to nam wydawało. Tu i ówdzie pod warstwą kurzu widziało się pęknięcia i szczeliny, które w naszej wyobraźni stawały się znakami templariuszy.

Na jednym z filarów wspierających sklepienie Sokole Oko dojrzał maleńki trójkącik.

- Czy to trójkąt Piotra z Awinionu? - spytał cicho.

I wszyscy ryknęliśmy radosnym wrzaskiem, aż Wiewiórka przerwał robienie babek z piasku i przerażony wbiegł do piwnicy.

- Spokojnie, spokojnie, chłopcy - upomniałem ich. - Najważniejszy jest ten znak, który był za pajęczyną. Dziewięć metrów. Pozwólcie, że się zastanowię...

Nadeszła gospodyni księdza, zapewne zaniepokojona o los swoich konfitur.

- Usłyszałam krzyki, więc pomyślałam, że coś się tu stało - wyjaśniła swoje przybycie.

Sokole Oko zmyślał na oczekaniu:

- Odkryliśmy główną żyłę błędzącego prądu. Biegnie ze studni. Trudna to będzie sprawa - kręcił głową z wielką powagą,

- A dacie sobie radę? - zaniepokoiła się. - Może jednak wezwać kogoś z miasta? Jakiegoś inżyniera specjalistę?

- Specjalistę? - pogardliwie skrzywił się Sokole Oko. - Myśli pani, że oni znają się na prądach błędzących? Ci specjaliści w ogóle nie wierzą w istnienie takich prądów.

No, no, no - kiwała głową z uznaniem. - Bardzo się zdziwi nasz proboszcz, jak mu o tym powiem.

- Lepiej będzie, jak mu pani nie powie - przestraszyłem się.

- A dlaczego? Myśli pan, że on nie wierzy? To mądry i bardzo zacny człowiek.

- Nie każdy mądry i zacny człowiek musi zaraz wierzyć w prądy błędzące - powiedziałem. - Znam wiele uczonych ludzi, co uważają, że to wszystko błaga.

- Tak, ma pan rację - przyznała gospodyni. - Więc ja już pójdę na plebanię, bo obiad muszę gotować.

Poszła. A ja zacząłem gromić Sokole Oko:

- Jak nie przestaniesz błaznować, to się pokłócimy. Nie widzę powodu, żeby bez końca mącić w głowie tej poczciwej kobiecie.

- To tylko na razie - bronił się chłopiec. - Przecież chodzi o skarby. Potem, jak odnajdziemy, wszystko sam wyjaśnię gospodyni i wyznam jej prawdę. I przeproszę, słowo

honoru. Wezmę na siebie całą winę.

Wilhelm Tell przezornie skierował rozmowę na inny temat.

- Dziewięć metrów, pan powiada? Akurat dziewięć metrów jest od kąta, w którym znajduje się studia, do drugiego kąta piwnicy. Tam więc trzeba zacząć szukać skarbu.

- No, to szukaj - powiedziałem z odrobiną złości. - Czy nie zauważyłeś, że ta kreska jest skierowana w dół?

- Faktycznie, w dół - zgodził się Tell.

- W dół. - powtórzyłem. - A znak jest nad studnią. A więc zapewne chodzi o to, aby szukać dziewięć metrów w głąb studni.

- W wodzie? - zdumiał się Sokole Oko. - Pan przypuszcza, że skarb jest w wodzie?

- Znak mówi o dziewięciu metrach, a woda jest chyba trochę niżej.

- Więc co należy zrobić? - zapytał Tell.

- Muszę zsunąć się po linie w głąb studni. Nie zdążył ochłonać ze zdumienia, gdy zacząłem komenderować:

- Sokole Oko pobiegnie do samochodu po linę. Mam ją w bagażniku. Na czatach zaś stanie Wilhelm Tell, bo Wiewiórka ma za długi język.

Dostrzegłem niemy protest Tella. Położyłem mu dłoń na ramieniu.

- Być może właśnie teraz nastąpi najważniejsza chwila w naszej wyprawie. Powodzenie jej zależeć będzie od dwóch ludzi. Od tego, który spuści się po linie w głąb studni, i od tego, który stanie na czatach. Zamkniesz nas w piwnicy...

- Jak to: zamknę?

- Zamkniesz nas na kłódkę, a klucz do kłódki schowasz głęboko w kieszeń. Usiądziesz w ogrodzie i będziesz dawał baczenie na to, co dzieje się w okolicy. Musimy mieć absolutną swobodę działania w piwnicy i to, być może, na kilka godzin. Zsunę się w głąb studni, a Sokole Oko, Wiewiórka i Ewa pozostaną na straży przy studni i w razie czego okażą mi pomoc. Rozumiesz? Kozłowski już coś zwęszył i prosił o klucz, ale nie osiągnął swego celu, więc zapewne poszedł do Karen i powiadomił ją o tym. Jak sądzisz, co ona teraz zrobi?

- Będzie się starała dostać do piwnicy - rzekł Tell.

- A właśnie. Nie możesz dać im poznać, że masz w kieszeni klucz. Jeśli się zapytają o nas, to powiedz, że poszliśmy do lasu, bo tam odkryliśmy ciekawe ruiny.

- Zrobi się! Spokojna głowa, że oni nie dostaną się do piwnicy - przyrzekł Tell.

Wbiegł Sokole Oko objuczony grubą liną holowniczą.

- Zamykaj nas! - rozkazałem Tellowi. Usłyszeliśmy łoskot zawieranych żelaznych drzwi.

Potem zazgrzytał klucz przekręcany w kłódce.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

SCHODZĘ W GŁĄB STUDNI – W PUŁAPCE TEMPLARIUSZY – TAJEMNICA STAREJ CHRZCIELNICY – DZIEWIĘC METRÓW W DÓŁ – SPIESZĘ NA RATUNEK

Okrągły otwór studni ział czernią i chłodnym zapachem stęchlizny. Najgrubszą z desek położyłem w poprzek otworu, dwa jej końce wspierając na ocembrowaniu. Zrobiłem na linie kilkanaście grubych węzłów, przywiązałem ją do deski i przygotowałem się do zejścia w dół.

- Będziecie tu czekać tak długo, aż dam wam znać - powiedziałem.

Uwiesiwszy sobie na szyi zapaloną latarkę elektryczną, chwyciłem się liny i zawisłem w studni.

Schodzenie w dół nie było trudne, mimo że nie jestem bardzo wygimnastykowany. W ocembrowaniu raz po raz znajdowałem wgłębienia, jakby specjalnie przygotowane na to, żeby w nie włożyć stopę i wesprzeć się. Od czasu do czasu okręcałem się i oglądałem ściany ocembrowania. Cała studnia zrobiona była z tych samych, co piwnica - grubych średniowiecznych cegieł brunatnych.

- I co pan widzi? - z góry padały pytania chłopców.

Ich głos huczał w studni, jakby ktoś gdzieś obok walił młotem w kawał żelaza.

- Na razie nic ciekawego! - wołałem.

Ponad moją głowę były już chyba ze cztery metry ocembrowania. Ściany wokół mnie rozszerzały się lejkowato. Wisiałem na linie, wspierając się plecami o omszały wilgotny mur, a nogami szukałem kolejnego wgłębienia. Jeszcze jeden gruby węzeł przesunął mi się przez palce, opadłem metr w dół, w mroczny lej studni.

Raptem zachybootałem się na linie. Moje stopy, którymi macałem po ścianach, nie znalazły oparcia. Ręce drętwiały od wysiłku, bo zwisałem na nich całym swoim ciężarem. Słyszałem swój przyspieszony, świszczący zmęczeniem oddech. Chwyciłem linę między kolana i powoli zsuwałem się, czując, jak szorstkie włókna ścierają mi naskórek na dłoniach.

Znów gruby węzeł przesunął się w górę między palcami. Moje stopy znalazły wreszcie oparcie. Na wprost mojej twarzy widziałem wąski otwór podziemnego ganku, biegnącego prostopadle do leja studni.

- Chłopcy! - głos dudnił i odbijał się dalekim echem gdzieś w załomach ganku. - Znalazłem boczny ganek. Czekaście na górze, aż do mego powrotu. Czekaście nawet kilka godzin...

- A gdyby pan nie wracał i dłużej? - spytała Ewa.

- Czekaście dziesięć godzin. A potem dajcie znać milicji - zadudniłem.

Wsunąłem się w gardziel podziemnego korytarza. Ganek był tak niski i wąski, że nawet na czworakach z trudem się nim przesuwalem. Nie szedł prosto, lecz raz po raz zakręcał, łamał się. Szybko straciłem poczucie kierunku.

Znowu raptowny załom. Jeszcze jeden. Potem znowu załom. Ganek rozszerzył się w półokrągłą pieczarę. Podobnie jak korytarz, zrobiona była z brunatnej cegły. Pasma elektrycznego światła wskazało mi drzwi w ścianie. Ciężkie, żelazne, z nalotem rdzy.

Dziwne to były drzwi. Wmurowano je ukośnie, stanowiły jak gdyby pochyłą klapę, zamykającą jakieś pomieszczenie. Wisiało na nich żelazne kółko. Chwyciłem za nie i spróbowałem ciągnąć z całej mocy. Kłapa wydawała mi się bardzo ciężka, a może po prostu miała zardzewiałe zawiasy. Z największym trudem udało mi się odemknąć ją na tyle, aby wsunąć ramię. Dopiero teraz mogłem ją podnieść przy akompaniamencie nieprzyjemnego zgrzytu. Co ciekawe, zgrzytu tego nie wydawały z siebie zawiasy, a dochodził on z wewnątrz ściany. Jakby wraz z otwarciem drzwi uruchamiał się jakiś mechanizm.

Kłapa po otwarciu nie dawała się unieruchomić. Wciąż opadała zakrywając sobą wejście do dalszych części podziemi. Po prostu nie można było jej uchylić pod kątem większym niż czterdzieści pięć stopni, więc siłą swego ciężaru opadała na dawne miejsce.

A za nią widziałem schody w dół i załom muru...

Wsparłem ją silnie ramieniem i wsunąłem się w wąską szczelinę. W nosie drażnił mnie kurz, który wszędzie tutaj zalegał grubą warstwą. Jakże żałowałem, że nie mam ze sobą jakiegoś większego przedmiotu, aby go podłożyć pod drzwi. Wówczas nie zatrzasnęłyby się za mną. Ale nic takiego nie posiadałem. Pomyślałem, że gdy zechcę wyjść, mogę przecież znowu podważyć klapę ramieniem.

Stanałem na prowadzących w dół schodach i kłapa zatrzasnęła się za mną z głośnym łoskotem. Naliczyłem osiem stopni, potem był załom i korytarz znowu się zwęzał.

Schody w górę. Jeden... dwa... osiem... dziesięć stopni. Wąziutka cela, coś w rodzaju celi pokutnej widzianej w zamku malborskim. O mało nie krzyknąłem ze wstrętu, zauważywszy na

podłódze pod ścianą szkielet ludzki. Była to resztką człowieka ze strzępkami zbutwiałego ubrania, z resztką włosów na czaszce. Obok szkieletu stały puste gliniane dwojaki...

Przerażający wydał mi się nie sam szkielet, ale pozycja, w jakiej leżał. Był zwinięty w kłębek, dziwacznie skurczony, jak gdyby człowiek ten skonał w wielkiej męce. Wspomniałem legendę o chłopie, który z glinianymi dwojakami wszedł w podziemia i już z nich nie wyszedł. Trafił tu zapewne, podobnie jak i ja, przez studnię w piwnicy. Ale dlaczego nie wyszedł?

Zimno mi sę zrobiło. Dopiero w tej chwili zorientowałem się, że cela, w której się znajduję, jest ślepa, zakończona kamienną ścianą.

„Dlaczego ten człowiek stąd nie wyszedł?” - uporczywie wracała do mnie ta myśl.

Ogarniał mnie coraz większy niepokój. Prawie biegiem wróciłem po schodach i dopadłem żelaznej kłapy. Z całą siłą podparłem ją ramieniem. Nawet nie drgnęła. Siedziała w swym kamiennym obramowaniu jakby wmurowana. Podparłem ją plecami i nateżyłem wszystkie mięśnie. Serce mi waliło, pot zalewał czoło. Drzwi jednak pozostawały zamknięte...

Przypomniałem sobie dziwny zgrzyt, który towarzyszył otwieraniu kłapy. W ścianie uruchamiał się jakiś mechanizm. Pozwalał odemknąć klapę od tamtej strony, ale uniemożliwiał podniesienie jej od spodu. Żelazne drzwi stanowiły pułapkę, w którą wpadał każdy poszukiwacz skarbu templariuszy.

Zrobiło mi się duszno i gorąco. Z przerażenia.

Teraz już rozumiałem, dlaczego szkielet w celi leżał w tak przerażającej pozycji. Ów człowiek umarł z głodu i pragnienia. Wszedł tutaj, ale już nie zdołał wyjść. „Nikt stąd nie zdoła wyjść. Ja także” – myślałem ze strachem.

Jeszcze raz próbowałem podnieść żelazne wieko. Znowu oblałem się potem i długo musiałem odpoczywać, zanim ustał szum w uszach, wywołany nadmiernym wysiłkiem. Wieka nie zdołałem unieść nawet na milimetr.

Wróciłem do celi, gdzie leżał szkielet. Przez głowę przelatywały mi strzępki informacji, które wyczytałem o templariuszach, o budowanych przez nich tajnych przejściach, zapadniach, skrytkach, pułapkach przygotowanych dla tych, co usiłowali przeniknąć tajemnice zakonu.

„Dlaczego nie pomyślałem, że przecież skarb swój zabezpieczyli wieloma zasadzkami? Powinienem być bardziej ostrożny” - złościłem się na siebie. A jednocześnie usiłowałem się pocieszać: „Templariusze byli mistrzami w budowie tajnych przejść. Z celi na pewno jest zamaskowane wyjście dla wtajemniczonych. Ten chłop nie wiedział o tym, dlatego umarł z

głodu i pragnienia. Trzeba znaleźć wyjście z pułapki. Zresztą, gdy minie dziesięć godzin, chłopcy zawiadomią milicję. A milicjanci opuszczą się na sznurze do ganku, odemkną żelazną klapę i uwolnią mnie z podziemia”.

Stuk... Stuk... Stuk..., - usłyszałem powolne stukanie w sufit.

Natychmiast zorientowałem się, że ktoś spaceruje nad moją głową. Najwyraźniej słyszałem powolne kroki kogoś obutego w damskie pantofelki na szpilkach, Sklepienie, w odróżnieniu od gładkich ścian brunatnej cegły, zrobione zostało z płyt piaskowca. Również z piaskowca wykonana była gładka kolumna, do połowy wtopiona w ścianę w lewym rogu. Wielkim, okrągłym kapitelem wspierała ona powałę.

Zdawało mi się, że słyszę szmer rozmowy. Krzyknąłem głośno raz i drugi. Ale dziwna akustyka pomieszczenia przekształciła mój głos w niewyraźny żalony jęk. Był to dźwięk tak okropny, że nie usiłowałem więcej wzywać pomocy.

Zrozumiałem. Opowieść, jaką powtórzył nam Wiewiórka, była prawdziwa. Człowiek, którego szkielet leżał u mych stóp, słyszał obok siebie ludzkie głosy i wołaniem błagał o pomoc. To były owe jęki „duszy potępionej”. Słyszano je w kościele. Cela więc, gdzie przebywałem, leżała po prostu pod posadzką kościoła, bo przecież właśnie podłoga w kościele zrobiona była z płyt piaskowca.

Templariusze w ten sposób skonstruowali pułapkę, że ten, kto się w niej znalazł, mógł słyszeć głosy ludzkie dolatujące przez jakieś ukryte otwory w suficie, lecz jego własny głos wydostawał się na zewnątrz w formie niewyraźnego pomruku. To zwiększało męki konającego w pułapce: on słyszał ludzi, ale oni jego nie słyszeli.

Na próżno oświetlałem ściany pomieszczenia: nigdzie nie dostrzegłem żadnego znaku, wgłębienia lub wypukłości, która dawałaby nadzieję, że kryje w sobie mechanizm otwierający pułapkę. Ściany były gładkie, zbudowane z dużych cegieł. Żadna z cegieł nie chybotąca się, nie dawała się wyjąć ani przesunąć. Tak samo gładką powierzchnię z cegieł stanowiła podłoga, Tylko sufit zrobiony był z płyt piaskowca, ale do sufitu sięgnąć nie mogłem. Próżne okazały się wysiłki wdrapania się po ścianie.

Minęła jedna godzina, potem druga. Od czasu do czasu gasiłem latarkę, aby mi się nie wypaliła. Ciemność, która wtedy zapadała, działała na mnie bardzo przygnębiająco. Przykre było także sąsiedztwo rozsypującego się szkieletu. Bo choć miałem świadomość, że po dziesięciu godzinach harcerze i Ewa rozpoczną akcję ratunkową, to przecież właśnie w

ciemności poddawałem się uczuciu, że nigdy nie wydostanę się stąd i zginę w mękach.

Znowu usłyszałem nad moją głową powolny stuk pantofelków damskich. Później nastąpiło kilka ciężkich dudniących kroków. Szmer głosów nasilał się, zacząłem rozróżniać poszczególne słowa, a nawet całe zdania. Rozmowa toczyła się po angielsku, zapewne tuż w pobliżu jednego z otworów w mojej pułapce.

- Dlaczego pan jest taki niespokojny? - usłyszałem głos Karen.

- W lesie zostawiliśmy domek i namiot. A kapitan i ta dziennikarka przed chwilą odjechali dokądś samochodem - mówił Kozłowski. - Czy nie wie pani dokąd pojechali?

- Szukają Malinowskiego.

- Czy mają jakieś konkretne podejrzenia?

- Nie mówili mi o tym. Niech pan przestanie zawracać sobie głowę tą sprawą. Widział pan znak na murze kościoła? To dzieło templariuszy. Oznacza on: „Kilka skarbów”.

- Jeśli to ma być znak templariuszy, w takim razie musieli oni u nas żyć wszędzie i żyją do tej pory. Na dziesiątkach kościołów, kapliczek, nawet domach mieszkalnych u co pobożniejszych wieśniaków widnieją takie same krzyże. Należy nająć ze dwudziestu robotników i przekopać ruiny w lesie.

- A ja sądzę, że skarby leżą tutaj - Karen tupnęła nogą nade mną. - Niech pan się dobrze rozejrzy po kościele. Jest z początku XIV wieku. Ale całe jego wyposażenie zostało zrobione w czasach znacznie późniejszych, w epoce baroku. Tylko ściany, podłoga i ta chrzcielnica z piaskowca są z czasów Piotra z Awinionu. Widzi pan ornament obiegający chrzcielnicę?

- Najzwyczajniejsze kreseczki poprzecznie ułożone...

- No tak. Właśnie o to chodziło, aby tak się różnym niepowołanym wydawało. Te kreseczki tworzą znak: „Bądź czujny”.

- Pani ma bardzo bujną wyobraźnię, a tymczasem okradną nasz obóz w lesie - burknął Kozłowski. - Co pani chce zrobić? Ta chrzcielnica jest przecież wmurowana w posadzkę. Nie ruszymy jej z miejsca.

- Proszę spojrzeć tu niżej! - zawołała Karen. - W podstawie chrzcielnicy jest otwór na wylot. Po co go zrobiono? Jak pan myśli?

- Nie mam pojęcia...

- Niech pan przyniesie drążek. Włożymy go w otwór i spróbujemy przekreślić chrzcielnicę.

- Chce pani rozwalić kościół? Przecież chrzcielnica waży co najmniej tonę.

- Proszę zrobić, co panu kazałam.

Nad moją głową zatupotały kroki. To Kozłowski posłusznie poleciał szukać odpowiedniego drążka.

A ja siedząc na twardej posadzce w ciemnej celi, myślałem: „Karen jest najmądrzejszą i najsprytniejszą dziewczyną, jaką spotkałem w swoim życiu. Jeśli uwolni mnie z pułapki, zgodzę się na współpracę. Wystarczyło, że weszła do tego kościoła, a ileż szczegółów zauważyła. A ja chodziłem tu tyle razy i dostrzegłem jedynie znak: »Kilka skarbów«.

Tak rozmyślałem, a tymczasem nadszedł Kozłowski, zapewne niosąc drążek.

- Proszę się rozejrzeć, czy w pobliżu nie ma nikogo - powiedziała Karen. - Nie pozwolą nam rujnować kościoła.

- Nie, nie ma nikogo. Jest południe, mężczyźni pracują w polu, a kobiety szykują obiad.

- A pan Samochodzik? - spytała.

- Nie widziałem go. Ani jego, ani harcerzy. Tylko w pobliżu piwnicy siedzi ten chłopak z kuszą i bawi się grą w noże.

- Tell? To bardzo podejrzane. Ciekawam, gdzie oni zniknęli, No, bierzmy się do roboty.

Do uszu mych doszedł chrobot, płynący z góry, z lewego rogu pomieszczenia, tam gdzie stała wtopiona w ścianę kolumna z piaskowca. „Boże drogi! - pomyślałem. - Czyżby kapitel kolumny stanowił podstawę chrzcielnicy?”

- Silniej. Nie jadł pan dzisiaj śniadania? - gniewała się Karen,

Znowu zachrobotało. Kolumna powoli obróciła się i z góry wpadł do mego pomieszczenia promień światła. Jeszcze chwila i promień rozszerzył się. W prawym rogu widniał duży, trójkątny otwór. Co ciekawe, druga strona kolumny posiadała kilkanaście zagłębień. Można było po nich wspiąć się na górę jak po drabinie.

- Tu jest zamaskowane wejście do podziemi... - szeptała Karen.

Cofnąłem się w głąb celi, bo Karen wpuściła przez otwór światło latarki elektrycznej.

- No, niech pan schodzi w dół - powiedziała Karen do Kozłowskiego.

- Ja? Dlaczego ja mam zejść pierwszy? Ja nie szukam skarbów, tylko pani.

- Ależ z pana tchórz - zaśmiała się dziewczyna.

Śmiało zsunęła się po stopniach wzdłuż kolumny. Staneła na posadzce, obróciła się i

skierowała na mnie światło latarki.

- O Boże! Ktoś tu jest! - wrzasnęła.

Skłoniłem się uprzejmie:

- Moje uszanowanie pani,

- Mister Samochodzik - stwierdziła z gniewem.

- We własnej osobie - przytaknąłem.

- Którędy pan tu wszedł? Znalazł pan coś? Są skarby? - pytała z napięciem.

Wzruszyłem ramionami:

- Na razie miałem spotkanie tylko z nieboszczykiem - pokazałem jej szkielet.

- To prawda - szepnęła ze zgrozą, zobaczywszy kościotrupa.

Natychmiast jednak otrząsnęła się z przestachu. Zauważyła otwór podziemnego ganku, którym przyszedłem, i odważnie zagłębiła się weń, a ja skorzystałem z okazji i czym prędzej wylałem po kolumnie do kościoła.

- No i jak tam jest? - spytał mnie Kozłowski.

- Proszę zejść, to się pan przekona - burknąłem.

- Są skarby?

- Nie ma.

- To po co się będę brudził po tych dziurach? Mam na sobie jasny garnitur.

Dłuższą chwilę czekaliśmy, zanim w otworze prowadzącym do podziemi ukazała się jasnowłosa głowa Karen.

- Tam dalej są żelazne drzwi. W żaden sposób nie można ich otworzyć - powiedziała rozczarowana.

- Zamknęły się za mną i siedziałem jak w pułapce mysz.

- Którędy się pan tam dostał?

Rzekłem uroczyście:

- Jestem pani wdzięczny za uwolnienie mnie z pułapki. Mam wielki podziw dla pani. I dlatego postanowiłem wyrazić zgodę na współpracę z panią. Będziemy razem szukali skarbu templariuszy.

Dojrzałem błysk radości w oczach Karen. Ale już po chwili odezwała się w niej nieufność.

- Co się stało, mister Samochodzik? Czyżby zwątpił pan w swoje umiejętności? -

zadrwiła. - Tyle razy odrzucał pan moje propozycje, aż tu nagle nastąpiła odmiana? I teraz proponuje mi pan współpracę? Gdy jestem o krok od skarbów? Nie, mister Samochodzik. Teraz obejdę się bez pańskiej pomocy.

- Uwolniła mnie pani z pułapki. Mam wobec pani dług wdzięczności - tłumaczyłem.

- Tak? Więc tym bardziej nie przyjmę pomocy. Pan mnie dwa razy ratował z opresji. Na Kozim Rynku i na pięćdziesiątym kilometrze. Spłaciłam dług wdzięczności. Między nami kwita, mister Samochodzik. A teraz niech pan pomoże zasunąć z powrotem chrzcielnicę.

Pomogłem. Ale nie odezwałem się już ani słowem, dotknięty głęboko afrontem, który mi zrobiła. Rozstaliśmy się przed kościołem, ja - poszedłem do chłopców zamkniętych w piwnicy, a Karen i Kozłowski - do swego obozu w lesie.

- To pan, panie Samochodzik? - niemal z lękiem szepnął Tell, zobaczywszy mnie przed sobą. - Przecież ja pana zamknąłem w piwnicy...

- Ale ja umiem przenikać przez mury...

Radośnie powitałem chłopców i Ewę czuwających przy studni. Bardzo zmarkotnieli, gdy im opowiedziałem, czym skończyła się moja przygoda. Największe wrażenie uczyniła na nich wiadomość o szkielecie leżącym na posadzce pułapki.

- Czy będziemy mogli zobaczyć to wszystko? - pytali.

- Naturalnie. Wejdziemy przez otwór, który powstaje przez przekręcenie chrzcielnicy. Ale nie teraz. Na dzisiaj mam dość już wszelkich podziemi - powiedziałem. - Odnieście klucz gospodyni. Nie będzie już nam potrzebny.

Czułem się zmęczony. Dawały o sobie znać godziny spędzone w ciemnicy, gdy w największym napięciu poszukiwałem wyjścia z pułapki. Marzyłem teraz tylko o tym, aby rozłożyć się na trawie na brzegu jeziora. I odpocząć. Odetchnąć świeżym powietrzem.

Chłopcy przyrządzili obiad, ale odmówiłem jedzenia. Wkrótce zasnąłem i obudziłem się po dwóch godzinach, Tymczasem powietrze stało się parne i duszne - zbierało się na burzę. Wieczorem lunęły z nieba potoki wody i chłopcy schronili się w namiocie. Szybciej niż zazwyczaj zapadła ciemność, szum deszczu zachęcał do snu. Nasz obóz pogrążył się w nocnej ciszy i tylko ja czuwałem w samochodzie, wypoczęty po popołudniowej drzemce.

O jedenastej obok auta zjawiała się jakaś postać okryta deszczowym płaszczem. Było bardzo ciemno, lał deszcz, więc dopiero, gdy zapukała w szybę wehikułu, rozpoznałem Annę.

- Nie widział pan Karen i Kozłowskiego? - spytała. - Przed chwilą wróciliśmy z

Gdańska, ale w obozie nie zastaliśmy ani Karen, ani Kozłowskiego. Przyczepa była zamknięta na głucho, namiot Kozłowskiego okazał się zasnurowany. Kapitan Petersen bardzo niepokoi się o córkę.

- Ona szuka skarbów - ziewnąłem.

- A pan?

- Leżę i słucham deszczu, i rozmyślam.

Wzruszyła ramionami oburzona moją beczynościami i poszła powiedzieć Petersenowi, że w naszym obozie nie zastała Karen.

Monotonnie postukiwały krople deszczu na dachu wehikułu. W myślach jeszcze raz dokonywałem karkołomnej wędrówki po linie w głąb studni, a potem podziemnym korytarzem. Podczas tej wędrówki musiałem popełnić błąd. Przegapiłem jakiś szczegół i dlatego zamiast do skarbów, trafiłem w pułapkę. „A przecież zrobiłem tak, jak mówił znak – rozważałem - Dziewięć metrów w głąb studni...”

Zerwałem się. Odrzuciłem z siebie koc. Pośpiesznie wciągnąłem spodnie i w samej tylko koszuli, nie zważając na deszcz wyskoczyłem z wehikułu.

Dziewięć metrów? Na pewno nie opuściłem się tak nisko. Tam było najwyżej sześć metrów!

Biegłem przez księży ogród, a potoki deszczu siekły mnie po głowie, po twarzy i plecach. W przemoczonej koszuli dopadłem piwnicy i nagle uświadomiłem sobie, że przecież została ona zamknięta na kłódkę, klucz zaś kazałem chłopcom odnieść na plebanię. Z dalszymi poszukiwaniami trzeba było poczekać do jutra.

Tknięty nieokreślonym uczuciem niepokoju oświetliłem drzwi piwnicy. Kłódka wisiała luźno, skobel był wyłamany dużym łomem, który leżał u moich stóp. Ktoś dostał się do piwnicy.

Kto? Nie miałem żadnych wątpliwości. To była robota Karen i Kozłowskiego. Nie zdołali otrzymać klucza od gospodyni i zdecydowali się na włamanie. A teraz zapewne wędrują podziemnym korytarzem i za chwilę Karen znajdzie się w pułapce, podobnie jak to się stało ze mną.

- Panno Karen! - zawołałem wchodząc do piwnicy. Miałem nadzieję, że może jeszcze nie zdążyła opuścić się do studni.

Odpowiedziała mi głucha cisza. Przyszedłem za późno. Na desce przerzuconej

przez otwór studni zwisała gruba lina. Karen i Kozłowski byli chyba w podziemnym korytarzu albo już od dłuższego czasu siedzieli w pułapce. Pomyślałem, że można by ich uwolnić odsuwając chrzcielnicę, ale przecież o tej porze kościół był zamknięty.

„Przejdę podziemnym korytarzem, uchylę klapę i zawołam Karen. W ten sposób zdołam ich uwolnić” - rozmyślałem, chwytając linę i zsuwając się po niej do studni.

Robiłem to teraz znacznie szybciej i zręczniejszym niż rano. Jeszcze chwila i znalazłem się w pobliżu otworu do podziemnego ganku. Raptem lina, na której wisiałem, niepokojąco drgnęła. Spojrzałem w górę świecąc latarką i aż oniemiałem z przerażenia.

W otworze studni, wysoko nad moją głową, ujrzałem parę ludzkich rąk. Światło latarki zabłysło na ostrzu noża.

- Człowieku, co robisz! - krzyknąłem.

Nóż przeciął linę. Krzycząc przeraźliwie, jak kamień poleciałem w dół.

ROZDZIAŁ DZIWIĘTNASTY

MORDERCA – DOKĄD WIEDZIE TAJNY KORYTARZ? – ZAPADNIA – O KROK OD SKARBÓW – GDZIE JEST KAREN – ZAGADKA ROZWIĄZANA – MILICJA

Z ogromnym pluskiem uderzyłem w wodę. Na chwilę zakryła mnie zimna topiel, lecz kilkoma ruchami rąk wydostałem się na powierzchnię. Ktoś świecił z góry lalarką. Mój prześladowca zaglądał do studni, aby sprawdzić, co się ze mną stało. Ale - jak już mówiłem - studnia miała kształt lejka zwężającego się ku górze. Przesunąłem się bliżej ściany i zniknąłem natychmiast z jego pola widzenia. A on (może to była ona?) przyniósł ogromny kamień i wpuścił do studni. Z łoskotem, zalewając mnie wodą, kamień upadł o pół metra ode mnie. Gdybym znajdował się w tym miejscu, z pewnością roztrzaskałby mi czaszkę. To już nie były żarty. Nad moją głową u wylotu studni czał się morderca.

Niemal przylepiłem się do ściany. Morderca przyniósł jeszcze jeden kamień i znowu rzucił go do studni. Potem długo świecił latarką, szukając mnie na powierzchni wody. Nie dostrzegł mnie jednak i to dało mu przekonanie, że z rozwaloną głową poszedłem na dno.

Byłem dobrym pływakiem, więc utrzymywałem się na wodzie przy pomocy ledwie dostrzegalnych ruchów rąk i nóg. Ale woda w studni była bardzo zimna. „Jak długo potrafię pozostawać na powierzchni?” - zastanawiałem się.

Macałem rękami ściany studni, szukając występu lub wgłębienia, którego mógłbym się ucześcić. „Dziewięć metrów - powtarzałem sobie. - Miało być dziewięć metrów. I oto jestem chyba na poziomie dziewięciu metrów”.

Wyciągnięta w górę ręka trafiła na brzeg dużego otworu. Chwyciłem się krawędzi, wpiłem palce w twardą powierzchnię cegieł. Były oślizłe, pokryte wilgotnym nalotem. Za każdym razem, gdy próbowałem wywindować się w górę, zsuwałem się z powrotem do wody.

Zdrętwiały mi palce, miałem połamane paznokcie. Jeszcze jeden wysiłek, jeszcze jedna próba wywindowania się do otworu. I znowu opadłem w wodę, tym razem z dość głośnym pluskiem. W napięciu czekałem, czy z góry nie posypią się kamienie, ale trwała cisza. Być może, morderca opuścił już piwnicę.

Odczekawszy czas jakiś, zdołałem zzuć buty. To nie była łatwa operacja, raz po raz tonąłem i porządnie napiłem się wody. Buty wrzuciłem w otwór, do którego zamierzałem się wspiąć. Dopiero teraz ponowiłem próbę wspinaczki. Okazało się to znacznie łatwiejsze, gdyż palce nóg znalazły oparcie we wgłębieniach między spojeniami cegieł. Wystarczyło, że porządnie wsparłem się jedną nogą, a to znacznie ulżyło rękom.

W piersiach brakowało mi tchu, krew tętniła w skroniach - ale znalazłem się w otworze podziemnego ganku, identycznego z tym, który ciągnął się o trzy metry wyżej. Tamten jednak prowadził tylko do pułapki. A ten?

„Muszę być bardzo ostrożny - upominałem siebie. - Jeśli teraz znowu zamkną się za mną jakieś wierzeje, nikt mnie już stąd nie wydostanie. Nikt przecież nie domyśli się, że istnieją aż dwa podziemne korytarze, jeden nad drugim”.

Po omszałej posadzce podczołgałem się kilka kroków. Wzulem buty i spróbowałem, czy świeci moja latarka. O dziwo, kąpiel nic jej nie zaszkodziła. Dawała tak samo mocny i silny blask.

Jeszcze chwila odpoczynku. Nie mogłem przewidzieć, jakie przygody czekały mnie w dalszych partiach podziemia. Należało więc zebrać siły.

Pomyślałem o swoim prześladowcy. Kim był? Dlaczego chciał mnie zamordować?

Minęła chwila wypoczynku. Podniosłem się z wilgotnej posadzki i ruszyłem w głąb korytarza. I podobnie jak w ganku na wyższym poziomie, spotkałem kilka załomów. Znowu były schody idące w górę i w górę. Naliczyłem aż dwadzieścia pięć stopni.

Korytarz to zwężał się, to rozszerzał, pułap jego obniżał się i podnosił, Nagle - zaskoczenie. Ganek rozdzielał się. Jedna odnoga biegła w lewo, a druga w prawo. Obie wyglądały tak samo. Więc którą wybrać?

Poszedłem w prawo. Podziemny korytarz prowadził mnie około trzydziestu kroków i zakończył się ślepą ścianą. Gdy przyłożyłem do niej ucho, zdawało mi się, że słyszę cichy szum, jakbym znajdował się w ogromnej morskiej muszli. Przez szczeliny między cegłami sączyło się świeże, wilgotne powietrze. Udało mi się wyjąć kilka wielkich cegieł, a wtedy dojrzałem chłostaną deszczem połączyć jeziora. Było wzburzone wiatrem i fale rozbijały się o urwisty brzeg.

Podziemia sięgały więc aż do jeziora. Nad brzegiem projektowano wzniesienie murów, podobnie jak w zamku malborskim. A korytarz, którym przeszedłem, stanowił tajne wyjście pod murami. Na wypadek oblężenia tędy zapewne wydostawać się miał posłaniec z

listem o pomoc.

Zawróciłem aż do rozwidlenia i tym razem poszedłem na lewo. „Jeśli tamten ganek prowadził nad jezioro, to ten wiedzie do kościoła” - pomyślałem. I, pamiętny pułapki, zdwoiłem czujność.

Trafiłem na kilka stromych stopni w górę. Dopiero w ostatniej chwili uchwyciłem latarką znak na ścianie: jakby dwójkę z podwójnym ogonkiem. Ostrzegał on: „Niebezpieczeństwo”.

Przystanąłem. U moich stóp rozwarła się studnia. Kiedyś otwór jej zapewne zakrywały drewniane deski, które zapadały się, gdy stąpił na nie ktoś niewtajemniczony. Ale w ciągu wieków drzewo przegniło, dostrzegłem przezarte rdzą resztki mechanizmu zapadni.

Dużym susem przeskoczyłem studnię. Znowu kilka stromych stopni w dół. Dalszą drogę zagroziły mi żelazne drzwi, ujęte w ozdobny, rzeźbiony portal. Żelazo było grube, lite, rdza nie zdołała się z nim uporać. Mocno siedziały w swojej kamiennej framudze. Nie dostrzegłem na nich ani klamki, ani dziurki na klucz, ani żadnego innego urządzenia do otwierania. W ogóle zdawało się, że jest to żelazna płyta wmurowana w ścianę.

Obejrzałem dokładnie portal. Był na nim ornament liściasty, gałązki winorośli wyrastającej jakby z dwóch kolumniek. Na środku ornamentu widniały dwie przecinające się ukośnie kreski i jedna dłuższa, przecinająca je poziomo.

Zajrzałem do notesu, gdzie miałem rysunki Karen. „Na poziomie ziemi” - informował taki znak.

Przykłęknąłem i centymetr po centymetrze badałem posadzkę przy drzwiach. Zrobiona była z brunatnych cegieł, podobnie jak ściany korytarza i sufit. Żadna z cegieł nie ruszała się. Tylko u dołu każdej z kolumniek widniał dość głęboki otwór szerokości dwóch grubych palców.

Przypomniałem sobie o zasadzie mechanizmu działania w chrzcielnicy kościoła. Ludzie, którzy projektowali budowę tych podziemi, liczyli się z wieloma ewentualnościami. A przede wszystkim z tym, że mechanizm żelazny łatwo rdzewieje i potem trudno jest nim manipulować. Mechanizmy templariuszy opierały się na dość prostej zasadzie kołowrotu. W wydrążony otwór należało włożyć drążek i przy pomocy dźwigni obrócić kolumnę na swej osi. Tak właśnie było z chrzcielnicą, której przedłużenie stanowiła kolumna znajdująca się w pułapce.

Miałem przy sobie fiński nóż z drewnianą rękojeścią. Włożyłem trzonek noża w otwór prawej kolumny i spróbowałem obrócić ją najpierw w lewo, a później w prawo. Przy

dużym wysiłku kolumnienka zrobiła w prawo ćwierć obrotu. Spostrzegłem, że jednocześnie przesunął się kamienny zrąb, który od dołu przytrzymywał żelazne drzwi.

Tę samą czynność wykonałem przy lewej kolumnie, tylko że tym razem przekręciłem ją o ćwierć obrotu w lewo. Odsunął się drugi ząb.

Pchnąłem drzwi, ale nie ustąpiły. I znowu na zasadzie porannego doświadczenia przypomniałem sobie o zasadzie działania klapy w pułapce. Drzwi żelazne po prostu wisiały na zawiasach. Wystarczyło mocno pchnąć je na samym dole, a uchylały się jak wahadło.

Lecz wahadło ma tę właściwość, że odsunięte od poziomu natychmiast do niego powraca. Co będzie, jeśli wejść w dalszą część podziemia, a drzwi zamkną się za mną i już nie otworzą?

Należało uniemożliwić powrót drzwi do ich zwykłego poziomu. Musiały pozostać uchylone, abym w każdej chwili mógł wydostać się z powrotem. Wystarczyłoby zresztą pozostawienie szpary na włożenie palców dla uchwycenia krawędzi.

Nie miałem w kieszeni żadnego przedmiotu, który nadawałby się do tego celu. W ogóle oprócz latarki elektrycznej posiadałem tylko fiński nóż. Zacząłem więc dłubać ostrzem między cegłami w miejscu, w którym spajająca je zaprawa wydała mi się najbardziej krucha. Trwało to dość długo, lecz wreszcie szpara była na tyle głęboka, że mogłem w nią włożyć ostrze. Trzonek wystawał z posadzki, i właśnie na tym trzonku chciałem zatrzymać wahadło drzwi.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia nad ranem. Prawie cztery godziny znajdowałem się w podziemiu. Czas zbiegł mi niedostrzegalnie szybko. Nie miało to dla mnie znaczenia. O wiele bardziej martwił mnie fakt, że słabło już światło latarki. Z żółtego stało się czerwone.

O trzeciej nad ranem odchyliłem drzwi i znalazłem się w przestronnej kwadratowej celi o suficie z płyt piaskowca. A więc znajdowałem się znowu pod starym kościołem w Kortumowie,

Dostrzegłem kilka schodów kończących się na ślepej ścianie. Te schody jak gdyby prowadziły na ścianę. Ale gdy się na nie weszło, głową sięgało się sufitu. W tym miejscu na jednej z płyt piaskowca był żelazny uchwyt. Płytę można było unieść i opuścić, zapewne zakrywała ona wejście do podziemi od strony kościoła.

Na prawej ścianie odkryłem znak: kwadrat przedzielony pionową linią. „Dwa skarby, dwa skarby” - nuciłem pod nosem.

Wokół znaku zaprawa między cegłami wydawała mi się nieco jaśniejszej barwy.

Wyglądało na to, że ktoś rozbił ścianę w tym miejscu, a potem zamurował na nowo, tu i ówdzie łąając dziurę ułamkami cegieł. Za tą ścianą znajdował się skarb templariuszy. Ale, aby ją rozbić, trzeba było żelaznego łomu lub kilofa.

Starłem kurz ze ściany i ołówkiem napisałem na cegle:

„Skarby, które są, za tą ścianą, odkrył o piątej nad ranem pan Samochodzik”.

Teraz pozostało mi już tylko wydostać się z podziemia. Ale czy zdajecie sobie sprawę, ile wysiłku wymaga podniesienie płyty piaskowca?

Zmoczone w studni spodnie i koszula wyschły już na mnie podczas kilkugodzinnego błądzenia w korytarzach podziemnych. Ale gdy wreszcie udało mi się podważyć ramieniem płytę i odchylić ją na bok, koszulę miałem znowu mokrą od potu, a w oczach kręciły mi się czerwone koła wywołane ogromnym zmęczeniem. Resztą sił wywindowałem się przez otwór na kamienną posadzkę kościoła. Przez chwilę leżałem na niej nieruchomo, prawie nieprzytomny. Ale chłód posadzki przywrócił mi świadomość. Zorientowałem się, że leżę za ołtarzem, a przez wysoko umieszczone okna sączy się już światło różowego poranku.

Zasunąłem płytę na dawne miejsce. Niczym nie różniła się od innych, z których zrobiona była posadzka. Zrobiłem więc na niej ołówkiem maleńki krzyżyk, abym w najbliższej przyszłości mógł znaleźć zejście do podziemi. Potem - na osłabłych nogach - chwając się, wyszedłem zza ołtarza.

A właśnie maleńki, siwy staruszek, zapewne kościelny, zamiatał podłogę między ławkami. Zobaczył mnie, rzucił miotłę i z krzykiem: „Diabeł! Diabeł!”, pognął do wyjścia. Biegł truchtem, bardzo rączo jak na swój podeszły wiek.

Wyszedłem na cmentarz wokół kościoła. Siwy staruszek uciekał w stronę plebanii. Wciąż jeszcze chwiałem się na nogach, ale świeże powietrze poranku z każdą chwilą przywracało mi siły. Pomaszerowałem nad jezioro i lustrzana tafla wody powiedziała mi, że mam twarz, ręce, koszulę i spodnie czarne jak u diabła. Nosiłem na sobie wielowiekowy kurz podziemi, gdzie leżały skarby zakonu templariuszy.

Zrzuciłem z siebie odzież i skoczyłem w jezioro. Płynąc widziałem brzeg, na którym zóciły się nasze namioty i stał mój śmieszny wehikuł.

Raptem przypomniałem sobie o Karen. Co się z nią dzieje? Czy Karen jest w pułapce templariuszy, czy też zdołała wrócić do swego obozu?

Kilkoma silnymi ruchami rąk skierowałem się do brzegu. Wyszedłem z wody i

pobiegłem do wehikułu. Po cichu, aby nie obudzić chłopców i Ewy, przebrałem się w czyste ubranie. Potem szybkim krokiem ruszyłem do obozowiska Petersenów.

Szedłem tam ostrożnie, kryjąc się za drzewami. Jeśli bowiem tam mieszkał człowiek, który dybał na moje życie, należało pozwolić mu mniemać, że mnie zabił. Zaskoczenie, jakie sprawi mu mój widok - może właśnie go zdemaskuje?

Zakradłem się od strony zagajnika. Zobaczyłem stół wyjęty z przyczepy campingowej, wokół stołu zaś siedzieli Petersen, Kozłowski i Anka.

Petersen patrzył na Kozłowskiego z nienawiścią i mówił głosem wzburzonym przez gniew, i niepokój:

- Panie Kozłowski! Jeszcze raz pytam pana, gdzie jest moja córka? Gdzie jest Karen, panie Kozłowski?

Kozłowski wzruszył ramionami:

- Może pan być o nią spokojny, Petersen. Przecież powiedziałem panu: ona znajduje się w bezpiecznym miejscu. Uwolnię ją, jeśli pan napisze oświadczenie, że nie zgłasza pan do mnie żadnych pretensji z tytułu tych czterystu dolarów, które otrzymałem od pana w Paryżu.

Petersen wyciągnął ku Kozłowskiemu swoje wielkie łapska, ale nie chwycił go nimi. Bezsilnie rozłożył je na stole i jęczał z bezsilnego gniewu:

- Malinowski, Malinowski! Nigdy przez myśl mi nie przeszło, że ty jesteś Malinowskim. Pani Anka zdemaskowała cię, ale za późno.

- Nic mi pan nie robi - zaśmiał się Kozłowski. - Jeśli mnie pan spróbuje dotknąć, Karen zginie w podziemiu. Z głodu, panie Petersen. Czy pan wie, jak straszna jest śmierć z głodu? I nie tylko że nie robi mi pan żadnej krzywdy, ale jeszcze z własnej i nieprzymuszonej woli napisze pan oświadczenie, jak bardzo jest pan zachwycony współpracą ze mną. Zrozumiano? Ja, panie Petersen, zawsze uważałem pana i pańską córkę za wariacką rodzinę. Szukać skarbów to przecież czyste szaleństwo. Miałem nie przyjąć tych czterystu dolarów, które tak chętnie mi ofiarowano w Paryżu? Wziąłem je jako Malinowski i szybko się z nimi ulotniłem. Śmierć frajerom, trzeba brać, jak głupcy dają. Myślałem, że na tym wszystko się skończy, głupcy zniechęcą się do szukania skarbu. Ale przyjechaliście do Polski i akurat trafiliście na mnie. Pomyślałem, że znowu trafia się okazja, aby oskubać z dolarów parę wariatów. Więc zgłosiłem się jako tłumacz. Mój kumpel, Walery, cały czas jechał za nami swoim motocyklem. Włamał się do domu nauczyciela i zabrał ten dokument. Co, może nie

mieliśmy brać pieniędzy, jak wy chcieliście płacić? Z tą kapliczką to była fajna historia, no nie? Do dziś nie wiecie, w jaki sposób znalazł się w niej list. Wydawało się wam, że Malinowski nosi czapkę niewidkę...

- Pański kumpel, Walery, siedzi już w areszcie - rzekła Anka. - Wczoraj w Gdańsku rozmawialiśmy z nim.

- On mnie nie zdradzi - wzruszył ramionami Kozłowski. - Sam wpadł, ale wie, że jeśli i ja wpadnę przez niego, to on już nie wydostanie się z więzienia. A jeśli potrafi trzymać język za zębami, wystaram się o dobrego adwokata. Zresztą ja mu nie kazałem napadać na pannę Karen na pięćdziesiątym kilometrze. On to zrobił z własnej woli, przez chciwość. I to go zgubiło.

- Nie. Nie to was zgubiło - powiedziała Anka. - Od samego początku domyślałam się, kim jest Malinowski. Nabrałam podejrzeń, gdy nad jeziorem w rozmowie z panem Samochodzikiem wyłożył pan swoją filozofię na temat obłupiania cudzoziemców z pieniędzy. Zaraz pomyślałam: to nie jest uczciwy człowiek ten Kozłowski. Trochę gmatwał sprawę fakt, że pan nie mógł się dwoić, nie mógł być jednocześnie w kilku miejscach naraz. I dopiero gdy przyszła mi do głowy myśl, że Malinowski jest jeden, ale w dwóch osobach, wszystko stało się zrozumiałe. A na historię z czapką niewidką nie dałam się nabrać. Przecież to było oczywiste, że w tym czasie, gdy obserwowaliście kapliczkę, nikt nie mógł do niej się zbliżyć. Dowiedziałam się, że to pan pierwszy, zniecierpliwiony oczekiwaniem, podszedł do kapliczki. Pan wiedział, że tam będą nie pieniądze, tylko ścinki gazety. I wcześniej zdołał pan przygotować list w tej sprawie. Podłożył pan ten list, a raczej po prostu wyjął go pan z kieszeni i zawołał: „O, w kapliczce był list!” I oddał go pan kapitanowi... List jednak pisany był nie pana ręką. Dlatego ciągle jeszcze zachowywałam dla siebie swoje podejrzania, łudząc się, że być może, pan jest niewinny. A później poznałam młodego człowieka na motocyklu, który zgodził się zabrać mnie do Malborka. Przyjechaliśmy tam wcześniej niż pan Samochodzik, więc ów młody człowiek miał czas, żeby zwrócić uwagę na małżeństwo w niebieskiej skodzie. Zaczął ich śledzić. Dopadł ich w podziemiu i zabrał im list z Francji. O tym, rzecz jasna, nie miałam pojęcia. Ale ów młody człowiek, czyli Walery - jak go pan nazywa - chciał ze mną flirtować. Umówił się ze mną na randkę w restauracji „Nad Nogatarn”, w międzyczasie musiał jednak wyjechać na pięćdziesiąty kilometr. W restauracji zostawił dla mnie u kelnera uprzejmy liścik przepaszający. Charakter pisma w tym liście wydał mi się znajomy. To było pismo Malinowskiego. Miałam przy sobie jeden z tych listów, bez pozwolenia zabrałam go

kapitanowi. Natychmiast pojechałam do Warszawy i poprosiłam znajomego grafologa, aby porównał obydwa teksty. Grafolog orzekł, że zarówno listy Malinowskiego, jak i mojego zalotnika pisane są jedną i tą samą ręką. Wtedy przyjechałam do Kortumowa. Ale w tym czasie, po napadzie na pannę Karen, milicja zajęła się już poszukiwaniem młodego człowieka na junaku. Pomogłam im podając numer motocykla. I oto Walerek jest już w areszcie w Gdańsku, milicja odzyskała broszkę, zegarek i pieniądze panny Karen. Trafia i na pana ślad, panie Kozłowski.

- Cóż z tego, że trafia, skoro pan Petersen nie zgłasza do mnie żadnych pretensji, Żadnych, prawda? - złośliwie spytał Kozłowski.

- Malinowski... Malinowski... - powtarzał Petersen w bezsilnej wściekłości.

- A jeszcze wcześniej, niż to się wszystko stało - ciągnęła Anka - pomyślałam, że pracownik biura podróży, z doskonałą znajomością języków na pewno dość często wyjeżdża za granicę. Gdy Malinowski w Paryżu oszukał Petersena, i pan Kozłowski przebywał tam również. Ale na tym skończyła się pana kariera. Za jakies machlojki usunięto pana z biura podróży. I wtedy przyczepił się pan do Petersenów.

- No to co z tego? - zachnął się Kozłowski. - Skoro kapitan nie zgłasza do mnie żadnych pretensji, to nikt mi nic nie zdoła zrobić. No, pisz, pan, to swoje oświadczenie, kapitanie. I rozstaniemy się w zgodzie. Pan odzyska swoją zwariowaną córeczkę, a ja spokojnie pojedę do domu. Chyba pan nie chce, aby pańska córka umarła z głodu w chłodnym podziemiu?

- Kapitan, być może, napisze oświadczenie - rzekła Anka. - Ale jak pan wyrówna swoje rachunki z panem Samochodzikiem?

Kozłowski zaśmiał się cichutko:

- Niech się pani o mnie nie martwi. Pan Samochodzik wyrównuje swoje rachunki... w piekle.

-Boże drogi! - krzyknęła Anka i zerwała się od stołu. - Pan tego nie mówi poważnie!

Kozłowski wzruszył ramionami:

- Myślę, że wpadł w jakąś dziurę i kark sobie skręcił. To taki sam wariat, jak panna Karen.

Wyszedłem z gęstwiny zagajnika.

- Czuję się świetnie, panie Malinowski - powiedziałem.

Teraz on zerwał się od stołu. Chciał uciekać, ale kapitan schwycił go w swoje łapska i zatrzymał na miejscu.

- Skąd się pan tutaj wziął? To pan? To naprawdę pan? - mamrotał przerażony Kozłowski.

- Sznur! Dajcie kawał mocnego sznura! - zawołałem do Anki. - Musimy związać draba. On chciał mnie zamordować!

Anka skoczyła do domku Petersenów po sznur, którym przywiązaliśmy Kozłowskiego do krzesła.

- On wie, gdzie jest moja córka - szepnął mi kapitan. - Nie możemy mu zrobić żadnej krzywdy, bo inaczej ona umrze z głodu.

- Wiem, gdzie jest pańska córka. Zaraz ją uwolnimy z podziemia - rzekłem.

- A potem zdejmemy mu skalp! - radośnie wrzasnął Petersen.

Kozłowski szamotał się w więzach i krzyczał:

- On kłamie! Nie wie, gdzie jest Karen! Tylko ja mogę wskazać jej kryjówkę... On nie ma na nic świadków, nic mi nie udowodnicie! Drwię sobie z pana pogróżek, panie Samochodzik!

Pozostawiliśmy Ankę na straży szamocącego się w więzach Kozłowskiego i poszliśmy z Petersenem do starego kościoła. Tak jak przypuszczałem, Karen siedziała w pułapce templariuszy. Nie posłuchała mojej rady, weszła przez studnię w podziemny korytarz i żelazna kłapa odcięła jej powrót.

Przekreśliśmy chrzcielnicę i Karen - zakurzona, brudna i przerażona kilkugodzinnym pobytem w podziemiu - wyszła na wolność.

To już była inna dziewczyna niż ta, którą dotąd znałem. Spędziła w podziemiu okropną noc, chwilami traciła nadzieję, że zostanie uwolniona. Sąsiedztwo szkieletu człowieka, który umarł z głodu, i myśl, że - być może - i ją także czeka to samo, rozstroiły jej nerwy. Z płaczem rzuciła się w ramiona kapitana.

- Jedźmy stąd! Zaraz! Nie chcę już szukać skarbów! - mówiła gwałtownie. Kapitan Petersen gładził ją po głowie i mruczał:

- Dobrze, dobrze, moje dziecko. Zawsze ci mówiłem, że poszukiwanie skarbów to nie jest zajęcie dla młodej dziewczyny, Odjedziemy stąd natychmiast. Tylko Malinowskiemu zdejmemy skalp...

I opowiedział Karen o zdemaskowaniu Kozłowskiego, o żądaniu, które on postawił za cenę uwolnienia Karen z podziemia.

Nie mówiłem już o próbie zamordowania mnie w studni. Musiałbym przecież tłumaczyć się, w jaki sposób wydostałem się stamtąd, a to znaczyło zdradzić tajemnicę drugiego korytarza. Wolałem przemilczeć sprawę skarbów. Karen była ambitną dziewczyną i tak bardzo chciała odnaleźć skrytkę templariuszy. Zupełnie załamałaby ją wiadomość, że to ja - a nie ona - trafiłem do skarbu.

A z nią stało się tak, jak przypuszczałem. Wraz z Kozłowskim włamała się do piwnicy i pierwsza opuściła się na dół, bo Kozłowski twierdził, że nie zdoła utrzymać się na linie. Potem uchyliła żelazną klapę, która się za nią zawarła. Przez jakiś czas łudziła się, że Kozłowski domyśli się, że ona wpadła w pułapkę i odsunie chrzcielnicę, aby ją uwolnić. Mijały jednak godziny, potem słyszała nad sobą łoskot kroków, a uwolnienie nie nadchodziło. Doszła do wniosku, że może stało się coś złego również i Kozłowskiemu, a wtedy straciła nadzieję wydostania się z podziemia. Odtąd ogarnęła ją przerażająca myśl o śmierci głodowej. Przymknęła sobie, że jeśli się zdarzy jakiś cud i znowu znajdzie się na wolności, porzuci sprawę poszukiwania skarbów.

- One przynoszą tyle kłopotu i nieszczęścia - mówiła do mnie. - Przez te skarby ściągnięte zostało nieszczęście na zakon templariuszy. One nikomu nie przyniosą radości. Odradzam panu szukanie ich kryjówek.

Petersen mrugnął ku mnie okiem i zatarł ręce:

- A teraz, mister Samochodzik, warto by napędzić strachu Malinowskiemu. Jak pan myśli, zainscenizujemy przepiękną scenę obdzierania ze skóry?

Bardzo mi się podobał ów projekt. Przywołałem chłopców i Ewę, którzy już zdążyli obudzić się i nawet zjedli śniadanie. Zebraliśmy się w obozie Petersenów, gdzie siedział przywiązany do krzesła Kozłowski.

Kapitan rozebrał się do pasa, bo, jak powiedział Kozłowskiemu: „Obdzieranie ze skóry jest bardzo męczące”. Wiewiórka wlaź na drzewo, aby zgodnie z poleceniem kapitana zawiesić na gałęzi misterną płataninę lin. Miał na nich zawisnąć Kozłowski, gdyż, jak twierdził kapitan: „W pozycji wiszącej najlepiej się ze skóry obdziera”.

Z początku Kozłowski dość obojętnym wzrokiem śledził nasze poczynania. Ale gdy Petersen rozkazał córce zagotować na gazie kubek gorącej wody, odzyskał głos i spytał:

- Do diabła, po co wam gorąca woda?

- Skórę należy uprzednio sparzyć wrzątkiem. Wtedy łatwiej schodzi - wyjaśnił mu Petersen.

- Pan żartuje! Pan chyba nie ma zamiaru obdzierać mnie ze skóry? - wrzasnął Kozłowski.

Kapitan wzruszył ramionami:

- Do tej pory to pan sobie z nas żartował. Teraz zaś my poigramy z panem.

I kapitan, z powagą na twarzy, zaczął ostrzyć na kamieniu nóż o długim ostrzu.

- Milicja! Ratunkuuuuu! - wrzeszczał Kozłowski.

Zamaszystym krokiem przysłała do obozowiska gospodyni proboscza. Twarz miała czerwoną z gniewu.

Ktoś się włamał do mojej piwnicy - oświadczyła, mierząc nas badawczym spojrzeniem. Zobaczyła związanego Kozłowskiego i zawołała: - To pewnie on! Pan Konfiturek! Wczoraj cały dzień krążył koło mojej piwnicy! Czy on wam też jakąś psotę wyrządził?

- Nie wiem, czy to można nazwać psotą - odrzekłem. - To jest rabuś, bandyta. Będziemy go obdzierać ze skóry.

- Co takiego? - zdumiała się gospodyni. - Dlaczego ze skóry?

- Bo takie są nasze obyczaje - odpowiedziałem. Gospodyni żal się zrobiło Kozłowskiego. Złożyła ręce i zaczęła prosić:

- Nie róbcie mu aż takiej krzywdy. Miejcie litość.

Litościwy głos gospodyni jeszcze bardziej zirytował Kozłowskiego. Szarpnął się w więzach i syknął ze złością: i

- Niech się pani odczepi. Pani jest wariatką. Pani myśli, że każdy tylko marzy o pani konfiturach.

- Toś ty taki? - rozsierzdziła się gospodyni. - W więzach siedzi i jeszcze syczy jak żmija. O łaskę dla niego proszę, a on wariatką mnie nazywa?

Gospodyni odwiązała fartuch i parę razy zdzieliła nim Kozłowskiego przez głowę i plecy.

- A masz! A masz! - powtarzała. - Nie będziesz mnie nazywał wariatką.

I właśnie na tę scenę nadjechało drogą przez las milicyjne auto. Wskoczył z niego

oficer z wąsikami, ten sam, który nas przesłuchiwał w Malborku.

- Panowie, panowie - rzekł z dezaprobatą. - Wprawdzie jest to przestępca, ale czy godzi się walić go ścierką?

- To nie jest ścierka, tylko fartuch - tłumaczyła słą gospodyni.

- Wszystko jedno: ścierka czy fartuch. Ale nie godzi się tak, nie godzi...

Zręcznymi ruchami rozplątywał supły na więzach Kozłowskiego, po czym założył mu na ręce kajdanki.

- Pański przyjaciel bardzo wiele interesujących szczegółów opowiedział nam o panu. Wymagają one pewnych wyjaśnień. Więc pan chyba sam rozumie, że będę musiał pana zabrać ze sobą.

Kozłowski nie opierał się, gdy milicjant wskazał mu miejsce w samochodzie. Wsiadł potulnie, nie obdarzywszy nas ani jednym spojrzeniem.

- A państwo - zwrócił się do nas oficer - otrzymają specjalne wezwania celem złożenia dodatkowych zeznań na okoliczność przestępstw dokonanych przez Kozłowskiego. Co zaś tyczy zegarka złotego i broszki z brylantami, panna Petersen musi się po nie stawić osobiście w Komendzie Wojewódzkiej w Gdańsku. Otrzyma je tam za pokwitowaniem.

Odjechali. Kapitan Petersen skoczył do swej przyczepy i wyniósł z niej butelkę koniaku.

- Wypijemy strzemiennego! My także zaraz odjeżdżamy. Najpierw do Gdańska, a potem do Warszawy. Stamtąd zaś do Paryża i dalej, do zatoki Matanzas. Wydobywanie złota ze starych galeonów to lepszy interes niż szukanie skarbu templariuszy.

Karen nic się nie odezwała. Ale zdaje się, że podzielała zdanie swego ojca.

- A my? - spytał Wilhelm Tell.

- Zwijamy obóz - powiedziałem. - Odprowadzimy Petersenów aż do drogi na Gdańsk.

W południe mała kawalkada wozów opuszczała wioskę Kortumowo. Na przedzie jechał lincoln z przyczepą, a z tyłu mój śmieszny wehikuł.

Chłopcy i Ewa pocieszali się, jak mogli.

- To nic, że nie znaleźliśmy skarbów - mówił Sokole Oko. - Najważniejsze, że przeżyliśmy kilka pięknych przygód. Nie chodziło o skarby, tylko o przygodę, prawda, panie Tomaszu?

- Tak jest - skinąłem głową.

- Dowiedzieliśmy się także sporo o zakonach rycerskich, o Jaćwingach - mówił Tell.-
Gdy w szkole będziemy mieli lekcje o Krzyżakach, natychmiast przypomną mi się korytarze w zamku malborskim i pan Samochodzik zamknięty w celi Kiejstuta.

- A ja - rzekła Anka, która siedziała obok mnie - mam materiał do reportażu o wariatach poszukujących skarbu. I o oszuście, co ich za nos wodził. Zakończy ten reportaż scena aresztowania oszusta i zdanie: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. Ciekawam, gdzie pan zostawił swoje serce, panie Tomaszu. Może w samochodzie, który jedzie przed nami?

Odpowiedziałem:

- Niech się pani nie śpieszy z pisaniem zakończenia, pani Anko.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytała i trochę zarumieniła się.

Nie zdążyłem nic wyjaśnić. Oto zobaczyliśmy szeroko rozlaną Wisłę i ogromny most. Na wysokiej górze widniało malownicze miasto Chełmno.

Tu pożegnaliśmy się. Petersenowie pojechali do Gdańska, umawiając się ze mną na spotkanie w Warszawie. A ja, chłopcy, Ewa i Anka pojechaliśmy do Chełmna.

Zostawiłem ich w samochodzie na rynku, a sam wszedłem do urzędu pocztowego i poprosiłem, aby połączono mnie telefonicznie z pewnym wysoko postawionym urzędnikiem w Muzeum Narodowym. Rozmowa nasza trwała dość długo. Wreszcie opuściłem pocztę i zasładłem za kierownicą wehikułu.

- A teraz dokąd? - spytała Anka.

- Do Kortumowa - odpowiedziałem.

- Po co? - zakrzyknęli zdumieni chłopcy.

- Jak to: po co? Po skarby - uśmiechnąłem się. Anka wzruszyła ramionami.

- Pan jest jednak większy wariat, niż przypuszczałam...

I znowu zobaczyliśmy Kortumowo, małą wioskę nad jeziorem. Na ogromnych topolach obok starego kościółka unosiły się z krakaniem stada czarnych wron. Ścieżką do plebanii szedł powoli proboszcz, a w ogrodzie księżym, na sznurku między jabłoniemi, jego gospodyni rozwieszała białe obrusy kościelne.

Cichy, malowniczy zakątek, duża tafla jeziora z białymi plamkami dzikich łabędzi. Dookoła zaś zieleń szuwarów i brzegów porośniętych trawą i lasem. A przecież właśnie tutaj, do tej maleńkiej wioski, wiodły nici splecione przed kilkoma wiekami tragicznym losem Jakuba de Molaya, ambicjami wielkiego mistrza Zygryfryda von Feuchtwangen, który tu chciał

wznieść stolicę Cor Tuum, Wenera von Orseln, zamordowanego w drzwiach kościoła w Malborku. „Tam skarb twój, gdzie serce twoje” - wyrył Feuchtwangen na złotym krzyżu darowanym de Molayowi. Pomyślałem:

„Moje serce jest zawsze tam, gdzie p r z y g o d a”....

ZAKOŃCZENIE

Było ciepło, słoneczne przedpołudnie. Siedzieliśmy z Karen w kawiarni-ogródku Hotelu Europejskiego w Warszawie. Piliśmy kawę. Na przegubie ręki Karen widziałem znowu jej złoty zegarek, a na bluzce broszkę z brylantami.

- Ojciec mój chce koniecznie, abym wzięła udział w jego nowej wyprawie - mówiła. - Ale wydobywanie złota z zatopionych statków to nie jest zajęcie dla mnie. Grzebanie w starych galeonach wydaje mi się nudne, wymaga ogromnej siły fizycznej i cierpliwości. Maszyny wydobywają wraki z mułu, potem setki razy trzeba schodzić pod wodę, aby penetrować rozlatujące się kadłuby. Mnie natomiast interesuje tylko to, co kryje w sobie zagadkę dla intelektu.

Spostrzegła, że przyglądam się jej broszce.

- Tak - przytaknęła moim myślom - wczoraj składałam zeznanie w związku z aresztowaniem Kozłowskiego i tego drugiego osobnika. O Boże, jakże byłam naiwna słuchając jego rad. Pocieszam się tylko, że pan także dał się nabrać na jego oszustwo.

- To dlatego, że bardzo go nie lubiłem. Od samego początku wydał mi się ogromnie niesympatyczny. Odsuwałem jednak od siebie podejrzenia, gdyż lękałem się, że wynikają one z moich uprzedzeń względem jego osoby. On miał tę wyższość nad nami, że uczestniczył we wszystkich naszych naradach, znał każdy nasz krok i nasze plany. Wtedy gdy dostrzegłem dymek ulatujący z wysepki w trzcinach na jeziorze Miłkokuk, przecież widziałem Kozłowskiego płynącego kajakiem właśnie z tamtej strony. Ale ani wtedy, ani potem nie chciałem przypuszczać, że obydwa fakty mają ze sobą jakiś związek. I że Kozłowski po prostu kontaktuje się z włamywaczem. Czy pani wie, że on chciał mnie zabić?

- Zabić?...

- Historia, która zdarzyła się na pięćdziesiątym kilometrze, przekonała Kozłowskiego, że jestem bardziej niebezpieczny, niż mu się to z początku wydawało. Parokrotnie o mało nie pokrzyżowałem mu planów. Gdyby pani miała więcej zaufania do mnie, nie udałoby się chyba żadne z jego oszustw. Więc próbował mnie unieszkodliwić.

- Kiedy to było? Nic pan o tym nie mówił... - powiedziała w zamyśleniu.

- Pani opuściła się po linie w głąb studni, a ja pośpieszyłem za panią, bo obawiałem się,

że wpadnie pani w pułapkę templariuszy. I wtedy on przeciął linę, na której wisiałem... A potem z góry rzucał na mnie ciężkie gązdy.

Karen zmrużyła oczy, jak wówczas, gdy podejrzewała, że ją oszukuję.

- Mister Samochodzik - rzekła - w jaki sposób wyszedł pan ze studni?

Wzruszyłem ramionami:

- Harcerze mnie odnaleźli i wyciągnęli...

Pokręciła głową:

- Pan nie umie kłamać, mister Samochodzik. Pan coś kryje przede mną. Niech pan powie prawdę: pan wie, gdzie są skarby templariuszy. Ale pan nie chce mi o tym powiedzieć, bo pragnie mi pan oszczędzić przykrości. Ja przecież tak bardzo chciałam je odnaleźć...

Zrobiło mi się żal Karen.

- Nie, nie, to nieprawda. Nic nie wiem o skarbie... - wykręcałem się.

- Proszę być szczerym - zawołała, chwytając mnie za rękę. - Chcę wszystko wiedzieć.

Tam był drugi korytarz? Niżej?

- Tak.

- Dziś rano właśnie o tym pomyślałam. Idąc na spotkanie z panem, chciałam zaproponować panu powtórny wyjazd do Kortumowa. Ale pan już tam był...

- Trafiłem na drugi podziemny ganek, który zaprowadził mnie do obszernej celi. Znajdowała się ona pod ołtarzem w kościele. Za ołtarzem było także wyjście z podziemi.

- A skrytka ze skarbami?

- W jednej ze ścian, w miejscu ze znakiem „Dwa skarby”, znaleźliśmy zamurowaną skrytkę z naczyniami liturgicznymi. Dziesięć dużych złotych kielichów mszalnych wysadzanych drogimi kamieniami, przeważnie rubinami, szafirami i szmaragdami. I jeszcze jeden skarb: skrzyneczka pełna złotych monet francuskich.

- I to już wszystko? - z niedowierzaniem powiedziała Karen. - Tak wygląda legendarny skarb templariuszy? Dziesięć złotych kielichów i skrzyneczka ze złotymi monetami? Spodziewałam się wielu urn pełnych klejnotów i pereł, złotych pierścieni.

- Może nie byli aż tak bogaci, jak sądził Filip Piękny? – rzekłem. – Może to jest tylko legenda o niezmiernych bogactwach tego zakonu?

- Albo to wcale nie o ten skarb chodziło...

- „Tam skarb twój, gdzie serce twoje” – powiedziałem: - Dziś od rana ciągle myślę o tych słowach. Kto wie, czy nie kryją one jeszcze innego znaczenia? Historia z podwójnymi korytarzami rzuca światło na sposób zabezpieczania tajemnic przez templariuszy. Pierwszy korytarz stanowił pułapkę, w którą każdy z nas wpadł. Wiedzieliśmy przecież, że należy opuścić się na głębokość dziewięciu metrów, a mimo to, gdy dostrzegliśmy otwór podziemnego ganku, zapominaliśmy o informacji zawartej w znaku i wchodziliśmy w korytarz-pułapkę. Może ten skromny skarb, który odkryłem, jest także taką pułapką? Zadowolę się tego, kto go znajdzie, zaspokoić jego chciwość i utwierdzić w przekonaniu że oto trafił na legendarny skarb templariuszy. A ten wielki, ten prawdziwy, będzie dalej leżał w spokoju czekając na tego, kto pokieruje się rozsądkiem i sercem...

- Może - szepnęła Karen.

Między stolikami kawiarni szedł ku nam kapitan Petersen. Uradował się na mój widok, poklepał mnie po plecach.

- Jutro wyjeżdżamy - oświadczył radośnie. - Wypijemy strzeziennego. Jutro o tej porze będę Karen daleko od Warszawy. A za tydzień wyruszę na morze. Otrzymałem poufną wiadomość, że koło wybrzeży Argentyny leży zatopiona hitlerowska łódź podwodna kapitana Helmuta, który na tydzień przed upadkiem III Rzeszy uciekał do Argentyny z ładunkiem zrabowanych w Europie drogocенności. Chyba warto zająć się tą sprawą?

- Na pewno - kiwnęła głową Karen - ale latem przyszłego roku przyjedziemy tu znowu, papo. Będziemy dalej zgłębiać tajemnice templariuszy. Tylko, że tym razem pan Tomasz chyba już nie odmówi nam swojej współpracy? - zwróciła się do mnie.

- Zgoda - wyciągnąłem do niej rękę, - W przyszłym roku wyruszymy na nową wyprawę. I w tym samym gronie - dodałem na widok Anki wchodzącej do kawiarni.

Dziennikarka była roześmiana i szczęśliwa.

- Naczelnny redaktor zatwierdził do druku moje reportaże o poszukiwaniu skarbów. Bardzo mu się podobały - powiedziała na wstępie, a ja złapałem się za głowę.

- Boże drogi! A miałem taką nadzieję, że zostaną odrzucone. Wyobrażam sobie, jak strasznie zostaliśmy przez panią opisani...

- Niech pan będzie spokojny. Tylko Kozłowski i jego koleżka znajdą powody do niezadowolenia - śmiała się.

My także zawtórowaliśmy jej śmiechem. I wtedy zrozumieliśmy, że stanowimy już grupkę dobrych przyjaciół. W niedawnej przeszłości było między nami sporo konfliktów, które sprawiły nam mnóstwo kłopotów. Lecz przecież cała mądrość polega na tym, aby umieć wyciągnąć wnioski z dobrych i złych doświadczeń.